

Zuzanna Spasówka

**Jak Cię nie kochać,
Ziemi Ojczyta**

Wiersze wybrane

Ojczyzna znad Wisły

Ojczyzno moja znad Wisły,
w której króluje Matka Boża.
Z przydrożnych kaplic błogosławi
pracy trud, chlebne łany zboża.
W cichych kościołach,
wśród psalmów uwielbienia,
ten chleb w czasie przeistoczenia
w Ciało Chrystusa się zamienia.
Płyną łaski obficie jak promienie słońca.

Jak Cię nie kochać, Ziemi Ojczysta,
tryskająca rumieńcem kaliny,
pachnąca kwiatem koniczyny.
Ziemi uświęcona krwią i łzą.
Ptaki odwieczne psalmy Ci śpiewają,
drzewa się kłaniają,
kłosy pocałunki składają,
wiatr pieszczotą gładzi,
słońce promienie rzuca obficie,
czyni świat ciepłym, miłym,
uwesela życie.

Ziemiu kochana

Cenię Cię, wielbię, Ziemiu ukochana,
po każdej nocy pozdrawiam Cię z rana.
O Ziemiu moja, obfita, bogata,
tyle razy się zmienia twoja szata.
Kocham Cię Ziemiu kiedyś przeorana
i chlebnym ziarnem żytnim, pszennym siana,
i kiedy śniegi wszystkie z wodą zejda.
Cieszę się, gdy słabe pierwsze trawki wzejda,
a potem świat ciepło przeniknie.
Cieszę się, gdy kaczeniec, stokrotka zakwitnie,
wysmukłe brzozy listki wypuszczają,
żółte koćki, czyli polskie palmy, zakwitają.
Leszczyna, tarnina, wszystkie drzewa zatem,
czeremcha, czereśnia obsypane kwiatem.
Tu nęci zapach gruszy, tam znów jabłoni,
a cały rój pszczeli bez przerwy się goni,
od świtu aż do zmierzchu mozolnie pracuje
z ula do sadu, tak wkoło się snuje.
Lśni lemiesz od pługa, przerdzewiałe brony
wloką się już powoli przez mokre zagony.
Idą wiosną wieśniacy zwykłych robót śladem
i pracują do nocy, za pszczołek przykładem.
Słysząc rzewną melodię słowika po lesie,
jaskółka ku zagrodzie lot swój bystry niesie.
Mały dzięcioł bez przerwy dziobem w drzewo stuka
i raz po raz tak głośno kukuleczka kuka.
Jakże sercem nie kochać te wiosenne chwile,
te ptaki i kwiaty, i barwne motyle.
Wielbię Cię, Ty żyzna nasza polska Matko.
Kocham łany zbóż chlebnych i ciebie, ma chatko.
Kocham, sercem Cię kocham, o Ty moja Ziemiu,
gdzie nasi praojcowie w mogiłach swych drzemia.

Ojczyzno, jesteś mi droga

Spowita w różowość wschodzącego słońca z rana,
pachnąca miętą i rumiankiem,
w przeczystej rosie wykąpana.
Tobie śpiewają ptaki, mruczą strumienie,
do Twych stóp lipy kwitnące kładą chłodne cienie.
Ku Tobie swe sękate ręce wyciągają topole,
szepcze poezję ludową złocistych kłosów pole.
I tulą się do Ciebie stokrotki, konwalie, złocienie,
echo od gór do morza - śle pozdrowienie.
Miłe mi wszystko tutaj, kwiaty, drzewa,
spróchniałe krzyże,
które przypominają obecność Boga.
Ojczyzno moja, jesteś mi droga.

Wiosko moja

Wiosko moja zagubiona wśród wielkiego świata,
ani nie biedna, ani nie bogata.
Pachnąca bzem, jaśminem i chlebem.
Czasem pod błękitnym, pogodnym niebem,
a czasem smagana wichrem, mrozem i spiekotą.
Zadumana w blaskach księżycowej nocy,
przepojona ciszą, pieśnią i tęsknotą.
Wiosko moja dająca człowiekowi to,
czego potrzebuje w danej chwili:
mleko, chleb, pejzaże malownicze, natchnienie,
pociechę, nowe wizje przyszłości, ukojenie.
Wiosko, Tyś dla mnie ósmym cudem świata!
Wydaje mi się, że najpiękniejsza ze wszystkich -
moja wiejska, drewniana chata.

Tęsknota

Da Bóg, że wytrwam tu do końca dni moich,
tych znajomych ścieżek i dróg nie porzucę.
Umiłowana kaczeńców dolina, źródelko,
gdzie od wiosny aż do jesieni, tam i z powrotem
mgły chodzą.
Ogromne gniazda w przydomowych drzewach,
gdzie się co roku bociany rodzą.
Lipa z rozprutym wnętrzem, jak inwalida wojenny,
czuwa nad grobem powstańców polskich,
pełniąc swój dyżur codzienny.
Na rozdrożu, w kamiennej nawie, obsypana
włosami brzozy Madonna święta patrzy hen, daleko.
Zapach pól, kwiatów, co mą chatę opływa rzeką,
sadek jabłoni, cudownie wiosną
różowym kwiatem spowity.
Słowik wstydlivy w kępie jaśminu,
gdzieś tajemniczo ukryty.
Echo dzwonu z kościelnej dzwonnicy modlitwą
śpiewnie płynie co dzień z rana.
Dzięki Ci, Boże, za to, co mi dałeś.
Wielbij po wszystkie dni życia, duszo moja, Pana.

Mój dom

Mój dom – cisza i spokój błogi,
każdy kącik w nim – bliski i drogi.
Mój dom wiele tajemnic kryje,
wspomnieniami ciągle żyję.
W ciszy wieczoru słyszę jeszcze matczyny śpiew,
weselne grania, czułe powitania i pożegnania.
Pamiętam kwiaty, jakie nasze izby zdobiły.
Tu w czasie zwątpienia, nabierałam siły.
I dziecka mojego pierwszy płacz słyszę,
i tą błogą, błogą ciszę,
którą w zbolalym sercu kołyszę.
Wszystkie chwile przeżyte z dziecięcych i młodych lat.
Ten dom, to mój najmilszy świat.

Wioska z mojego dzieciństwa

Pamiętam dwa rzędy chat, po obu stronach drogi.
To wioska moja rodzinna, kryta strzechą starą.
Jak zagon ziemi, jak siermięga stara.
Drewniane domy pod parasolami grusz,
a do otwartych okien płynął z pól
zapach maciejki, lip i dzikich róż.
Pamiętam białe brzozy wysokie jak kościelne wieże,
wierzby staruchy pod strugą szepczące pacierze.
Ściany białe, jak księżyc wieczorem.
Ogródki kwiatów sąsiadujące z polem
w objęciach krzyży u rozstajnych dróg,
strzegących chat, by nie wszedł do nich
ogień, głód i wróg.

Chyba nikt

Chyba nikt nie potrafił upiec
takiego chlebusia jak moja matusia.
Mieszała drożdżowe żytnie ciasto
w drewnianej dzieży.
Ręce po łokcie zanurzone w cieście,
pot z czoła płynął strugami,
gdy ciasto odstawało od ręki
mówiła z zadowoleniem: „Nareszcie,
już rośnie - Bogu dzięki”.
Gdy piec był wypalony tak jak trzeba,
formowała z ciasta okrągłe bochenki chleba.
Usadziwszy pierwszy na łożacie,
kreśliła krzyż – w Imię Ojca i Syna...
Moment był tak uroczysty,
że w skupieniu patrzyła na to cała rodzina.
Potem wyjeżdżały rumiane upieczone bułki
z pieca na drewnianej łożacie –
pachniało w całej chacie.
Do dziś jeszcze pamiętam ten zapach, smak,
choć to było już dawno tak.
Wspaniałe wieczerze: miód, mleko, ser, chleb świeży.
Nie ma już dziś tamtego pieca
ani drewnianej dzieży.
Czasem jeszcze nocą tylko mi się śni
i błogosławię w myślach tamte lata,
gdy miodem i chlebem świeżym
pachniała nasza chata.

Wspomnienie

Zasuszyły się w mym sercu jak kwiaty
wspomnienia z tamtych lat,
w których zamknął się mój najpiękniejszy świat.
Patrzyłam śmiało, beztrosko
na wszystko co mnie otacza.
I niczym była uciążliwa praca.
Czuję zapach, piękno tamtej wiosny
i letni dzień radosny,
gdy brodziłam po trawie zroszonej boso
i kłosy zbierałam z pokosu, podcięte kosą.
A w nich dorodne ziarna, jak paciorki różańca,
tajemnie radosne, bolesne, chwalebne.
Słyszę psalmy ptasie płynące w strony podniebne,
by Bóg wynagrodził pracę ciężką, ofiarną -
w dorodne ziarno.

Zobaczyć warto

Jak pięknie jest w porze wschodzącego słońca
spojrzeć w niebo, jak w księgę otwartą.

Naprawdę zobaczyć to warto.

Liście zielone wiosną, jesienią z gałęzi zdarte,
zobaczyć warto.

Drewnianą kapliczkę spróchniałą
o drzewo lipy opartą,
zobaczyć warto.

Niebo zapisane chmurami,
przysłonięte obłokiem jak białą kartą,
zobaczyć warto.

Sięgnąć oczyma hen, daleko,
aż widok zatrzyma las,
pójść wśród pól drogą utartą...

Maki czerwone w pszenicy -
zobaczyć warto.

Nauczcie nas

Nauczcie nas się modlić, pobożne brzozy,
wielbiące Święty Majestat Boży.
Nauczcie nas skupienia, modrzewie milczące.
Miłości, słońca promienie gorące.
Nauczcie nas rozważań, wysmukłe jodły,
odprawiające szumem śpiewne modły.
Nauczcie nas lipy litości,
ludzkiego wyrozumienia, wrażliwości.
Kaliny przesuważące różańca korale,
nauczcie nas kochać swoją świętą wiarę.
Nauczcie nas powagi, dęby rozłożyste.
Nauczcie nas zadumy, pogodne obłoki,
horyzont nieba, tajemny, szeroki.
Nauczcie nas płakać, niezabudki łzy roniące
od rana do nocy na wilgotnej łące.
Nauczcie nas czystości, malwy i dziewanny
piękne i mądre, jak ewangeliczne panny.
Boże, dałeś nam ziemię płynącą miodem i mlekiem.
Czasem zazdrości się drzewom i kwiatom,
wstydzić się trzeba, że jest się człowiekiem.

Świt

Nadszedł świt,
słońce jak ogromny, czerwony bochen chleba
na czystej serwecie nieba.
Jasność w blasku zorzy poczęta,
promieniuje jak Hostia Święta
wpatrzona w Święty Majestat Boży.
Serce ze wzruszenia się korzy.
Słyszę wokół jakby ciche śpiewanie:
„Witaj Jezu, Synu Maryi,
Tyś jest Bóg prawdziwy w Świętej Hostii”.
Śpiewają wzdłuż szosy wysokie topole,
wierzby nad stawem, łąki i pole,
lekuchne, wolno sunące mgły.
Kwiaty w ogrodzie, jaśminy, bzy,
w sadzie stojące jabłonie i grusze,
maliny, agrest, porzeczki
z wielkim szacunkiem, w skrusze, śpiewały:
„Witaj Jezu, Synu Maryi
Tyś jest Bóg prawdziwy w Świętej Hostii”.

Przedwiośnie

Pola w płaty czarno-białe jak kora brzozy.
Pędzą obłoki nisko - strzępiaste, szare.
Przeciągają się w sadzie jabłonie stare.
Czasem niebo trochę słonka daje,
to znów deszczem łaje.
Pierwsza stokrotka nikła, zwykła,
zdaje się krzyczeć: - Nie bójcie się!
Zima odchodzi już.
Wiosna - tuż, tuż.

Nadchodzi wiosna

Spójrz, idzie wiosenka, dziecinko mała,
za którą tęskniłaś tyle mroźnych dni.
Rozsypie w krąg kwiaty obok naszej chaty,
spójrz w niebo, jak pięknie promyk słońca łśni.

Na naszym ugorze, za góreczką tuż,
bielutkie stokrotki rozkwitły nam już.
Widzisz, szybko znika srogiej zimy cień,
fijołki zakwitną w lesie lada dzień.

Wiosna

Nadszedł oczekiwany dzień,
ciepły powiew wiatru przyplynał zmęczony z daleka.
Już dawno znikły białe płaty śniegu, ożyła martwa rzeka.
Skowronek odśpiewał o siewcy Ewangelię Świętą.
Wszystko jakby tknięte jakąś siłą niepojętą
budziło się do życia:
ponury milczący las rozbudził ptasi śpiew,
ziemia prosiła o zboża siew,
żółte baze złożyły wiązanki u stóp Bogarodzicy
w przydrożnej kaplicy,
patrzyły w jej świętą twarz stokrotki, fiołki,
jak małe aniołki.
Zdawało się, że dziecię wyciąga rączyny małe,
by dotknąć baze, stokrotki białe.
Niedaleko drogi rolnik ziemię orze,
a wszystko wokół szeptało:
„Szczęść Boże, Szczęść Boże”.

Nadeszła wiosna

Aż nagle jaka chwila radosna!
Nadeszła wiosna, nadeszła wiosna!
Wszystko się cieszy, wszystko się śmieje
i ciepły wietrzyk z południa wieje.

Białe konwalie i fiołeczki,
i dał się słyszeć głos fujareczki.
Już się zielenią wiosenne siewy,
a w lesie słyszeć słowików śpiewy.

I cóż mi powiesz

I cóż mi powiesz, ptaszyno szara,
przybyłaś do nas z dalekich stron,
gdy wiosna ziemię w słońcu wykąpała
i na wasz powrót uderzyła w dzwon.
Wracasz z daleka, to wiem niezawodnie,
ja znam te kraje jak z bajki, ze snu.
Wróciłeś do nas, boś zateśknił pewnie,
bo kiedyś gniazdko zostawiłeś tu.
Szczęśliwy jesteś, że umiesz jednako
pokochać wszystkie dalekie tam kraje.
Biali czy czarni, bliscy czy dalecy,
czy inne mowy, czy inne zwyczaje -
dla wszystkich śpiewasz jednakowe pieśni,
wszystkich jednakowo uradować chcesz.
O ludziach trudniej mówić w takiej sprawie,
bo brak miłości w sercach – chyba wiesz.

Odgłosy wiosny

Już trawy na łąkach podrosły,
nabrzmiały pąki drzew na ulicy.
Zakwitły fiołki u stóp Bogarodzicy.
Włosy płaczących brzoź uczesał wiatr,
weselszy stał się świat.
Narcyze nieśmiało otwierają oczy,
słońce ciepłe promienie z nieba toczy.
Rolnicy już wychodzą w pole,
spulchniają ubite role -
zagony, gotowe przyjąć ziarno,
otulić je ziemią czarną
i pieścić na swym łonie
jak dziecię matczyne dłonie.
Gdy nadejdzie cudowne rozmnożenie,
pochyła się kłosa ziarnem nabite
wydając plony obfite.
Ziemi, przez Boga nam dana,
czasem pogardzana, niechciana,
przez lud wieśniaczy sercem ukochana,
dajesz nam wszystko co masz.
Do snu wiecznego
każdego weźmiesz w swe ramiona.
Ziemi Ojczysta, Ziemi Polska,
bądź błogosławiona.

Pieśń o jabłonce

Znowu tak pięknie jabłonko zakwitłaś.
Jest taki wdzięczny twój pachnący kwiat,
po to, by znów ta piękność twoja znikła.
Tak, jak bywało już za dawnych lat.
Też byłaś piękna o tej samej porze
i w wieniec plotłaś różowawy kwiat,
a gdy oblały cię wschodzące zorze,
czarem i wonią napawałaś świat.
Wszystko przemija, ze sobą unosi
i pędzi naprzód czas życia jak wiatr.
A w życiu tylko jak twój kwiat, jabłonko,
najszybciej mija czas młodości lat.
Ty znów zakwitniesz o tej samej porze,
kwiatem obsypiesz gałązeczki swe,
a młodość w życiu raz tylko przemija
i potem nigdy już nie wróci się.

Radość owiała świat,
jaśmin ubrał się w kwiat.
Wiotkie gałązki poschylał tuż,
zakwitły już.
Pachnie tak pięknie, ach,
nocą po pięknych dniach.
Cudna chwila, aż braknie tchu,
jak pięknie tu.
Nocą ten piękny krzew
zdobi słowika śpiew.
Tak cudownie tuli do snu
i szepcze mu:
Jaśminku, jam taki ptaszek skrzydlaty.
Jaśminku, kocham Twoje białe kwiaty
i śpiewał będę tu jedynie,
aż wiosna minie.

Zakwitły nocą czereśnie.
Obudziły się dość wcześnie,
zanim Chrystus zmartwychwstanie
stroją się na powitanie.
Wyrzało słońce zza chmury,
powoli płynie do góry,
a z nim Chrystus zmartwychwstały
w majestacie swojej chwały.
Postać tak rozpromieniona,
zorzy chorągiew czerwona.
Rosy z radości płakały,
drzewa w wielkiej ciszy stały
i na chwilę oniemiały.
Kwiatki na ziemię rzucały,
potem cicho zaśpiewały:
„Alleluja!, Alleluja!”.

Bal na polanie

Na uroczyste wiosny powitanie
zorganizowano wielki bal na polanie.
Mówiąc krótko, w jednym słowie,
przybyli najlepsi kapelmistrzowie.
Najlepszy zespół muzykantów,
sławny, doborowy,
ulołował się wśród ciszy dąbrowy.
Brzozy białe, obcisłe suknie pozakładały,
włosy starannie uczesały.
Sosny skromnie, ale bogato,
bursztynowy strój, stać je na to.
Dęby patrzyły z pogardą z góry,
szare, jak samodział, grubsze garnitury.
Osikom dobrze w szarozielonym kolorze,
kalina chce się obwiesić kwiatem,
ma ich za mało, nie może.
Lipa okazałej tuszy z miejsca się nie ruszy.
Smukłe, zgrabne jarzębiny, piękne jak dziewczyny,
grabek zadowolony przegina się w różne strony.
Leszczyny świerkom dorównać chciały,
szyje powyciągały, na palcach stawały.
Nagle buchnęła kapela,
aż się zatrzęsły krzewy i ziela.
Osy cieniutko na skrzypkach piszczały,
bąki na gitarach grały.
Piszczwały, miech, czynele, flety, klarnety,
reszty trudno odróżnić, niestety.
Brzozy w takt poloneza wirowały,
ku sobie nisko się skłaniały.
Osiki aż drżały, coś prędkiego tańczyć chciały,
kaliny w miejscu dreptały,
dęby do tanga się przymierzały.

Na cmentarzu wiosną

Przy wąskiej, cmentarnej alei, już od kilku lat,
leżą snem wiecznym uśpieni: mój ojciec, mama i brat.
I kiedy ciepłą wiosną stanę tam dnia pewnego,
tak pachnie pięknie na świecie, a oni nie czują tego.
Wtedy to tak żałośnie, tak jakoś smutno mi,
i szepczę im cichutko: u nas zakwitły bzy,
jaskółki powróciły do gniazdek pod dach nasz,
a bocięk na stodole jak gdyby trzymał straż.
Już piękne zboża na polu, w jaśminie słowik śpiewa,
a w naszym dużym sadzie już się zielenią drzewa.
Wieczorem przy kapliczce dziewczęta pieśni śpiewają,
a dalej gdzieś na wiosce wierzbnę fujarki grają.
Basia chodzi do szkoły, wiersze deklamuje,
a jak wy kiedyś, dzisiaj tak samo ja pracuję.
Ale cóż, czy nawet w tej cmentarnej ciszy
ojciec, czy mama, albo brat mnie słyszy?

Nad ołtarzem pól

Zapaliły się dziewanny jak gromnice,
wiatr na organach cicho gra.
Lśnią czystych źródeł kropielnice,
solista słowik zawodzi, lka.
Białe konwalie zadzwoniły,
ofiarowania nadszedł czas.
Kłosa się nisko pokłoniły,
kwiaty upadły w trawę na twarz.
Polny mak zapłonął kolorem krwi,
rosa spływała kroplami potu, lzy.
Słońce przystało na chwilę.
Zatrzepotały jak chorągiewki
lekuchne skrzydła motyle.
Dziki powój na żytnich źdźbłach rozpięty
zdawał się śpiewać:
„Święty! Święty! Święty!”
Ofiarujemy Ci, Boże,
na ołtarzu tych urodzajnych pól
naszą pracę, pot, trud, radość i ból.
Ofiarujemy Ci z wdzięcznością w pokorze
nasze serca, dusze i wszystko co mamy.
O Święty, Wszechmogący Boże!

Na Anioł Pański

Zadzwończyły lipowe dzwoneczki,
przycichły na moment skowroneczki,
zapaliły się nad strugą kaczeńce,
brzozy nad wąwóz opuściły wieńce,
stokrotki podniosły swe maleńkie główki,
przykłęły białe makówki,
kłosy pokłoniły się w pas,
zamilkł ponury las.

Zaniemówił strumyk wiecznie rozgadany.
Wyprężyły się smukłe dęby wśród polany.
Mięta uniosła się kadzidel wonia,
a dzwonki dzwonią i dzwonią...
Wszystko co wyrosło z ziemi - matki łona,
szepotało: „Maryjo, bądź pozdrowiona”.

Msza leśna

Poranne modlitwy szeptał cały las.
Drzewa pochylały się ku ziemi, raz po raz.
Chwilami stały bez ruchu,
jak na podsłuchu.
Potężny dąb ku niebu konary prostował
jakby mszę celebrował.
Najwyższy świerk na polanie
szumiał, a może głosił kazanie?
Ukazało się słońce w czerwonej zorzy
i wszystko się przed nim korzy.
Drzewa poruszały listkami
jak dzwoneczkami.
Brzeziny przerzuciły w tył włosy jak dziewczyny,
założyły korale kaliny.
Rosa poświęciła wkoło wszystko,
daleko i blisko.
Na błogosławieństwo słońca
pokłonił się cały las.
Patrzyły ciekawie kwiaty niewinne,
słowik zaśpiewał psalmy dziękczynne.

Pieśń lasu

Chyliły się brzozy ku sobie i odchylały znów,
nuciły senną piosenkę cicho bez słów:
M... m... m... a... a... a... – ile uroku las w sobie ma.
O la la, szu szu szu – czy jest gdzieś piękniej niż tu?
Zaczerwieniły się kaliny z radości, z radości.
Dziewanny smukłe i łubiny w cichości, w cichości
marzyły, dumaly i leśnych psalmów słuchały.
A wszystkie kwiaty leśne - konwalie, fiołki i polny mak
śpiewały tak:
Boże, Boże jak pięknie jest pod tym polskim niebem,
las zielenią, ziemia pachnie dobrocią i chlebem.
Dzięki Tobie, Boże, niepojęty,
Święty, na wiek wieków Święty.

Wieczorem

Wieczorem, gdy się dobrze już rosa rozplące,
przychodzi chłód rześki i zdrowy.
Gdzieś wpuszczone wiadro w studni zakołacze,
pastuch nuci piosenkę zaganiając krowy.
A gdy mrok już dobrze swe skrzydła rozwinie,
czarne pióra rozsypie na sady i pola,
gdzieś w ciemnościach puszczyk ozwie się jedynie,
pies zaskomli żałośnie.
Smutna jest psia dola.

Miłość

Moja miłość to ogród kwiatów i drzew.

Moja miłość to niebo błękitne,
ptaków śpiew.

Moja miłość to wiejska chata,
zapach pachnących bzów
każdego lata.

Moja miłość to pole w skiby układane,
łany pszenne kwiatem przetykane.

Moja miłość to czyste strumienie,
słońca ciepłe promienie.

Moja miłość to rozczyn w dzieży
i chleb na stole świeży.

Moja miłość - najświętsza droga
dana mi od Boga.

Zapłonął staw

Zapłonął staw ogniem wschodzącego słońca.
Kwiaty, trawa, otrząsnęły
się z porannej kąpieli
w poranek majowej niedzieli.
Narazie cisza jak w kościele.
Słowik, co przez całą noc
odśpiewał psalmów tyle,
umilkł na chwilę.
Powoli zniknął szary cień.
Narodził się nowy dzień.
Po krótkim czasie -
kukułki, skowronki, wilgi, kosy,
darły się wniebogłosy.
Wierzby staruchy,
co nad stawem stały,
jeszcze w błogim śnie trwały.
W powadze nowy dzień witały.

Upał

Słońce tego dnia było bardzo gorące.
Mleczce blask przyćmiły,
powiedły trawy na łące,
stokrotki kładły na ziemi bezsilne główki,
opadły płatki z czerwonej makówki.
Ziemia popekała.
Polne bratki patrzyły w niebo,
szeptały: - Obłoki
spuście nam rosę,
dajcie nam pić,
chcemy żyć.
Ziemia na pół już martwa
od potężnego grzmotu drgnęła.
Z nieba niebieska rosa popłynęła.
Spragnionymi usty piła i piła,
zieleni ożyła.
Wszystko wokół pokrzepione,
obmyte wodą,
tryskało zdrowiem, życiem i urodą.

Noc

Upalny dzień minął,
pozostały omdlałe kwiaty.
Zwiądł powój
na ścianie bielonej chaty.
Nasturcja ledwo, ledwo zipie,
omdlały liście na lipie.
Nadeszła poważna, spokojna,
w czarnej sukni noc
i siała jedną ręką chłód,
drugą krople rosy,
równy, obficie.
O, biedne kwiaty polskie,
niech was ożywi ta rosa -
przywróci radość i życie.

Szумы

Czy szумы są do siebie podobne?
Ja powiem, że jedynie ten, co się w nie wsłuchał, wie.
Łany kłósów szumią sennie i żałośnie,
taką rozmarzoną pieśń o wiośnie.
Las szumi groźnie, huczy jak bas,
jakaś tajemniczą melodią napełnia nas.
Strumyk szemrze różnie. Gdy po kamykach skacze,
raz zda się, że chichocze, drugi raz, że płacze.
Najgroźniej szumi chmura gradowa –
trwogą i lękiem, trudno dobrać słowa.
Tak już jest, zimą czy też latem,
różne szумы rozlegają się nad światem.

Burza

Powoli na niebie zaczęły gromadzić się chmury.
Grzmot wstrząsnął niebem i ziemią, od dołu do góry.
Piorun ogniem niebo pruł –
z trzaskiem upadł w dół.
Pędzę na skróty ku zagrodzie!
Już wiatr gnie drzewa w ogrodzie!
Snopy po polach wlecze!
Błyskawice oślepiają oczy!
Deszcz bezlitośnie siecze!
Dopadłam progę,
odetchnęłam z ulgą.
Chwała Bogu!
Weszłam jak w objęcia matczyne ...
To mój dom, moje gniazdo jedyne.

Piękne, ale straszne

Piękne, ale straszne, jest niebo piorunem rozprute.
Korzenie sosny nad urwiskiem z ziemi wyzute.
Piękne, ale straszne, morze rozszalałe,
góry lodowe zamienione w skałę.
Piękne, ale straszne, jest niebo w ciemną noc.
Huragan ma w sobie nieograniczoną moc,
z wyciem miesza się bolesny krzyk czy jęk.
Są rzeczy piękne, ale mające w sobie jakiś dziwny lęk.

Huragan

Zasepiło się niebo chmurami,
szaro jak przed nadejściem nocy.
Zanurzyły się kwiaty w morzu trawy,
ku niebu patrzą wystraszone oczy.
Zaatakował wiatr drzewa w sadzie.
Wiły się jak w boleści,
trzęsły liśćmi, gałęziami,
a piach zebrany na szerokiej drodze
walił przed siebie pyłu tumanami.
Chmury obracały się jak ogromne koła,
jak wielkie głazy parły wprost na siebie.
Grzmot huczał złowieszczco, ponuro.
Piorun rył ogniem zygzaki po niebie.
Nagle szyba wodna przysłoniła świat.
Strugi deszczu beztrósco powietrze prwały,
legły na łanie chlebne, żytnie kłosa.
Małe strumyki tu i tam się snuły.
Nareszcie ucichło wszystko.
Z ogromnego oceanu nieba
poczęły spływać ostatnie chmury.
Drzewa prostowały gałęzie powoli,
kwiaty łzawe oczy podniosły do góry,
ale nie wszystkie, wiele z nich konało żywcem,
zamulone, nie mogły wyrwać z ucisku życia.
Dziewanny jak gromnice smutne postawały.
Gdzieś nad martwym pisklęciem
płakał ptak z ukrycia.

Kocham

Kocham rozległe pola jak jabłoń.
Kocham dach mojej chaty.
Tulę w objęciach gałęzie
wiosną przybrane w kwiaty.
Lubię patrzeć daleko,
gdzie niebo z ziemią się styka,
i na wzgórze, skąd się roztacza
piękna panorama.
Widzę brzozy strojne, poważne,
niejako w salonie damy,
zmęczony potok co płynie
i jęczy w głębokim jarze,
i kwiaty roześmiane,
gdy wznoszą swoje twarze.
Tęczę grającą na strunach blasków
- tę niemą barw muzykę -
i ptaka ściganego z góry,
gdy jak błyskawica gdzieś znika.
A nad tym wszystkim niebo,
błękitne, pogodne, bez chmur,
wydęte jak balon ogromny,
hen, podtrzymuje go bór.
Pieśń, barwa, zapach, blask -
burzą się w jednym kielichu.
Przyroda prezentuje co ma
w prostocie i przepychu.
Nie tęsknię za cudzą ziemią.
Moja najmiłsza, kochana serdecznie.
Dla mnie taką zostanie na zawsze,
na zawsze, wiecznie.

Pszczoły

Zaprosiły w gościnę kwitnące lipy
wszystkie pszczoły.
Pachniało kwiatem, dostatkiem,
nastrój był wesoły.
Rozbrzmiewała muzyka - pszczół wola,
aż się dziwiły łąki, las i pola.
Szeptaly między sobą: mój Boże,
czy piękniejsza muzyka na świecie być może?

Lato

W upalnym słońcu powietrze drży.
Słońce się niby ogniem skrzy.
Spękała ziemia w tej upalnej ciszy.
Kwiat zwiądnął w tym żarze, ledwo, ledwo dyszy.
A drzewa, które rzędem w sadzie postawały,
porażone pożogą słońca milczały.
Wszystko co żywe szukało schronienia,
wśród łagodnego i miłego cienia.
Nawet skowronek, co się wzbijał w podniebne strony,
umilkł bezsilny, strudzony.
A wieczorem zieleń upałem zwarzona
szepiała: - Roso, bądź błogosławiona.

Barwne kwiaty

Gdy patrzę na te kwiaty,
barwne jak motyle,
w cieniu poranka
rosą opryskane,
a wokół jak mgła przezczysta
wonie łagodnie rozlane,
i na te nad cichą doliną
wysmukle hoże jodły,
które z kwiatami
odprawiają swe modły.
Na topole, olchy, brzozy i osiki,
zielone listki wiatrem potrącane,
w szumie swym cichym
wiecznie rozśpiewane,
a z nimi razem i źródelka czyste,
i ptaki, i pszczoły –
wielbię Cię, Chryste.

W pogodne, letnie wieczory,
las odprawiał nieszpory.
Jarzębiny, kaliny
przesuwały czerwone korale,
odmawiały różaniec wspaniale.
W dolinie godzinki śpiewały łąki ukwiecone.
Brzozy jak pokutnice rozmodlone
kiwały się poważnie, w tę i tamtą stronę.
Dziki powój i chmiel swe wieńce rozciągnęły wszędzie.
Może Królowa Polski, wizytując swój kraj,
tędy przechodzić będzie.

Modlitwa kwiatów

Kiedy blaski zachodzącego słońca w szarej pomroce utonęły,
kwiaty wieczorne śpiewne modlitwy rozpoczęły.
Rządek bratków przy drodze rosą wieczorną łzawą śpiewał:
„Wszystkie nasze dzienne sprawy”.
Malwy ustawione rzędem przy bielonej ścianie:
„U drzwi Twoich stoję Panie”.
Róża pachnąca, piękna, szczęśliwa:
„Bądźże pozdrowiona, Hostio żywa”.
Piwonie z ognistymi nagietkami:
„Przed oczy Twoje, Panie, winy nasze składamy”.
Groszek pachnący z powojem, co się na różgi wzbija:
„Ave, Ave, Ave Maryja”.
Lilie królewskie, drobne białe kwiatki:
„Idźmy, tulmy się jak dziatki”.
Tysiące dużych i małych kwiatów, poważny
słonecznik i dziewanna,
ciągnęły potężnym chórem: „Hosanna! Hosanna!”.

Nad stawem stoi wierzba kaleka.
Kiedyś wiatr złamał ją wpół.
Od tamtej pory zawsze patrzy w dół,
nie może spojrzeć niebu w twarz.
W ekranie wody widzi jak na filmie:
słońce, obłoki, nocą niebo gwiazdziste
i strumienie czyste.
Zimą samotna, opuszczona,
wszystkie gałązki tuli do łona.
Może, jak poprzednimi laty,
wiosną wyda żółte pachnące kwiaty,
ktoś fujarkę zrobi z pochylonego drzewa
i wszystkie skarby ludzkie Bogu wyśpiewa.

Ten wiersz

Ten wiersz narodził się w radości,
kiedy to pod ciężarem ziarna pochyliły się kłosa
spijając krople porannej rosy.
Świergot ptaków, jak szczebioty dziecinne,
i wszystko wkoło śpiewało psalmy dziękczynne.
Pod lasem modrzew wysoki -
ciągle wpatrywał się w obłoki.
Zawsze taki skupiony, poważny stał,
może niebo z ziemią połączyć chciał?
Lekki powiew niósł światem
zapachy kwiatów i ziół.
Wierzba patrzyła z ciekawością
w dół, chciała ujrzeć w wodzie swoje oblicze.
Po stawie mknęły drobne fale,
jak rybne ławice.
A wokół tak pięknie,
to najpiękniejsza nasza ojczyzna.
Przez całe lato, od rana do rana,
lasy, pola, łąki, strumienie -
to wielki potężny chór,
od morza po szczyty gór.
Ukołysana ziemia
jak w pięknym śnie.
Taka jest moja ojczyzna,
to Polska właśnie.

Minęło wszystko

Listopadowy cichy zmierzch.
Minęła wiosna, lato jak marzenie.
Chude szkielety starych drzew
kładą swe smutne cienie.

Gdzieś w liści chmurze zabłądził wiatr
i rwał się dalej przemocą.
Na czarny granit podniebnych stron
wyległy gwiazdy nocą.

Noc zimna, ciemno, straszna noc.
Podmuchy wiatru złowieszcze.
Choć mróz ostatni zwarzył kwiat,
lecz śniegu nie ma jeszcze.

Jesień

Spustoszało już pole,
szarzeją się role.
Jesień nadeszła już mglista,
droga po deszczu błotnista.
Liście opadły już z drzewa
i żaden ptaszek nie śpiewa.
A na rozgrzężłe zagony
padają kraczące wrony.
Kwiatów przemarzłe korony
na ziemię całkiem opadły.
I tylko czasem słoneczka
wymknie się promyk wyblakły.

Mgła

Mgła zaległa cały świat.
Smutne okna wiejskich chat.
Słońko przedrzeć się nie może,
blask promieni, ani zorze.
Zasłonięty widok gdzieś,
w mgle zniknęła wieś.
Mgły srebrzystej zapadł cień,
czy to zmierzch jest, czy też dzień?
Jakiś świat jest zasmucony,
dziwny smutek we wsze strony.
Mgły jesiennej długa szata
zasłoniła widok świata.

Śnieżne aleje

Aleje zasypał śniegu biały puch.
Zakwitły na biało niskie kępy bżów.
Tuż wiotka gałązka ku ziemi się gnie,
a srebrne gwiazdeczki w słońcu skrzą się.
A wszystkie drzewa cicho, jakby martwe stały.
Obsypał śnieg kasztany i wiąz jest szerniały.
Aż nagle skądś zerwał się nieznośny wiatr
i zaczął obnażać drzewa z białych szat.
Zniknął powoli ten zimowy cud...
Gałązki znów szare stały się, jak wprzód.

Do mojej chaty

Do mojej chaty polna wiedzie droga.
Zimą zmarznięte bryły tworzą bruk.
Po bokach trawy lodowe wisiory
leżą bezładnie jak rozpadły stóg.
Czasem nią drepcze czarna, chuda wrona,
kracze zgłodniała przy krzaku róż,
co dawno stracił letnią urodę,
a zamiast żeru tylko zamieć, mróz.
Zimą widzę smutną i pustą tę drogę.
I żal mi czegoś, co powiedzieć trudno.
Wciąż przed oczyma widzę kwiatów krocie:
chabry, rumiany i skromne stokrocie.
I traw zielonych dywan puszysty.
I skowronkowej nutki głos srebrzysty.
Czuję zapach rumianku, polnej dzikiej róży,
blask kłosów, co jak woda mieni się w kałuży.
Przynosi mi wspomnienie z dawnych lat dziecinnych,
odmieniony, jesienny krajobraz, dziś inny.

Kościółek Św. Anny

Mam taki zakątek przy kościółku św. Anny w Końskowoli,
gdzie mogę pomarzyć, podumać, w cichym poszumie wiatru
nasłuchać się legend do woli.

Gdzie święta Matka matek chrześcijańskich
patrzy z ołtarza tak ciepło, tak czule,
na te, które u jej stóp zanoszą w modłach skargi,
prośby, cierpienia i bóle.

Gdy lipy czuwające przy kościółku
wypuszczą pachnące miodem kwiaty pierwsze,
przy świetle księżyca Książnin recytuje swoje wiersze.
Zabłocki jako cień na pnium zamyślony cicho siedzi,
nad nową sztuką się biedzi.

Lekki powiew wiatru dochodzi od rzeki,
szumią olszyny jak górskie smreki.

Jak ciche kazania (kiedyś przed dawnymi laty
głosił ksiądz Grzegorz Piramowicz,
dla nas to pierwszy minister oświaty)

płyną psalmy słowików wśród księżycowej poświaty.

Suną w pochodzie wierni,

księżne odziane w długie, z mgieł utkane szaty,

za nimi magnaci i zwykli panowie,

hetmani, wojownicy i generałowie.

Ile tu ich przebywało, kto zliczy, kto powie?

I już polami szedł cicho świt biały,

nad tym co się tu działo - rosy zapłakały.

Tylko lipy rozbawione jeszcze

listkiem o listek biły ciągle brawa.

Odchodzącym w przeszłość pokłoniły się kwiaty, drzewa,
trawa.

Zmęczeni życiem kamiennym snem zasnęli.

Jak pory roku, dnia i nocy,

byli tu, żyli, przeminęli.

Witam Cię

Witam Cię co dzień, Matko Święta,
w kapliczce, u rozstajów dróg.
Witam Cię, Pani Wniebowzięta,
za Matkę wybrał Cię sam Bóg.
Kłaniają Ci się złote kłosy,
kwiaty składają w wieniec główki swe,
perłami sypią krople rosy,
brzozy się modlą nocie i dnie.
Klękam przed Tobą na kolana,
modlitwy mej wysłuchać chciej.
Najmilsza z matek, ukochana,
swe święte łaski na nas zlej.
Całuję ze czcią święte ręce,
w fałdach Twojej szaty kryję twarz,
składam ten bukiet róż w podzięcie
za serce, którym darzysz nas.
A gdy nadejdzie rozstania dzień,
zgasną ostatnie promienie słońca,
powitam Cię wzruszona łzą -
radości mojej nie będzie końca.

Maj

Nadszedł maj – miesiąc Jasnogórskiej Pani.

Kwiaty kwiatom, drzewa drzewom powtarzały:
jesteśmy przygotowani.

Trawy ułożyły się w dywan puszysty, pachnący, świeży
i czysty.

Żółte kaczeńce ustawiły się w szeregu przy samym brzegu.

Stare drzewa, co to niejedno już w świecie widziały,
najstarszą polską pieśń żołnierską BOGURODZICA DZIEWICA
śpiewały.

Mgły szybko długi welon utkały,
by Panią czym osłonić miały.

Zgromadziły się polne róże, konwalie, fiołki, by do stóp Matki
rzucić garściami pachnące kwiatki.

Niebo jasne, błękitne, jak polne bławaty,
czyżby wiatr rozwijał po obłokach Matki Bożej szaty?

Długo szła, aż w pierwszą noc majową
nasza wioska witała Ją fujarką wierzbową.

Księżyc znaczył drogę, toczył się leniwie u Jej nóg,
błogosławiła dziewczęta śpiewające pod kapliczką u rozstaju
dróg.

Matka Boża Zielna

Idzie po pustych już polach
z bukietem kłosów, słoneczników na rękę.
Pełna spokoju, powagi, wdzięku.
Czasem jeszcze stary wieśniak,
w słomkowym kapeluszu, boso,
ostatkiem sił docina pozostałe kłosy kosą.
Krople krwi wytryskują z zaklutyh ścierniskiem ran.
Trzeba zebrać wszystko, co od gradu zachował Pan.
Rozrzucone kłosy drżącymi rękami zbiera,
pełne, pachnące chlebem, radość mu serce rozpiera.
Liczy się każde ziarno, każdy snop.
Chyba nikt nie kocha tak ziemi ojczystej
jak polski chłop.
Po skończonej pracy podnosi ociekającą
potem twarz ku niebu
i szepcze w pokorze: „Za ten chleb,
za to dorodne zboże, dzięki Ci, Boże”.
Garść tych kłosów poniesie do kaplicy
by złożyć hołd dziękczynienia
Matce Bożej – Bogarodzicy,
Matce Bożej Zielnej,
która od wielu już lat idzie w to święto
przez pola, błogosławi cały świat.

Nawiedzenie

Pani Jasnogórska, królujesz nam już sześćset lat.
Świętej Królowej zazdrości nam świat.
Poznałaś już nasze wzloty, upadki, klęski i zwycięstwa.
Znasz ducha narodu, siłę odwagi i męstwa.
Gdy Polskę pokaleczono z drutu kolczastego koroną,
byłaś naszą całą nadzieją i obroną.
Gdy dym z krematoriów tłukł się z rozpaczy nad polami,
byłaś z nami.
Z Twoim imieniem szedł żołnierz na bój,
więzień do chudej piersi pod pasiakiem tulił wizerunek
Twój,
a gdy strzepy ciał ludzkich oddawały już ostatnie tchnienia,
kładaś swoje święte dłonie na stygnące skronie.
Płakały dzikie gołębie,
psalmy żałobne nocami śpiewał chór słowików –
Pani Jasnogórska, Królowo Męczenników!
A gdy wiatr wymiół z polskiej ziemi ostatnie kłęby dymu
cuchnącej mgły,
patrzyłaś na swój kraj nad Wisłą,
jeszcze krwią zabarwioną,
na rany poszarpane cierniową koroną.
Błogosławiłaś trud, gdy zniszczone miasta i wioski
odbudowywał pracowity polski lud.
Ziemię zrytą pociskami równały chłopskie ręce
zanosząc Bogu swój trud w podzięce
za to, że wrócił, że może żyć pod tym polskim niebem,
obsiać tę ziemię ziarnem, by podzielić się z innymi chlebem.
Pani Jasnogórska, dziś znów przeżywamy trudny, ciężki czas!
Chcieliśmy poskarżyć się przed Tobą, gdy jesteś wśród nas.
Spójrz na te serca zalęknione, zastraszone, na łyzy.
Obeszłaś z Dzieciątkiem na rękę cały kraj wzdłuż i wszerz,
pознаłaś nasze dole i niedole, wszystko o nas wiesz.

Z tego umęczonego narodu Bóg powołał Papieża.
Polak - nasz brat,
który wielką miłością i dobrocią zjednał sobie świat.
Twojej opiece Papieża polecamy.
Królowo Apostołów, módl się za nami!
Błogosław polom, aby chleb rodziły,
pracy rąk ludzkich, czasem ponad siły.
Przyjmij nasze prośby, podziękowania, jakie Ci składamy.
Królowo Polski,
Królowo Pokoju,
módl się za nami!

Nawiedzenie II

Przyszła do naszego domu w noc listopadową.
Płomień świec rozjaśniał mrok wilgotnej mgły.
Z sercem bijącym radością otworzyłam drzwi,
weszła do mojej wiejskiej chaty,
na stole czekały na Nią kwiaty.
Była z nami przez całą noc.
Poznała dole i niedole całej naszej wioski,
radość, pragnienia, troski.
A gdy już była w moim domu blisko,
opowiedziałam Jej wszystko.
Czasem biłam się w piersi wołając: - Matko Jedyna,
moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina!
Jestem słaba, bardzo żałuję za me grzechy,
ale spojrzij na moje śpiące pociechy.
Spraw, aby były zdrowe,
miały chleb i wszystko, co trzeba,
Bóg wspierał laskami z wysokiego nieba.
I nie wiem, chyba mi wszystko wybaczyła,
bo patrzyła z obrazu taka uśmiechnięta, miła.
Żal mi było, gdy opuszczała chaty mojej progi,
płakałam, ale w sercu czułam pokój błogi.
Za to, że odwiedziła nasz dom, w serdecznej podzięce,
ucałowałam z dziećmi Jej święte ręce.

Matka

Była pogodna jak niebo,
miała w sobie tyle ciepła, co słońce promieni.
Hojna dla biednych, jak jabłoń w jesieni.
Jak sokół - spostrzegawcze oczy.
Umiała ukryć zmęczenie po pracy i nieprzespanej nocy.
Spokojna jak w dolinie staw,
mecenas od wszystkich spraw.
Świeżym chlebem pachnąca.
Chude i twarde jak drzewo ręce miała,
nie mógł nikt widzieć, jak płakała,
kapłanka domowego ogniska,
zawsze kochana, sercu bliska.
Tyle piękna kobiecego w sobie miała!
Do modlitw z wielkim skupieniem klękała.
Potrafiła dla każdego znaleźć życzliwe słowo,
umiała w nasze serca wszczepić wiarę Chrystusową.
Cierpliwa, choć niejedną chwilę bolesną przeżyła,
nigdy się nie skarżyła.
Taką już była do ostatka,
nasza Matka.

Mamo

Widzę Cię schyloną nad kołyską,
wtedy pieściłaś mnie tak czule.
Jesteś mi droga nade wszystko,
do Twojej zimnej piersi głowę tulę.
A kiedy Ciebie już zabrakło -
tak, bardzo pusto, tęskno mi,
nikt już nie patrzy na mnie czule
tak, jak patrzyłaś kiedyś Ty.
Chciałam poskarżyć się przed Tobą -
ciemnistą drogę dał mi los,
trud, ciężar życia wlokę z sobą
i często wołam tak na głos.
Mamo zwróciłaś z portretu ku mnie twarz,
Mamo czemu tak smutne oczy masz?
Ja Ciebie kocham wciąż tak samo -
Mamo ... Mamo ...

Mama

Widzę Cię drepczącą bosymi stopami
koło obejścia studni wszystkimi ścieżkami,
w lnianej koszuli, w dni upalne potem zlaną;
i ręce zgrubiałe od pracy ofiarne.

Widzę Cię szepczącą w ciszy południa „Anioł Pański”.
Słyszę łagodny głos i moje imię.

Widzę Cię schyloną nade mną we śnie,
oczy łagodne, wyblakłe, co tak szczerze
patrzyły na wszystko i na mnie.

Widzę Cię snującą, tu i tam, po chacie,
otwierającą skrzypiące drzwi,
uśmiech rzadki, poważną, pomarszczoną
twarz i w szarych oczach łzy.

I tak ciągnie się wspomnień nie kończąca gama –
to była moja najdroższa mama.

Mamo, rzucająca ziarno ze zgrzebnej płachty,
szorstką dłonią ocierająca pot
ze zmarszczonego czoła,
płacząca nad zmarłym dzieckiem,
w obraz Matki Częstochowskiej wpatrzona,
zrozpaczona.

Matko brzemienna, karmiąca,
na modlitwie klęcząca,
pachnąca świeżym chlebem,
ścieżką do studni drepcząca,
zanurzająca bose stopy
w zroszonej trawie.

Skąd brałaś tyle siły
na łożu śmierci.
Cierpiałaś bez słowa jęku, skargi.
Modlitwa ostatnia
zamknęła Twoje wargi.

Mamo, z domu dziecka ten list do Ciebie piszę.
Nie wiem czy Cię zobaczę kiedyś,
czy głos Twój usłyszę.
Którejś nocy widziałam Cię we śnie...
byłaś taka piękna, młoda, rumiana, tak ładnie ubrana.
Przez cały dzień ten sen chodził za mną jak cień.
Kochana, gdzie mam szukać Ciebie?
Na ziemi, czy w niebie?
Chyba nie zapomniałaś mnie?
Przypomnij sobie,
kiedyś urodziłaś mnie na świat.
Minęło już tyle lat,
a ja ciągle czekam,
modłę się, płaczę, tęsknię ogromnie.
Mamo, nie zapomnij o mnie.

Ojciec Święty

Z błogosławieństwem Bożym
stałeś wśród nas.
Radość powitania –
ku niebu podniósł się rąk las.
Ucałowałeś ziemię krwią, łzami przesiąkniętą,
ziemię umęczoną, świętą.
Dziękujemy Bogu w niebie,
że właśnie z tej ziemi, na stolicę Piotrową
wybrał, Ojciec Święty, Ciebie.
Odprawiałeś Mszę Świętą pod polskim niebem.
W czasie podniesienia
zakołysał się lud w pokłonie,
skrzyżowawszy na piersiach dłonie.
Oto zstąpił na ziemię Syn Boga Żywego,
umęczony, z krzyża zdjęty.
Wszystko co żyło: drzewa, kwiaty, łąki, strumienie,
razem z ludem szeptało:
Święty, Święty, Święty.

Gdy nam ciężko, w oczach czujemy łzę,
słyszymy głos Piotra naszych czasów:
„Nie lękajcie się, nie lękajcie się!”

Ojcie Święty Janie Pawle II

Jesteś bliski, przyjazny każdemu.
Zawsze pogodny, uśmiechnięty.
Umiłowany Ojcie Święty,
choć żaden trud z życia Twego
nie jest usunięty,
idziesz z dobrą nowiną,
błogosławieństwem.
Ojcie Święty,
płaczących pocieszasz,
łzy ocierasz,
pochylasz się nad biednymi
litością przejęty.
Ojcie Święty,
gdy Cię raniono boleśnie
upadłeś jak kłos podcięty.
Ojcie Święty,
powstałeś by iść dalej,
choć krzyż stał się ciężki,
jeszcze na Golgocie życia nie został zatknięty.
Ojcie Święty...

Papież

Z błogosławieństwem matczynym
stał wśród ludu, który umiłował,
na błoniach krakowskich, na ścieżkach,
na drogach życia z przeszłości.
I szedł za Nim tłum, rzesze,
jak ongiś za Chrystusem.
Pod jasnym pogodnym sklepieniem nieba
odprawił Świętą Mszę,
a naród śmiał się i płakał,
wyciągał ku Niemu ręce, by dotknąć szat.
Jakaś niepospolita radość, spokój
owładnęły świat.
I wszystkie serca, myśli i uczucia
rwały się tam,
gdzie w ciszy podniesienia, ofiarowania,
na błoniach krakowskich, zstąpił Chrystus sam.
W ciszy słyhać tylko Papieża szept przyciszony.
Uginały się kolana, schylały przepojone szacunkiem,
miłością do Boga twarze.
Zakołysał się w pokłonie lud
we wszystkie strony.
A kwiaty, drzewa, chlebne łąny, łąki, strumienie
razem z ludem szeptały:
Święty, Święty, Święty!

Noc z Ojcem Świętym

W tę świętą noc Bożego Narodzenia
wyciągnąłeś do nas ręce,
by podzielić z rodakami opłatek biały.
Są chwile, kiedy narody są sobie takie bliskie,
jakby do tej wspólnej rodziny zwanej Ludzkością,
należał rozrzucony po kuli ziemskiej świat cały.
Wyciągnąłeś ręce do kraju tego,
gdzie znane Ci jest wszystko, każdy zakątek,
góry, równiny, łąki, pola, rzeki,
do kraju, gdzie króluje
Jasnogórska Pani, teraz i na wieki.
Do kraju, gdzie lud ciężko pracuje
w kopalniach, hutach, fabrykach,
na roli w trudzie i mozole uprawia pole.
Ojczy Świąty, wiesz o nas wszystko,
znasz nasze troski, dole i niedole.
Do kraju, gdzie lud utrudzony w noc bezsenne
myśli co uczynić, by podnieść Ojczyznę swoją
do godności, rozkwitu i sprawiedliwości
i bronić praw swoich, ludzkiej godności.
Z rozradowanymi sercami dzielimy ten opłatek,
przyjmujemy życzenia szczerze, Boże, cenne.
Z wielką pobożnością naród polski słów Twoich,
Ojczy Świąty, słucha,
słów ku pokrzepieniu serc, ku pokrzepieniu ducha.
A przez to lżejsze są nasze udreki,
Bóg zapłać, serdeczne dzięki.

Rozstanie z Ojcem Świętym

Gdy przyjeżdżałeś do swej ojczyzny
każdy był radosny, uśmiechnięty, Ojczyce Święty.
Gdy był stan wojenny użyto czołgów na zrozpaczony lud.
Błagaliśmy Boga o przemienienie, o wolności cud.
Smutkiem przepojone noce i dni.
Przybyłeś do nas jak ojciec do dzieci,
wlałeś w serca otuchę słowami „Nie lękajcie się!”.
W każdej chwili życia, w każdej potrzebie
byłeś z narodem polskim.
Całą siłę do życia,
Ojczyce Święty, czerpaliśmy z Ciebie.
„Niech zstąpi duch Twój i odnowi oblicze Ziemi, tej Ziemi”
- te słowa jak psalm święty żyją wśród nas.
Duch Święty zstąpił na polską ziemię
i pozostanie z nami na wieczny czas.
Gdy witaliśmy Ciebie w naszej ojczyźnie
byłeś dla nas jak w dzień pochmurny jasność słońca.
Radości naszej nie było końca.
Gdy odszedłeś w cichą kwietniową noc,
zapanowała w naszym kraju żaloba, jak cisza grobowa.
„Otwórzcie drzwi Chrystusowi” - w pamięci ożyły Twe słowa.
Ojczyce Święty, dziękujemy za wszystko.
Rozstanie to odczuliśmy boleśnie.
Dobrze nam było z Tobą, odszedłeś jeszcze za wcześnie.
Jeśli Bóg pozwoli przyjdź do swej ojczyzny z cichą wizytą,
Santo Subito.

Błaganie

Spojrzyj czasem Ojcze Święty na ziemię ojczystą z nieba.
Błogosław miasta i wioski, dary które spożywać mamy,
błogosław kromki razowego chleba.

Nasza ziemia jest piękna,
strojna latem śpiewem ptaków i kwiatem.
Czujemy tę bliskość, że jesteś zawsze z nami.

Ojcze Święty, po dawnemu Cię kochamy!
Błogosław ojczyznę, która jest nam droga,

uproś pokój na świecie u Boga,
by nikt nie mówił już o wojnie,
dzieci mogły rodzić się spokojnie,
by nie było w ludziach podłości,
starzy mogli dożyć spokojnie starości,
czysta i piękna była polska mowa jak modlitwy słowa.

O to zanoszę pokorne błaganie –
do takiej Polski, tęskno mi Panie.

Wśród ukochanych pól

Stoi samotny krzyż.

Kiedyś wyciągnął ramiona ku niebu wzwyż,
teraz spróchniały, pochylony,
upadłby na pewno na ziemię,
gdyby nie lipa litościwa -
wzięła krzyż w ramiona
jak matka frasobliwa.

I dźwiga ciężar, listkami otula,
gdy deszcz zimny siecze,
wiatr po polach hula.

Czasem uklęknie pod nim pachole,
wieśniak czapki uchyli idący w pole,
niewiasta westchnieniem pozdrowi.

I zda się, że Chrystus wyciąga
swe święte ręce nad zagony
i błogosławi na wszystkie świata strony
pracy ciężkiej, wieśniaczy trud,
błogosławi cały polski lud.

Krzyż

Opadły ramiona spróchniałego krzyża,
wizerunek Chrystusa na ziemię spadł.
Zawył z rozpaczy nad polami wiatr.
Brzoza jeszcze bardziej się zasmuciła,
polny bratek ze wzruszenia zbladł,
powój owinał wizerunek w białe kwiatów prześcieradło,
które na ziemię spadło.
Długo rosa wieczorem ronila łzy.
Powoli wizerunek Chrystusa okryły zielone mchy,
a potem u płaczącej brzozy stóp
powstał maleńki grób.
Ziemia wydała polne kwiatki, rumianki, bławatki,
latem słowik zapłacze,
czarna wrona ochryplym głosem zakracze.
Czasem przeleci światem z piorunami ulewa.
Brzoza po dawnemu smutna,
patrzy jak próchnieją resztki krzyżowego drzewa.

Droga krzyżowa

Jeszcze kwiaty spały na poduszkach mchu,
jeszcze nad polami snuły się tam i tu mgły, smugi pajęcze,
a już skowronek oznajmił nutą solową,
że czas rozpocząć drogę krzyżową.
Dąb pełen skruchy i upokorzenia,
że Chrystus na drzewie zawisł dla ludu zbawienia.
Ciernie w zaroślach się skryły, tak się wstydziły,
że z nich ludzkie ręce koronę Panu uwiły.
Dzięcioł stuka jakby gwoździe do krzyża przybijał,
z drzewa na drzewo skacze.
Dziki gołąb ciągle płacze.
Brzozy jak niewiasty jerozolimskie zrozpaczone
też płaczą nad ziemią pochylone.
Mękę Pańską śpiewał słowik,
zdawało się, że śpiewa w pewnej chwili:
- Zabili... zabili... do krzyża przybili!
A potem, jakby ciche łkanie,
i znów na cały głos: - Ale zmartwychwstanie!
Osiki ze wzruszenia drżały, leszczyny z żalu liście poskręcały,
a wszystkie drzewa jakby w ogromnym pochodzie
drogą krzyżową podążały.
Pod lasem na pagórku stał krzyż, jak na Polskiej Golgocie,
w woni kadzideł, promieni słońca złocie.
Rzesza mleczków, stokrotek zewsząd go otoczyła
i tu się droga krzyżowa zakończyła.
A nad polami śpiewały ptaki,
nuta piękna, znana -
"Alleluja!
Zmartwychwstał!
Chwalmy Pana!"

Ziemia

Ziemiu moja, znam Cię od dziecka.
Jestem z Tobą tak bardzo zżyta.
Nikt mi tego nie mówi,
wiem, kiedy jesteś biedną,
głodną, opuszczoną,
a kiedy urodzajną, żyzną, sytą.
Znam Cię o każdej porze roku,
co dnia, od rana do wieczora.
Wiem kiedyś wątła, bezsilna, chora.
Widzę Cię spękaną słońcem i mrozem,
cicho drzemiącą
albo falującą dorodnym zbożem.
Od Ciebie zależy mój byt.
Od Ciebie zależy, czy jestem bogata, czy uboga,
i dlatego jesteś memu sercu
tak bliska i droga.
Cieszę się, ale bywa, że płaczę nad Tobą.

Chłopskie dziecko

Na ściernisku na polu kołyska stała,
dziecię spało, a matka ciężko pracowała.
Spadał jej z czoła strugami pot czysty,
jak rosa z trawy w poranek mglisty.
A gdy dziecko w kołysce cicho zakwililo,
matczysko ku niemu szybko pospieszyło.
Śpij jeszcze trochę, dziecino mała,
bom jeszcze snopów nie pozbierała,
czas już najwyższy, stoją mendle wszędzie,
śpij, skowroneczek śpiewać tobie będzie.
Otarła pierś chustą, dziecięciu ją dała:
nie płacz, tak bardzo ciebie kocha mama,
pobaw się trochę sama.
Niedługo słońko schowa się za borem,
pójdziemy do dom wieczorem.

Dom

Niech będą błogosławione ręce ojca twarde od pługa,
bosymi stopami mierzona każda bruzda długa.
Twarz mizerna, słońcem spalona ...
Tam się składały w bochen wielki skibki chleba ...
Karmiła nas przez ojca uprawiana gleba.
Niech będzie błogosławiony dach,
czasem sponiewierany przez burze,
a przy nim lipy duże.
Ten dom bielony wapnem, miły ...
Wielka przestrzeń życiowa,
dająca spokój, ciepło i siły.

List

Drogi tato, u nas w pełni lato.
Kłosa ziarna z wiatrem
jak ławice ryb w stawie.
Upał, nie ma nawet rosy na trawie.
Zakwitły lipy, malwy omdlałe ledwie dyszą.
W południe pola wypełnione ciszą.
Dojrzewają kłosa,
niedługo legną na pokosa.
Przyjdź do nas czasem nocą,
gdy Drogę Mleczną gwiazdy wyzłocą.
Zobaczysz, jak się u nas zmieniło.
Drzewa porosły, w sadzie uli kilka.
Zdawałoby się, że upłynęła czasu chwilka.
Piękna nasza ojczyzna.
Piękne jest polskie lato.
Proszę, przyjdź tato.

Leć ziarno

Leć ziarno na zagony,
leć ziarno z ręki, leć.
Nim zasypią cię brony,
ty mi słońce świeć.
Twych promyków trzeba,
ciepłych deszczów znów,
by nie brakło chleba,
jak dobrych ludzkich słów.
Niech nam nigdy nie braknie
urodzajnych lat.
Niech chleba nikt nie łaknie,
jak szeroki świat.

Jęczmienny łan

Jasny, wybielony słońcem, jak włosy dziewczyny,
tak pięknie wyglądał na tle koniczyny.
Czasem wędrowny chrząszcz kiści się wieszał,
a wiatr gładził kłosa, cesał
z przedziałkami na przedzie, w bok,
a dalej o krok, okrągły kok.
I znów to razem wymieszał,
ponownie cesał.
Najeżone, przekładane i jak płótno tkane,
umyte wieczorną rosą, słońcem osuszone,
posłusznie układały się w każdą stronę.
A gdy w skwarze południa
cisza legła nad polami, legła utrudzona,
wianek na uczesane włosy
włożyła równo, wokół, koniczyna czerwona.

Kłosa

Patrzę na wielki żytni łan,
który wciąż płynie i płynie,
z góry ku cichej dolinie.
Drobne fale kłosów gonią się niespokojnie,
wirują jak morskie odmęty.
A ponad nimi szare skowronki
płyną jak małe okręty.
Pienią się kłosa, wrą, przelewają na boki,
w przód i tył,
a ponad polem się unosi jak para
lekki kwiatu pył.
Zdaje się, że nad pola równiną
ławice drobnych ryb płyną.
To chlebne żytnie zboże, ten łan, to rzeka,
to istne morze.

Skwar

Zroszona potem wśród skwaru południa,
zbieram ścięte chlebne kłosy
położone równo na pokosie,
jak jasne, uczesane włosy.
Już siły braknie, a na łanie jeszcze tyle zostało!
Cierń rżyska zranił mi boleśnie ciało,
usta spragnione jakaś niemoc ogarnęła,
ciężar na grzbiet spadł.
Patrzę na swoje zgrubiałe palce,
nabrzmiące żyły
i unoszę ku niebu zroszone potem czoło,
i szepczę cicho w pokorze:
- Ojczy, którego mądrości i dobroci
nikt pojąć nie może,
te ziarna w kłosach, to nasza manna
dana nam na pokarm. Dzięki Ci, Boże!

Każdego lata mój tato
na fujarce wierzbowej grał.
Gdy mu przyszła ochota
stare dzieje opowiadał.
Przypominam sobie z tamtych lat co nieco,
lata tak szybko lecą.
Żałuję bardzo, że wtedy
nie znalazłam jakiegoś sposobu,
pozwoliłam tyle historii
zabrać ojcu do grobu.
Dziś żałować na próżno,
już za późno.

Z dzieciennych lat

Pamiętam, gdy do szkoły biegłam jeszcze zaspana,
mama wciskała mi kromkę chleba:
„Weź, bo nie jadłaś nic z rana”.
A gdy na pierwszą przerwę biegliśmy na oślep,
z kminkiem, czarnuszką, czasem z makiem.
Ach, jak smakował mi ten chleb.
Pamiętam pierwszych żołnierzy,
jak do ojczystych stron wracali,
witani chlebem i solą – jedli, płakali, żalowali.
Pamiętam, gdy komuś z domu w drogę iść było trzeba,
kładł do tobołka kromkę szarego chleba.
Pamiętam pannę młodą w dniu, w którym ślubowała.
Na progu, na nową drogę życia,
matka bochenek chleba jej dała, mówiąc:
„Oby wasza rodzinna chata
była obfita w chleb i bogata”.

Chleb

Za oknem śnieg, nieprzyjemnie, zimno.
Patrzę na chleb leżący na stole.
Widzę w nim kwitnące żyto unoszące się
pyłkiem ponad polem,
źdźbła szeleszczące, kłosy ziarnem tryskające.
Czuję zapach macierzanki
i dzikiej róży, stroję z kwiatów wianki.
Słyszę wiatr zmienny, niestały,
zmuszający kłosy, by mu się kłaniały.
Wśród kłosów jak po wodzie brodzi,
odchodzi i znów przychodzi.
Słyszę krzyk przepiórki ukrytej za ogrodem:
„Pod spodem chleb z miodem”.
Tym samym głosem żniwiarzy przynaglała:
„Chodźcie żąć! Chodźcie żąć!” – śpiewała.
Słyszę ostrzenie kosy, opadające ciężkie kłosy
i słońca ciepłą pieszczotę, i ziarno srebrne, złote,
rzyska podobne do wyschniętego ugoru
i pierwszy chleb z nowego zbioru.

Chciałabym zanieść Chleb, tam, gdzie go nie ma,
podzielić się nim rękami obiema.
Z tych pól chlebnych, zbitych ulewą i burzą,
z tych pól, co chlebem służą.
Chciałabym Chleb ten dać całemu światu – siostrze i bratu.
Chciałabym każdego obdarować Chlebem na drogę,
ale dla wszystkich ludzi całego świata dać Go nie mogę.

Dary ziemi

Ta ziemia szara składa swe dary na ołtarzach pól
strojne w kwiaty polne: maki, bławatki, rumianki.
Rankiem srebrzysta rosa świeci, kłos koło kłosa,
żółte mlecze jak lampki oliwne płoną,
dziewanny okryte tiulową mgieł zasłoną
przechylają się w tę i tamtą stronę,
jak anioły w modlitwach zatopione...

Pola złote

Idę do was moje pola złote,
by utulić serca tęsknotę,
spijać zapach kwiatów
jak mocne trunki,
iść środkiem pola
i zbierać żytnich kłosów pocałunki.
Słuchać pszczelego grania,
ptaków śpiewania,
cieszyć się pięknym widokiem wkoło.
Gdy wiatr pieszczotą
gładzi rozpalone czoło,
usiąść pod smutną gruszą na miedzy,
patrzeć w błękitne niebo,
śledzić motyle
i zdrzemnąć się chwilę.
Śnić o swej ziemi ojczystej
by stała się taką,
jaką Bóg widzieć by chciał -
dobro zło zwyciężało,
miłości i chleba każdy pod dostatkiem by miał.

Ten skrawek ziemi polskiej
jest moją ziemią świętą, obiecaną,
nade wszystko umiłowaną, ukochaną.
Mój dom to ciche Jeruzalem.
Sad drzew jak Ogród Oliwny.
Panuje w nim cisza, spokój przedziwny.
Drzewa jak panny ewangeliczne
nisko się kłaniają,
szepetem z wiatrem psalmy odmawiają.
Droga wśród pól do Emaus wiedzie.
Dzisiejsi Łukasz, Kleofas...
szukają pracy, chleba w biedzie.
Moje Betlejem to siano pachnące na łące.
Ciężar życia codziennego jest jak Golgota,
ku lepszej przyszłości tęsknota,
udręczenia, troski, których nie da się utopić
w zapomnieniu morza.
I krzyż spróchniały na rozdrożu.
Wieczernik to kościółek w środku wsi,
stamtąd czerpię siłę
na dalsze życia dni, tam przestają oczy
ronić łzy.
Wiem, że w każdym miejscu, w każdy czas -
Chrystus jest wśród nas.

Rozległe pola Ewangelię głoszą,
gdy wiosenne zorze świat ogarną.
Wyszedł siewca, by siać ziarno.
Piękne strojne dziewanny
jak ewangeliczne mądre panny.
Czyste źródełko jak samarytanka
poi łaknących od samego ranka.
Drzewa jesienne ociekające rosą,
gdy już liście tracą –
błogosławieni, którzy płaczą!
Brzoza zamyślona nad tym,
że dni minione już nie wrócą –
błogosławieni, którzy się smucą!
Stary cmentarz, gdzie krzyże już mchem porastają –
błogosławieni, którzy w Panu umierają!

Popielec

Ucichło wszystko, cień dziwnej zadumy...
Drogami życia przed nami
przeszły jak pochód przeogromne tłumy.
Myśl poważna każe się zastanowić...
Chyłą się wszystkie głowy w pokorze,
jak na ogromnym łanie kłosujące zboże.
Spada na głowę popiół, szare prochy,
to ziemia szara spod pługa, spod sochy.
Towarzyszy szept cichy:
„Wyrosłaś z ziemi i do niej wrócisz,
bo prochem jesteś i w proch się obrócisz”.

Święta noc

Przygotował się las na przyjście świata Zbawiciela.
Przedarły listki przez śnieg borówki i inne ziele,
drzewa chude ramiona rozkrzyżowały,
wieczne modlitwy szeptały.
Świerki przywdziały białe komeżki,
śnieg okrył czarne drogi i ścieżki,
trzciny puszyste bukiety ułożyły,
jałowce, jak zielone jeże, kolce najeżyły.
Przybiegły zwierzęta, sarny, lisy, zające.
Utknęły w śniegu, jak w trawie na łące.
Nie boją się siebie, zgodni, wyrozumiali,
wpatrzeni w niebo - czekali.
Nadeszła północ, najjaśniejsza z gwiazd stoczyła się nisko,
wierzchołków drzew blisko.
Inne zgrupowały się, niczym anielskie chóry,
na całym niebie od dołu do góry.
Wśród nich, jakby niebieskie oczy Dzieciątka patrzące -
najdalszy zakątek ziemi przenikające,
krople łez maleńkimi gwiazdkami spadały.
Czyżby nad światem zapłakał Jezus mały?
Strwożone drzewa trącając się pytały jedno drugiego:
- Dlaczego płacze? Dlaczego?
Stojące pod białymi parasolami sosny
rozpoczęły śpiew żaloszny:
„Niemąło cierpiał, niemąło,
żeśmy byli winni sami,
a Słowo Ciałem się stało
i mieszkało między nami”.

Wieczera wigilijna

Duży stół,
garść siana,
a na nim serweta lniana.
Przy stole z opłatkiem w ręku
stała nasza mama,
ładnie uczesana, odświętnie ubrana.
Zgasło światło lampy,
ojciec przy świecach Ewangelię czytał.
Było tak cicho, uroczyście,
tylko zegar tykał.
Anioł Pański odmawialiśmy wszyscy razem na głos.
Mama opłatkiem nas dzieliła
i mówiła:
- Żebyście w dobrym wytrwali,
Bogu i ludziom się podobali,
w zdrowiu, błogosławieństwie Bożym
drugiego roku, drugiej Wigilii doczekali.
Potem czyniła znak krzyża nad stołem
mówiąc: - Pobłogosław Panie Boże nas i te dary.
Na stole stanęła miska kapusty z grzybami,
kasza jaglana z grochem i mak z kluskami,
kutia z miodem, siemieniec z nasion konopi,
kasza gryczana, barszcz czerwony,
karp na rumiano podsmażony,
małe drożdżowe racuszki, suszone śliwki i gruszki.
I każdy miał wszystkiego tyle,
że poszedł odpocząć na słomę chwilę.
W tym czasie tato zaintonował:
„Gdy się Chrystus rodzi i na świat przychodzi”
a za nim wszyscy razem
„Ciemna noc w jasności promienistej brodzi”.

Wigilia w naszym domu

Nastrój świąteczny od rana.
Ojciec przynosił wiązkę pachnącego siana,
sito ziarna jęczmienia, owsa, pszenicy, żyta,
by ziemia urodziła wszystkiego do syta.
Najpierw opłatek w rodzinie, potem bliźni i dalsi sąsiedzi.
Pachniało plackiem, chlebem,
olejem, drożdżami, kapustą, grzybami i rybami.
By wiodło się w stajni i oborze
dawano wszystkiemu siano i mielone zboże,
a słomy świeżej tyle, że krowy syte
łby wyciągały i spały.
O rozmowie z gospodarzem zapomniały.
Gwiazdy w szpary do okien zaglądały
i cicho było tej nocy,
tylko mróz chrząścił,
psy pomrukiwały.

Noc wigilijna

Gdy stanę w tę zimną, grudniową noc przy wigilijnym stole,
oczami duszy widzę kłosów pole,
sad dorodnych owoców pachnących nocą,
krople rosy na źdźbłach trawy dygocą.
Zapach siana i ziarna czuję trzymając opłatek w dłoni
i słyszę, jak Gloria skowronek gdzieś tam dzwoni.
Na długich sznurach brzozy listki się huśtają,
makówki polne, ziarna, makowcom się kłaniają.
Nad naszą wiejską chatą niejedna gwiazda migocze.
Zaczynam modlić się z dziećmi, dziękując
Bogu za wszystko cośmy latem zebrali, za ziemi owoce.
Łamię ten biały opłatek, błogosławię i życzę,
jak mnie mama uczyła,
i myślę jak było pięknie, gdy z nami razem żyła.
Byliśmy z nią tacy radośni, młodzi,
słyszę jeszcze w uszach jak śpiewa „Bóg się rodzi”.
Na ekranie wspomnień przesuwiają się tamte dni,
ukradkiem ocieram łzy.
Staram się, aby i w ten wieczór tak samo teraz było,
więc śpiewamy wspólnie
„Podnieś rękę, Boże Dziecię, błogosław ojczyznę miłą”.

Polskie Betlejem

Na leśnym pagórku, wśród drzew na polanie,
ktoś urządził wieczerę wigilijną -
rozsypane warzywa w żłóbku na pachnącym sianie.
W takim żłóbku spoczywał Jezus malusieńki,
w żłóbku betlejemskiej stajenki.

Na ten święty czas ustroił się cały las:
świerki białe komeżki ze śniegu powkładały,
brzozy płaczące w białe welony się przyodziały,
sosny poważne w milczeniu stały,
dęby, topole wysokie w niebo spoglądały,
betlejemskiej gwiazdy wyglądały.
Krzewy tarniny, jałowce całe w bieli
przy żłóbku poklekały, wieczorne modlitwy szeptały.
Dochodziła północ, na tę wieczerę wigilijną
sarny, zające przydreptały,
przy żłóbku sianko spożywały.
Moc gwiazd na niebie, niczym anielskie chóry
patrzyły na to polskie, leśne Betlejem, z góry.
Zdawało się, że wśród starych drzew
płynie potężny śpiew.

Po spożytej wieczerzy
wiele sytych gości już zasnęło,
a nad światem ciągnęła pieśń
"Gloria, gloria, in excelsis Deo".

Niebo gwiazd

Grudniowa święta noc
położyła śnieg na polach -
białe pieluszki.

Na niebie gwiazd krocie -
w srebrze i złocie.

Która z nich betlejemska?

Czy ta najjaśniejsza
nad lasem?

Czy ta nad horyzontem
tak bardzo ziemi bliska?

Czy ta, co spada cicha,
by świecić nad stajenką lichą?

To niebo gwiazd
do Betlejem zaprasza.

Dzieciątko Boże

Dzieciątko Boże w żłobie,
w każdej potrzebie błogosławi mnie i ciebie.
Za trzydzieści trzy lata,
będzie ta rączka do krzyża przybita,
główka cierniem spowita,
serce miłością przepelnione
włócznią zranione.
I musi przejść tę kalwaryjską drogę.
Rozważam to ciągle,
ale sercem wszystkiego pojąć nie mogę.

Święto Chrystusa Króla

Nie mogę zrozumieć o tego, Panie:
Czy Król rodzi się w stajni na sianie?
Pracuje jako cieśla z Nazaretu?
Garnęli się do Niego chorzy, pogardzeni, niechciani.
Rozmawiał z grzesznikami, biednymi, bogaczami.
Uzdrowiał, pocieszał, rozgrzeszał.
Nauczał w przypowieściach,
torował drogę by lud, który ukochał,
mógł przejść przez życie szczęśliwie.
Pragnął wnieść swym życiem światu
życie szczęśliwe i sprawiedliwe.
Czy Król nie mógł mieć łoża
w chwili konania?
Na krzyżu musiał znieść ogromny ból?
Czy tak umiera Chrystus Król?

Cicha noc

Wędrowałam wzrokiem po niebie,
wjechałam Wielkim Wozem na Mleczną Drogę,
ale Gwiazdy Betlejemskiej odnaleźć nie mogę.
Noc wigilijna. Weszłam do miasta umarłych,
gdzie wszyscy wiekami śpią i śpią.
Płomyki świec lekko z zimna drżą.
Przysiadły na zamarzniętej ziemi
bukszpanu kępy, jak czarne łabędzie,
świerk zamyślony nad tym, co było, przeminęło,
i nad tym, co będzie.
Na marmurowej tablicy, czarniejszej od nocy,
głowa Chrystusa w cierniowej koronie,
jakby zamarzyły krople krwi i potu - zranione skronie.
W pochylonego krzyża cieniu
aniołek klęczy na zimnym kamieniu,
ku niebu podniesiona kędzierzawa głowa,
usta otwarte,
jakby ostatniej modlitwy zastygły w nich słowa.
Chudy wiąz jak szkielet gałęziami drapie,
zda się, że śpi, że chrapie.
Ile już zim przespał, ile lat w tym samym miejscu stoi?
Pod nim śpią moi, serdeczni moi.
Nie mogę ich rozbudzić westchnieniem ani łzą.
Ciągle śpią i śpią.
Przyszłam się duchowo opłatkiem podzielić,
podumać, powspominać, serce uweselić.
Życzę, tak jak wszyscy zwykli ludzie prości,
by ich Bóg przyjął do wiecznej światłości.
Dochodzi północ, kościelny głos dzwonu
po pustych polach hen gna,
jakby ożywił melodią kamienne słowa:
„Bóg tak chciał, Bóg tak chciał”.

Ojczyzno moja

Jak ja Cię miłuję, o każdej porze roku, w każdy czas.
Dziękuję Ci za łąki, pola i las.
Za pachnące owocem sady, ogrody, kwiaty strojne, jaśminy,
bzy,
za słońce, deszcz, tęczę i mgły.
Dziękuję za ptaki co szczebiotem trud życia słodzą,
rzeki i źródła, co poją i chłodzą.
Za moją wiejską chatę, zapach pól i ziół, który co dzień czuję
i zagon ojczysty, na którym pracuję.
Za mowę polską, szkołę, pieśni urodę, co daje duszy ukojenie,
i za ocalenie.
Za uśmiech i za łzy, za wszystko co dajesz mi.
Najmilsza, najdroższa biało - czerwona,
zroszona krwią w strasznych wojen latach,
krwią, która jeszcze żyje w polskich kwiatach.
Dziękuję za żołnierzy, za ich trud, odwagę i męstwo,
i za zwycięstwo.
Przed nimi chylę z szacunkiem czoło i czczę milczeniem,
czasem łzą, modlitwą i westchnieniem.
Trudno mi wypowiedzieć wszystko co czuję,
kłaniam się Tobie, Boże,
kłaniam się Tobie, Ziemi Ojczysta.
Za wszystko, za wszystko dziękuję.

Ojczyzno

Ojczyzno moja, niezliczoną ilością kwiatów ubrana,
biało-czerwoną wstęgą przepasana.
Ojczyzno moja, tysiący wiosek i miast,
polskie niebo włożyło ci koronę z gwiazd.
Ojczyzno pachnących lip i płaczących brzoź,
tysiąca rzek, jezior, strumyków.
Ojczyzno bocianów, skowronków, słowików.
Ojczyzno w ziarno chlebne urodzajna.
Ziemio Piastów, Jagiellonów, żyzna, czarna.
Nie umarłaś, choć cierniowa korona
z kolczastego drutu raniła ci skronie
i krwawiły, skute łańcuchem dłonie.

Moja Ojczyzna

Nie ma nad moją Ojczyznę
piękniejszego kraju na świecie.
Leśne pagórki, doliny,
pięknie tu w zimie i w lecie.
Wisła rozkochana w morzu,
echo płacze się w przestworzu.
A z kapliczki Matka Boża
błogosławi łany zboża.
Warkocz Wisły słońce pieści,
trzcina z lęku wciąż szeleści,
ciągle jeszcze niespokojna,
tu ślad zostawiła wojna.
Tych, co bój tu był ostatni,
życie za ojczyznę dali,
nasza polskich rzek królowa
w wiecznej pamięci zachowa.

Biało – czerwona

Zaraz za frontem szła Ona, biało – czerwona,
na głowie z drutu kolczastego cierniowa korona.
Nadwiślańskie wioski jeszcze dymily,
zraniona ziemia, świeże mogiły.
Chrystus z oderwaną ręką od krzyża
ku ziemi głowę zniżał,
jakby chciał zejść wśród lud, dzielić z nim znój i trud.
Zrozpaczona stała, a żołnierze forsując Wisłę śpiewali:
„Jeszcze Polska nie zginęła”.
Dziś czyste jest niebo nad wodą,
Chrystus z krzyża patrzy daleko przed siebie -
chce widzieć wszystko, co się dzieje na ziemi i w niebie.
Wisła po dawnemu płynie.
Czasem, gdy wiatr zabłądzi w zielonej wiklinie
tu, gdzie obficie krew płynęła,
słysząc bolesny żołnierskich duchów śpiew:
„Jeszcze Polska nie zginęła”.

Ojczyźnie

Był czas, okrutny czas,
na który spadły lekkie mgły,
a gdy wspomnieniem sięgnąć tam,
płyną westchnienia i łzy.
Kiedy Ojczyzna nasza
stała się rajskim widzeniem,
wolność, jak najdroższy skarb,
była największym pragnieniem.
Łuny pożarów, zniszczenia
i otchłań cierpienia,
to są obrazy przeszłości,
a nie senne widzenia.
Od kielicha gorzkich zawodów
nikt się nie odwracał.
Ot, po prostu tak trzeba,
jakby niewarte nic życie.
Każdy niósł je Ojczyźnie,
jakby było na zbycie.
Ku wyzwoleniu Ojczyzny
szło serce z czynem i męstwem,
na śmierć własną z rozkoszą,
pod sztandar, co zwie się zwycięstwem.
Nadeszło zmartwychwstanie,
jako po nocy dzień,
a czas wszystko oddalił
rzucając lekki cień.

Poległym w boju

Bohaterowie nasi, żołnierze polscy, znani i nieznani,
to był ostatni bój Wasz, nad Bzurą.

Tu na Wasze mogiły
krew bohaterska spłynęła
prosto z ziemi żyły.

Żyje jeszcze po tylu latach
w czerwonych kalinach, w polskich kwiatach.
Dziękujemy Wam za męstwo, i za zwycięstwo.

Nie dane Wam było dożyć tej chwili,
gdy znad Wisły w szeroki świat
pieśń popłynęła

„Jeszcze Polska nie zginęła”

Może ktoś czytając karty naszej historii,
zapisanej rozpaczą i krwią,
zaduma się, myślami powróci do tamtej chwili,
przed mogiłą żołnierzy przystanie -
z szacunkiem głowę pochyli.

Nadszedł ponury dzień listopadowy.
Spadły liście z drzew i wygląd pól płowy.
Wlokła się przez pola jesień w nasze progi,
rozmokły z deszczu i pola, i drogi.
Na wiosce cicho było z rania -
lecz w domach ciągle strach, smutek, narzekania.
Ludzie jak zwykle swej pracy ofiarni -
wtem ciszę przedarł krzyk – jacyś żandarmi!
Idzie wieść szybko, od domu do domu,
ten powie temu, tamten jeszcze komuś.
Jeszcze wieść wszystkich obejść nie zdążyła,
już wioska cała okrążona była.
Na plac szkolny wszystkich zebrali,
małym dzieciom ojców zabrali.
I poszli cisi bez żadnych słów skargi,
tylko modlitwy szeptały ich wargi.
Krzyk, rozpacz niosły się wniebogłosy.
Tatusiu! Wołały dziecięce głosy.
Niemiec uderzył dziecko karabinem,
nie dał się pożegnać ojcu z córką, synem.
A potem z niewoli wieści donosiły:
zmarł, lecz nieprawda, oni go zabili.
Na próżno dzieci, żony, matki czekały.
Na próżno we łzach się kąpały.
Wiatr rozniósł popiół po szerokiej ziemi.
Gdzie są ich mogiły? Nie wiemy.
Męczennicy polscy polegli,
do obozów, krematoriów wzięci –
niech będzie wieczna cześć Waszej pamięci!

Powrót

Gdy wrócił z wygnania
zastał kupę popiołu.
Szukał miejsca, w którym stał dom.
W sadzie drzazgi połamanych drzew.
Połamane ramiona krzyża.
Umierający białej róży krzew.
Zapłakał, ale nie rozpaczał.
W popiele bosymi stopami
żołnierski szpadek namacał.
Znalazł go w samą porę.
Wybrał miejsce, zaczął kopać norę,
a taką siłę poczuł i moc -
w tej norze spędził noc.
Rano nasycił żołądek byle czym.
Słońce wstawało, on razem z nim.
Znosił z okopów drzewo,
rozpoznał teren w prawo i w lewo.

O tym marzy, śni,
by wrócili mieszkańcy tej wsi.
Z czasem powrócili
ci, co ogrom wojny przeżyli.
Tylko on nie miał rodziny.
Żonę i dzieci rozszarpały miny.

Ku serca uciesze
w popiele odnalazł swoje pielesze.
W niedzielę razem z innymi poszedł do kościoła:
dach strzaskany,
popękane ściany,
tabernakulum otwarte,

obrazy odłamkami pocisków podarte.
A nad kropielnicą
Chrystus na krzyżu boleśnie zraniony,
na pól przetrącony.
Może ta woda to Chrystusa łązy?
Jeszcze raz ukrzyżowany,
jeszcze raz cierpienia straszne dni.
Uklękli u stóp ukrzyżowanego.
Modlili się do niego sami:
- Święty Boże, Święty mocny,
zmiłuj się nad nami!
Odeszli silni Bogiem
do swych jam,
by budować domy tam.
Pracować, cierpieć niedostatek,
za ocalenie Bogu podziękować.
Choć wojna wszystko im zabrała -
nadzieja im pozostała.

Minęło wiele lat

Nie dane Wam było doczekać powrotu chwili.
Już Wam nad polami skowronek nie zakwili,
ani kłós dorodny do stóp się nie schyli.
Ale - te pola orane przez Was chleb nam rodzą,
dzieci do polskich szkół chodzą,
wróciły krzyże na ściany,
Papież Polak na Piotrowym tronie,
biały orzeł w koronie.
O nas bądźcie spokojni,
nasza Polski Królowa
w swej opiece nas zachowa.
Powoli, bez siły, oręża,
prawda i dobro zwycięża.
Więźniowie obozów,
żołnierze znad Bzury, Wisły,
Bałtyku i Narwiku,
Sybiru, Lenino i Monte Cassino,
po tym strasznym boju
odpocznijcie w pokoju.
Gdziekolwiek są Wasze prochy,
na całym świecie, wszędzie,
chylimy przed Wami z szacunkiem czoła –
niech ta ziemia lekką Wam będzie.

Zatrzymaj się

Dzień zmarłych wynurzył się z mroków,
spowity w szarej, żałobnej mgle.
Krzyczą kamienne słowa: - Przechodniu zatrzymaj się!
Jeśli cię tu przywiodła ta cmentarna droga
proszę o westchnienie do Boga.
- Zatrzymaj się! - wołają smutne modrzewie
nad grobem nieznanego żołnierza.
Wiślane i morskie piaski nabrzeża:
- Zatrzymaj się! Westchnij za tymi,
których fale w objęciach kołyszą do snu.
- Zatrzymaj się! - woła krzyż na Majdanku cierniem osnuty.
- Zatrzymaj się! - wołają prochy Oświęcimia,
zardzewiałe, kolczaste druty.
Zatrzymaj się, widząc w pamięci wszystkie groby świata
w tamte straszne, krwawe lata.

Przed Wami nisko głowę chyle,
ofiaruję pacierz i milczenia chwilę.
Białe chryzantemy w kołnierze liści kwiaty wtuliły,
dzwony tak żałobne biły:
O, jak wielki strach tam będzie,
gdy sam Bóg na tron zasiądzie
i rozsądzać wszystko będzie.

Polska Golgota

W polskiej Golgotcie, w Oświęcimiu,
biało-czerwone goździki cisną główki do ziemi
całując jak relikwie święte - szary proch.
Gdzieś słyhać matczyiny szloch.
Stała zrozpaczona, boleściwa,
jak rzeźba kamienna, chuda, ledwo żywa.
Przyfrunął słowik, on tak bardzo
ziemię polską ukochał,
zaczął śpiewać psalmy żałobne.
W ostatniej partii solowej już na dobre szlochał.
Wiatr na organach czasu zagrał do wtóru
melodię pełną rozpaczy, bólu.
W oświęcimskiej Golgotcie lampka migocze
jak żywe wspomnienie.
Obrazy z przeszłości kładą się jak cienie,
jak biało-czerwone goździki, tulipany, róże,
na tej krwii zbroczonej, Kalwaryjskiej Górze.

Pieśń o samotnym grobie

Tylko pod lasem samotny pozostał grób,
a drzewa szumią u mogiły stóp.
Wszystkie marzenia zniknęły we mgle.
Została skarga na duszy dnie:

Śpij spokojnie, odpocznij,
po tej krwawej wojnie.
A ziemia słodko
utuli cię do snu.

Po tych cierpieniach, po smutku i łzach,
odpocznij po tych krwawych dniach.
Śnił ci się będzie rodzinny twój dach,
tam matka czeka we łzach.

Śpij spokojnie, odpocznij...

Spotkanie z morzem

Nasze kochane, polskie morze,
tu przed laty żołnierz brał z tobą ślub.
Widzę cię po raz pierwszy żywe,
na powitanie rzuciłś mi wiązanekę
fal do stóp.

Kąpie się modre niebo,
utykają promienie słońca,
gdzie spojrzeć wzdłuż i wszerz,
woda i woda bez końca.
Ciszę zakłócił silny podmuch wiatru,
jak pod laską Mojżesza rozstąpiło się morze,
niejako wiatr w ogromnym łanie
rozpruwa środkiem kłosiste zboże.
Ptak umoczył ostrożnie dziób jak w kropielnicy,
poszybował ku podniebnej ciszy.
Okręt powoli zbliża się do portu,
zmęczony podróżą, ledwo dyszy.
Fale kołyszą się w takt serca bicia,
a z głębi wód ukrycia
słysząc szept cichej modlitwy
za tych, co polegli w czasie wojny.
Jeszcze dziś na wspomnienie o tym
woda się kurczy, widać dreszcze.
Morze ciągle pamięta i cicho płacze jeszcze.

Katyń

Gdy nastąpił czwarty rozbiór Polski,
na kraj spadła żaloby czarna mgła.
Wyrzucona ze swej ziemi
Polska, przez wsie białoruskie, Katyń, szła.
Tam ginęli polscy żołnierze,
bezsilni, poniewierani, okłamani.
Nad światem zapanowała ogromna siła zła.
Wydawało się, że o tej zbrodni nikt się nie dowie –
świadkami były drzewa u tej wielkiej mogiły stóp,
widziało niebo, słońce i sam Bóg.
Polska także tam była,
na zbroszone krwią ciała żołnierzy patrzyła,
podnosiła ku niebu swe ręce do góry,
czasem płakały nad nią deszczowe chmury.
Wszelka potęga przed Boga obliczem jest niczem!
Możni tego świata pozbawieni życiowych sił
zmieniają się w zwykły, szary pył.
Wcześniej czy później sprawiedliwości musi się zadość stać,
historia świata - świadectwo prawdy dać.
Polska zaufała Bogu, wierzyła w cud.
Ponad wsie, miasta, góry, doliny
popłynęła pieśń znad Wisły w szeroki świat.
„Stać będzie kraj nasz cały, stać będzie Piastów ród,
zwycięży orzeł biały,
zwycięży polski ród!”

Stan wojenny

Co roku o tej samej porze, dzień 13 grudnia
ze stanem wojennym mi się kojarzy.

Takiego stanu nie pamiętają, nawet ludzie starzy.

Jest niedzielny poranek, nie mogę zrozumieć jednego -
dlaczego musiało dojść do tego?

Zawsze w takich okolicznościach idę do kaplicy,
do stóp Bogarodzicy.

Przed kościołem grupa mężczyzn,
jeden z nich mówi: - Nawet nie przyszło mi do głowy,
by rząd wydał wojnę polskiemu narodowi.

Ktoś z boku dodał: - Chłopie, opanuj się, ostrożnie, powoli,
czy ty wiesz, że jesteśmy u władz komuny w niewoli?

Chyba wiesz skąd pochodzi to zło,

Kołyma, Sybir, Katyń, ot co.

Ktoś szepnął: - Gdzie my jesteśmy? W jakim kraju?

To ty jeszcze tego nie znaju?

Idę dalej, pod drzwiami kościoła stoi grupka kobiet.

Jedna z nich rozciera po policzkach łzy,

inne starają się ją pocieszyć: - Dziś płaczesz nie tylko, ty.

Przyszli w nocy, mówią: - Zabieramy syna złodzieja!

- Kłamiecie, on nigdy nic nie ukradł nikomu!

Wywlekli go z łóżka, w piżamie wyprowadzili z domu.

Któraś z nich rzekła: - Moją siostrę też aresztowali,
drzwi wylamali.

Dwuletnią Zosię krzyczącą w niebogłosey do sierocińca zabrali.

W kościele uklękłam przed ołtarzem i błagam:

- Matko, jesteś naszej Ojczyzny Królową,

wróć nam Polskę sprawiedliwą, nową.

Ja wiem, że Ty wszystko możesz,

jesteś pocieszycielką strapionych, poniżonych,

wspomożeniem wiernych, polskiego ludu.

Matko Święta, dokonaj cudu.

W kościele było cicho. Organista grał takie smutne melodie.
Od czasu do czasu ksiądz zwracał się do ludzi słowami:

- Pan z wami.

A naród szeptał: - Boże, zmiłuj się nad nami!

Pod koniec mszy ksiądz zaśpiewał od ołtarza -

„Boże coś Polskę przez tak liczne wieki ...”

Śpiew ten podchwycili wszyscy w wypełnionym po brzegi
kościele.

To się rzadko zdarza.

Zdawało mi się, że wprost do nieba płynie to błaganie:

„Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie!”.

Poległym

Wśród mogił poległych w grudniu,
smutek przechodzi się w różne strony.
Zawyły portowe syreny, rozzwoniły się kościelne dzwony.
Morze burzy się i pieni,
chwytą rozpaczliwie nadbrzeżnych kamieni,
podnosi w górę, z hukiem opada –
morze psalmy żałobne układa.
Lacrimoso, chór w odmęty wód się wplata
i płynie hen, daleko na krańce świata.
Drzewa ze zgrozy skamieniały:
- Polska Golgotą, Polska Golgotą – szeptały.
A u stóp trzech krzyży stały matki bolejące,
sieroty, siostry, bracia, przyjaciele z pracy,
a za nimi wszyscy rodacy.
Krzyże zdawały się krzyczeć z daleka:
- Czy prawdę zabija się życiem człowieka?
Czy potrzeba było tyle niewinnej krwi, sierocej łzy,
by mógł żyć lepiej naród polski? Naród - to właśnie my!
Niech te słowa pełne rozpaczy czytają potomni.
Śpijcie snem sprawiedliwych.
Naród polski Wam tego nigdy nie zapomni!

List do rodziców

Kochani, jest mi smutno,
nie wiem za co zostaliście aresztowani.
Rozmawiam z ludźmi tu i tam, i nie wiem co robić mam.
Czuję się jakbym na świecie został sam.
Pierwsze święta bez Was,
do wieczerzy wigilijnej zasiedliśmy- babcia, dziadzio i ja.
Walczyłem z sobą udając spokój,
ale spod powiek spłynęła mi łza.
Patrzę na to polskie, grudniowe niebo, gwiazdy,
na tę świętą noc oczekuje każdy.
Jest mi smutno bez Was.
Dziś tak często gwiazdy spadają z nieba,
nie wiem gdzie jesteście, czego Wam potrzeba.
Wykupiłem na kartki wszystko co było,
na wieczerzę wigilijną dla nas wszystkich by starczyło.
Nie martwcie się ani o dziadka, ani o babcie, ani o mnie,
choć przyznam się, że czasem tęskno mi ogromnie.
Bądźcie spokojni, opowiedziałem Bogu wszystko.
Matka Święta też wszystko o Was wie.
Babcia upiekła taki dobry placek.
Kochani, pozdrawiam Was serdecznie.
Kochający Was - syn Jacek.

Samotny grób

Obok kościoła, pod krzyżem misyjnym, symboliczny grób.
Dygoczą płomyki świec ustawione u jego stóp.
Ciszę poranną wypełniły jękiem bolesnym dzwony,
rozplynęły się hen na wszystkie świata strony.
Zwijają się powoli szare mgły,
z trawników spływały jeszcze łzy.
Ludzie przystawali, ręce do modlitwy składali,
kwiatami grób ozdabiali, cicho szeptali.
Ile musiałeś cierpieć, w jakim ciężkim trudzie
zszedłeś z tego świata.
Nie wróg to uczynił, ale nasi polscy ludzie.
Stojące obok kasztany trącąc się pytały jeden drugiego:
- Zabili, ale za co?
- Dlaczego? Dlaczego?
Za to, że kochał bliźniego.
Z bramy wybiegł ze świecą mały chłopczyk
stawiając niezgrabnie małe nóżki.
Mama pyta, czyj to jest grób synku ?
Odpowiedział sylabami: Księ-dza Po-pie-łu-szki.

Modlitwa więźnia

Wolne mi tylko pozostało niebo.
Ku gwiazdom w noc ciemną spoglądam,
nic mi już tu nie pozostało,
niczego nie pragnę, nie żądam,
tylko Ciebie, o Święty mój Panie.
Widzę Twoje, Chryste, na krzyżu konanie.
Tyś umarł cierniem ukoronowany -
mój świat w drut kolczasty zakuty w kajdany.
Panie, uczyni mnie ptakiem niebieskim,
bym mógł stąd wyfrunąć - wskaż wieczności drogę.
Zabierz mnie do kraju swego -
załamany, dłużej już cierpieć nie mogę.

Ś.P. Kardynała Wyszyńskiego

Kardynale, utorowałeś nam drogę
w trzecie tysiąclecie.
Pozostawiłeś bogatą duchową spuściznę.
Nauczyłeś nas kochać bliźniego, Boga i Ojczyznę.
Gdy widziałeś, że w Polsce dzieje się źle,
miałeś odwagę powiedzieć n i e.
Włoczony jak Chrystus od Annasza do Kajfasza,
za niepopelnione winy - sądzony.
U Królowej Polski szukaliśmy
wsparcia i obrony.
Kardynale, niech Ci Bóg wynagrodzi w niebie
za wszystkie doznane krzywdy.
Dziękujemy, że przez ten ciężki czas
żyłeś wśród nas.
Z Tobą ciężar życia był dla nas lżejszy,
staliśmy się Bogiem silniejsi.
Kardynale, wiele dobrego Tobie zawdzięczamy.
Czujemy Twoją obecność,
duchem jesteś z nami.

Życie wyprzedza czas.
Coraz dalej, więcej i więcej...
Życ, ciągle żyć, mieć dużo pieniędzy
i bogatym być!
Prześcignąć tego, co więcej ma,
obojętnie w jaki sposób
zyskać ile się da!
Gdy tymczasem
tyle ludzi żyje w nędzy,
bez domu, bez pieniędzy.
Jedynie brat Albert
potrafił dostrzec nędzarzy,
z daleka i bliska
przygarnąć do schroniska.
Tak niewiele im potrzeba –
talerz ciepłej zupy,
dach nad głową
i pajdę razowego chleba.

Rozważanie

Rozważam historię życia Chrystusowego

- nie pomijając niczego -
jest w niej tyle mądrości.

Poza tym niektóre przypowieści
porównuję z obecnym światem.

I dziś są Faryzeusze i Celnicy,
męczący i męczennicy.

Judaszowskie srebrniki też są,
obmyte jeśli nie krwią, to łzami.

I dziś są Ablowie i Kaini,
godne i niegodne ludzkie czyny.

Chryste, Ty odpuściłeś ludzkie winy
winowajcom, nawet zdrajcom,

miej litość nad nami,
ulżyj naszej woli.

Przyjmij błaganie:

- Ciebie prosimy, wysłuchaj nas Panie.

Daleś nam

Daleś nam, Boże,
błogosławieństwo dla świata,
ale to wszystko za mało.
Uświęciłeś przykazaniami,
jakże trudno wypełnić
te święte Boże polecenia.
Mówimy ciągle o sprawiedliwości,
a iluż jest wśród nas
sprawiedliwych.
Czerpiemy wszyscy ze źródła Ewangelii.
Spożywamy ten sam Święty Chleb.
Pijemy z jednego kielicha.
Ochrzczeni, tworzymy
jedną wielką rodzinę.
Chylimy czoła przed krzyżem –
męczeńskiej śmierci Chrystusa znakiem,
ale tak bardzo miłości
bliźniego nam brak.

Chryste, gdybyś dziś wjechał
na osiołku do polskiego miasta
jak do Jeruzalem
w Palmową Niedzielę,
byłoby przygotowań wiele.
Kwiaty, piękne limuzyny,
ludzie uczeni i prości
śpiewaliby
„Hosanna na wysokości!”.
Ty, co serca ludzkie znasz, Boże,
rozpłakałbyś się może.
Wielu z tych ludzi, nad którymi
górze wzięło zło,
wołaliby: - Ukrzyżuj go!
Panie, nie poczytuj im tego.
Miej miłosierdzie dla nas
i świata całego.
Przyjmij naszą szczerłość i prostotę.
My chcemy nieść z Tobą krzyż
na Golgotę.
Byli i są możni tego świata
co rządzą, sądzą i winią.
Boże, odpuść im,
bo sami nie wiedzą co czynią.

Boże, nadchodzi już trzecie tysiąclecie.
Daj sprawiedliwy pokój na świecie.
Od głodu, nędzy,
chciwości do pieniędzy,
zachowaj nas, Panie.
Od zatrutych wód, powietrza, atomu,
niezgody w domu,
zachowaj nas, Panie.

Od krzywdy doznania
od drugiego człowieka,
od piorunów, nawałnic,
omijania bliźniego z daleka,
zachowaj nas, Panie.
Od rządzących niesprawiedliwie,
prawdy fałszowanie,
zachowaj nas, Panie.
Od przemocy
i z serc Boga wyrywanie,
zachowaj nas, Panie.

Czego najbardziej mi żal?

Czego z lat dziecinnych najbardziej mi żal?
Kłosów pływających jak w morzu wśród fal,
starych wierzb rozsiadłych na brzegu,
skupionych, poważnych jak przy pacierzu.
Kapliczki w objęciach płaczącej brzozy,
drgającego powietrza wśród przestworzy.
Kwiatów spojrzenia, pełnych urody, pieśzcoty.
Drzew zalęknionych, gdy ciszę nieba zakłócały grzmoty.
Pagórka, po którym ślizgały się promienie
wschodzącego słońca.
Pieśni majowych co napępiały wieś
od końca do końca.
Rodziców kochanych, ciepłych, dobrych rąk.
Pszczół i sadu co otaczał nasz dom.
Wszystko to cieszyło, uśmiechało się do mnie.
Tego wszystkiego żal mi ogromnie.

Z tamtych lat

Z tamtych minionych lat i dni
najbardziej mi żal
biegnącej między polami ścieżki,
sadzawki otoczonej starymi wierzbami,
muzyki pszczelej nad rzepaku łanami,
sitowia, co swą długą brodę moczył w letniej wodzie,
i brzozy, którą wiatr cesał z przedziałkiem na przedzie.
Wlokącej się wieczorem wilgotnej mgły od rosy
i zabiej monotonnej pieśni, śpiewanej na cztery głosy.
Psalmów słowicznych, nocą mieszanych z łkaniem
dokładnie, powoli,
aplauzu liści zasłuchanej, rozmodlonej topoli.
Tęczy co zgubiła barwy wśród gęstego boru,
krzyku gęsi, pędzącego bydła
do wodopoju od słońcem spalonego ugoru.

Moje odwiedziny

Wczoraj odwiedziłam miejsce,
w którym przyszłam na świat.
Nie byłam tam wiele, wiele lat.
W miejscu, w którym stał mój dom drewniany
czerwienią murowane ściany.
Zniknęły wysokie lipy,
ostatnia wierzba upadła w zaniedbany staw.
Spróchniała, szerniała spoczywa wśród traw.
Tu spędziłam życia najpiękniejsze chwile,
a było ich aż tyle.
W tej wodzie prałam bieliznę lnianą,
malwy stały rzędem pod bieloną ścianą.
Pszczoła kapela grała od rana do nocy,
a nocą śpiewał żabi chór w stawie,
słowik zaś w krzewie jaśminu,
niezapominajki kąpały się w rosie na trawie.

Sen

To była piękna, błogosławiona noc -
spotkanie z najdroższymi we śnie,
którzy śpią snem wiecznym,
odeszli może trochę za wcześnie.
Jechaliśmy wozem drabiniastym polną drogą -
mama, ojciec i brat. Taki piękny był świat.
Pachniały kwiaty, unosiły się w górę
otulone pyłkiem pszczoły.
Brat, jak kiedyś wesoły
śpiewał: „Głęboka studzienka, głęboko kopana”.
Mama moją głowę wzięła na kolana.
A ojciec, jak zwykle ten sam,
podziwiał dorodnej pszenicy łan.
Drzewa, co już dawno ich nie ma,
we śnie pozostały jeszcze żywe,
tonące w powodzi słońca, szczęśliwe.
Ule rzędem ustawione pod płotem
i lipy kapiące miodem, jak złotem.
Rozdzieliło nas świtanie,
dzięki Ci, Boże, za to spotkanie.

Przyszłam

Przyszłam na świat po to,
by zobaczyć ziemię ojczystą
pociętą rzek strumieniami,
żyzną, słabą, piaszczystą.
By zanurzyć bosą nogę w trawie
ociekającą rosą przezrystą,
pogłaskać kłosa na polu falujące,
upajać się zapachem kwiatów na łące.
By smakować ziemi owoce
i patrzeć w niebo w gwiazdziste noce -
czasem ze strachem, piorunem rozdarte.
Rozległe pasma pól, jak księgi otwarte,
w ciszy południa milczące, nieruchomo w niebo wpatrzone.
Na tej ziemi jest wszystko - srebro żyta, pszenicy złoto,
rosa perłami sieje ziemię,
las darzy chłodem, słońce pieszczotą.
Warto było przyjść na ten świat po to,
by zobaczyć to wszystko.
A gdy nadejdzie rozstanie
złożywszy ręce w pokorze,
wyszeptać cichym tchnieniem:
Za wszystko dzięki Ci, Boże!

Prośba

Tyleż już razy dobrotliwy Boże,
błagałam Ciebie gorąco w pokorze.
Tyleż już razy miałam zlitowanie –
wysłuchałeś mnie, Panie.

Kiedy mi smutek duszę mą naruszył,
a żal dziwny na wskroś serce kruszył,
gdym zapragnęła ciszy – me wołanie
wysłuchałeś, Panie.

Gdym zrozpaczona bez żadnej nadziei,
pośród mgły życia, jak w śnieżnej zawiei
szukała drogi, by przejść to karanie –
wysłuchałeś mnie, Panie.

Gdym nad kołyską dzieciątka mojego
klęczała w noc i dnia niejednego,
Tyś go uzdrowił, serca me kochanie –
wysłuchałeś mnie, Panie.

Kiedy płynęła łza z oka mojego,
biednego serca tak opuszczonego,
nikt nie pocieszył,
Tyś widział stroskanie –
wysłuchałeś mnie, Panie.

Nie pójdę

Nie pójdę, nie pójdę za światem hen w dal,
bo tej mojej chaty byłoby mi żal.
Tej dzikiej czereśni co oplotła dach,
ona zna me smutki,
wie o moich łzach.
Nie pójdę stąd nigdzie, nie pójdę o nie,
bez ciebie ma chato, byłoby mi źle.

Moje wzloty i marzenia
ukamienowane zostały nieszczęściami.
Pozostałam na wielkim ołtarzu życia.
Na nim składałam ofiary wielu poświęceń,
wyrzeczeń, trudu, udręczenia,
miłość, lzy, rozczarowania i osamotnienia.
W sercu ciągle czuję jak ręka drży,
gdy trzeba postawić kropkę nad „i”.
Ludzie potrafią być różni,
czasem dobrzy, czasem źli,
więc i krzywdy doznane od nich,
i te uczucia niewytłumaczone, skryte,
co w sercu posiadam,
to wszystko na ołtarzu mego życia
składam.

Ciche dni

Mam w życiu takie ciche dni,
zapisują pamiętnik słone łzy.
Dziś znów mam taki dzień,
smutek, tęsknota chodzi za mną jak cień.
Nie potrafię się bronić,
słowami tego żalu nie da się opisać.
Stałam wśród łanu kłosów,
by udręczone serce ukołysać.
W tej świętej chwili zadumania,
w rozterce cichego czekania,
serce bijące trwogą, obolałe, smutne
zaczęło śpiewać psalmy pokutne,
niby rozpaczy ciche wołanie:
Z głębokości serca wołam ku Tobie, Panie,
Panie, wysłuchaj głos mój!
Tobie losy ludzkie dokładnie są znane,
na kartach tych pól
całe moje życie zapisane.
Nasz dom jak matczyne serce, ciepły i przytulny
nasz dom rodzinny, wspólny.
Boże, wołamy w każdej potrzebie:
Przyjdź do naszego domu,
bo tak bardzo ciężko żyć bez Ciebie.

Pod krzyż

Ileż to razy, Chryste, pod krzyż Twój
składałam wszystko: radość, trud i znój.
Gdy czarny cuchnący dym
walił z krematoriów kominami,
pod Twym krzyżem błagałam: - Jezusie, Synu Dawida,
zmiłuj się nad nami.
A potem, gdy rozkołysana ziemia od wybuchów,
zdawało się, że z posad ruszy,
drżącą ręką biłam się w piersi szepcząc:
- Boże, bądź miłościw mej duszy.
Pod krzyż dębowy nad gliniastym pagórkiem,
tu złożyłam ukochanych do wiecznego snu,
pograżona w czarnej rozpacz - żalobie szeptałam:
- Wiem, że mnie nie opuścisz; Jezu, ufam Tobie.
Wiem, że nadejdzie dzień - po raz ostatni
ze skruczą, pod krzyż Twój się rzuć.
I pozostanę tam na zawsze - donikąd już nie wrócę.
Stanę z bagażem życia przed sąd Twój
i błagać będę: - Jezu, miłosierdzia.
Miłosierdzia, Jezu mój.

Pieśń wichru

Wiatr piosenkę niesie, gdzieś ktoś śpiewa ją,
w tę chmurną pogodę, wietrzystą i złą.
Nie wiem czy to pieśń radosna, ale jakoś smutno brzmi,
nie wiem, ale w tej melodii czuję łzy.

Ta smutna chwila znajdzie zawsze czas.
Tę smutną chwilę zna już każdy z nas.
Więc zasłuchana czuję łzy,
wspominam sobie smutne życia dni.
Zdawało mi się, że w tej smutnej nucie gra
i moja dola zła.

Gdy ostatni blask dnia zgaśnie
jak gromnica zdmuchnięta,
zostawiając smugę czarnego cienia,
o jeden dzień krócej mojego życia;
zostają tylko wspomnienia.
Przed snem krótka z Bogiem rozmowa,
ciche westchnienie i modlitwy Pańskiej słowa.
Tyle dni w przeszłość odchodzi,
ktoś umiera, ktoś się rodzi.
A gdy smutek jak ta noc czarna
serce przytłoczy,
ciemność chce przebić moje oczy,
wyciągam drżące ręce przed siebie,
szukam tej świętej jasności w niebie.
By rozjaśnić duszy mrok
szepcę drżącymi ustami:
-Pocieszycielko strapionych,
Wspomożenie wiernych ,
módl się za nami!

Pieśń życia

Wlokę swój krzyż życiowy.
Co dzień to cięższy staje się.
Muszę iść dalej! Już nie mogę!
Ostre głosy najeżyły drogę.
Stroma jest Góra Kalwaria
i trudno zdobyć jej szczyt.
Sen nocny ulży ciężarowi, nałoży świt.
Nie ma nikogo, kto by ulżył,
sił brak, a ból serce kruszy.
Gdy padam na swej drodze życia,
czy ktoś się tym wzruszy?
Nie ma nikogo, kto otuchy wlałby
do smutnej mej duszy
i otarł łzę piekącą, co oko suszy.
Ale na co skarżyć się, gdy los tak chce,
gdy los tak chce...

Gdy odzyskałam przytomność
nie wiedziałam czy żyję, czy śnię.
Przypominałam sobie wszystko.
Złożywszy ręce na piersi
błagałam – Boże, jeszcze nie.
Wyczerpana, bezsilna, czułam się strasznie źle,
szeptałam drżącymi wargami
- Panie, jeszcze nie.
Było mi żal dzieci, domu,
wszystkiego co mnie otacza,
rozległe pola, praca.
I tak już do dziś jest -
ciśnienie podwyższy się -
proszę, ale już bez rozpacz, żalu,
- Panie, może jeszcze nie.

Czekanie

Czekałam chcąc pozbyć się smutnych myśli,
ale te wciąż wracały od nowa.
Noc była widna, choć bezksiężycowa.
Pod oknem gałęzie jabłoni kołysały się do snu.
Zatrzepotały jak skrzydła ptasie listki bzu.
Gwiazdy migotały jak świecek sobótkowe na wodzie
albo zsuwały się ku ziemi jak po lodzie.
Dopiero świt mnie obudził z tej dziwnej zadumy, jak ze snu.
Nie wiedziałam, gdzie jestem, tam czy tu.
I pytałam siebie, na co czekasz? Co cię smuci?
Stamtąd nikt nie wrócił i nie wróci.

Posiwały moje włosy

Posiwały moje włosy
jak przed żniwami kłosy.
Popiół posypany w Popielec
na moim czole
szary jak wyschnięte pole.
Z prochu jesteś i w proch się obrócisz.
Skąd wyszedłeś, tam wrócisz.
Nie wiadomo kiedy to nadejdzie.
Któregoś dnia słońce dla mnie już nie wzejdzie.

Czas

Czas zawsze w równym tempie
przez lata się przedziera.
Jednym sprzyja, pomaga,
a innych poniewiera,
godzinę po godzinie
i dzień po dniu zabiera.
Już tak jest mój Boże,
nic go zatrzymać nie może,
ani lasy, ani góry,
ani głębokie morze.

Smutek

Smutek ogarnął me serce.
Patrzę na szare obłoki na niebie.
Jestem załamana, szukam pociechy
wokół siebie.
Żałośnie załkał głos dzwonu w kaplicy,
poszłam do stóp Bogarodzicy.
Matko Święta w niebie,
przyszłam po pociechę do Ciebie.
Spójrz na moje życie na tej ziemi.
Jestem utrudzona, zmęczona.
Tyle znieść muszę trudu, znoju.
Usłyszałam wewnętrzny głos Matki:
- Jestem z tobą zawsze, idź w pokoju.

Złoty wiek

Pełen jakiś tajemnych myśli z przeżytych lat,
samotnych godzin, zadumy, tęsknoty,
jak drzewo obsypane złotem jesieni,
wkrótce w szarość się zamieni.
Odpłynęło w przeszłość tyle lat,
lat niepokoju, strachu, ludzkiej zwykłej radości, rozpaczy –
tyle razy zmieniał się świat.
Na niedalekim przystanku trzeba będzie wysiąść,
tą drogą szło i odeszło wielu...
Inni zostaną, powoli lub bardzo szybko
zbliżać się będą do celu.
Wtedy rozpostrze ramiona ziemia kochana, miła,
która dawała nam wszystko, przez całe życie karmiła.
Ukołysani w ramionach korzeni drzew
słuchać będziemy ten odwieczny milczenia śpiew.
Wszyscy z czasem zapomną. Może zapłacze czasem brzoza
hoża,
a na kamieniu porośłym mchem
ktoś przeczyta napis: odszedł ...,
bo taka była Wola Boża.

Nie pójdę z Tobą

Nie pójdę z Tobą, bo mi tam nie wolno,
bo jeszcze nie czas, jeszcze kawał drogi.
Nie pójdę z Tobą, choć wiesz, że nad wszystko
jesteś mi bliski i drogi.
Nie pójdę z Tobą, Ty sam pójdziesz Bracie,
choć jest tak pusto i smutno w mej chacie.
Za rok, może dwa, czas stłumi, żal zginie,
bolesny uraz zostanie jedynie.
Przedemną jeszcze droga i nie znam jej końca.
Idę wciąż naprzód, w noc ciemną, w dzień słońca.

Psalm

Boże, jak ciężko żyć bez Ciebie
nie mając wsparcia duchowego.
Nie mogę żyć, by nie wzywać świętego Imienia Twego,
nawet dnia jednego.
Choć wiem, że liczne są moje grzechy,
Boże, nie odmawiaj mi swej pociechy.
Gdy załamana daremnie staram się usnąć w noc ciemną,
samotna jak grób na rozdrożu, Boże, zmiłuj się nade mną.
Gdy skronie ogniem palą, serce kołacze,
pozwól oprzeć głowę o krzyż Twój i pociesz, gdy płacę.
Naucz mnie, Panie, swojej świętej miłości,
uczyni świat prawdy i sprawiedliwości.
Spraw, by przeszłość przyszłości
stworzyła świat wspinały
pełen mądrości, Bożej miłości i chwały.

Idę za Tobą

Idę za Tobą, Chryste, od świtu w dzień każdy,
idę w noc ciemną, kędy drogę znaczą gwiazdy.
Idę wśród skwaru, blasku słonecznych promieni.
Idę wśród mgły wilgotnej i szarych cieni.
Idę w zadymkę, gdy mróz ziemię skuje,
jasny piorun ogniem ciemne chmury pruje.
Idę drogą krętą i urwistą
przez łąki kwiatów i wydmy piaszczyste.
Idę z radością życia i rozpaczy łzami
po stromych zboczach gór i dolinami.
Idę za Tobą pracą utrudzona,
bezsilna, załamana i zropaczona.
Idę z pieśnią na ustach, uśmiechem radości,
i w czas niewoli, wojny i drogiej wolności.
Idę pogrążona smutkiem i żalobą
jak niewiasty, które na Golgotę szły za Tobą.
Idę jesienią, wiosną, długie, długie lata,
schodzę powoli na drugi brzeg, na koniec świata.
Przez całe życie Chryste szłam za Tobą,
szukałam Ciebie w każdym człowieku i wszędzie,
niech Pan mój i Bóg mój, dla mnie miłosierny będzie.

Zbliżam się

Codziennie zbliżam się na spotkanie
z Tobą, Boże.

Różne bywają dni w życiu – czasem
szybko, czasem płynące leniwą strugą.

Już długo idę do Ciebie Panie.

Z tej drogi nie zejdem, nie zamienię na drugą.

Choć czasem podobna do Golgoty -
płyną łzy i poty, rozczarowania, zawody, tęsknoty.

Patrzę w zachodzącego słońca rumianą twarz
i pytam własnego serca: co do powiedzenia masz?

Jakim był ten dzień?

Nie wiem ile dni życia przychodząc na świat
Bóg mi dał.

Oto znów jeden dzień z mego życia skreślony,
Bóg wziął jeden z tych, co mi dał.

Ja się nie boję ziemi

Ja się nie boję ziemi, jest mi droga, miła,
która mnie chlebem swym karmiła.
Oczyrna bratków polnych na nią patrzeć będę,
szelcstem kłosów śpiewać psalmy uroczyście
i płakać rankiem rosą rześciście,
radować tęczy jaskrawym kolorem
i dumać z brzożą poważną pod borem.
A gdy noc nad ziemią rozłoży się cieniem,
cicho się modlić będę ze strumieniem.
Tu, gdzie drzewa ojczyste, gdzie kwiaty kochane,
duszę oddam Bogu.
Ciałem, jako cząsteczka ziemi,
tutaj pozostanę.

Henryk Sułek

w i e r s z e

Mała ojczyzna

Moja mała ojczyzna
Ukochana od lat
Tu się rodził mój ojciec
Tu, spoczywa mój dziad.

Od południa Kurówka
Cienką strugą się wije
Nad nią łąka zielona
I przeróżne motyle.

A na łąkach w olszynie
Ptaszek gniazdko swe ściela
Słysząc tupot koników
Wszak to jedzie wesele.

Słysząc trąbkę i bęben
Słysząc także i basy
Lecz to dawno minęło
Były to piękne czasy.

Od wsi do wsi Żyd chodził
W torbie sklep cały nosił
Gdy mu głód czasem groził
O jałmużnę poprosił.

Czasem przybył Cygan stary
Który zwiedził świata szmat
Wojciechowi konia podkuł
A sąsiadce kurę skradł.

Chodził także dziad z torbami
Prosił, żebrał o daniny
Od jednego dostał chleba
Od drugiego płat słoniny.

Przy kominku Andrzej siada
Baje dzieciom opowiada
A zebrała ich się zgraja
Były także od sąsiada.

W oknie widać mały sadek
Który sadził mój pradziadek
Jest w nim jabłoń, grusza, śliwa
Tam też babcia odpoczywa.

Rośnie także orzech włoski
Co wędrował on do Polski
Z Legionami Dąbrowskiego
W rytm melodii Wybickiego.

Jest też wiśnia w kwiecie cała
Stoi dumna i wspaniała
Jak na ślubie panna młoda
Bo przepiękna jej uroda.

U sąsiada ule stały
Duży rój i pracowity
Te wyżerkę w sadzie miały
Miód był bardzo smakowity.

Żyd dzierżawił kilka drzewek
Każde jabłko porachował
Gdy dojrzały już jesienią
Skrętnie je do wora chował.

Miał on małych dzieci kilka
Zawsze głodne no i chore
Strój ich lichy, chałat, krymka
Ojcu pomoc były skore.

Siał mój ojciec żyto, proso
Czy pochmurnie czy spiekota
W pole chodził tylko boso
Jeździł drogą pełną błota.

Tak się żyło w tamtych czasach
W mieście, na wsi i w zagrodzie
Czasem zniszczył wszystko pożar
A nierzadko zabrał złodziej.

Lecz weselsze były czasy
Te zabawy, te prywatki
A najbardziej mi utkwiły
Oczepiny i ostatki.

Pamięć ludzka też zawodzi
Z głowy dużo uleciało
Gdy byliśmy jeszcze młodzi
To się więcej pamiętało.

Albo takie darcie pierza
Czasem przy tym była draka
Gdy przez szparkę do mieszkania
Wypuszczono w pierze ptaka.

Kłęby puchu, nic nie widać
Krzyki, hałas, lampa zgasła
Spadł gdzieś ptaszek wystraszony
A ferajna sobie poszła.

Zimą prządki przędły wełnę
Na stołkach siedziały
A z tej wełny nasz tkacz Janek
Robił samodziały.

Prządki len też przędły
Z którego w szczególe
Matka tkala płótno
Na nasze koszule.

Tak to żyli tu Polacy
Potomkowie Lecha
Przyszła wojna, pożar, zgliszcze
Z dymem poszła strzecha.

Poniszczono, popalono
Z domów nas wygnano
A z łapanek zdrowych mężczyzn
Do Niemiec wysłano.

Wiele złego tyś zrobiła
Wojenka światowa
Tyś zniszczyła Polskę całą
ojczyznę moją małą.

Siądźcie bracia dziś tu w koło
Odpocznijcie chwilę,
Ktoś tam z tyłu dodał
- odpocznę w mogile.

Nasza Ojczyzna

Ojczyzno nasza – Polsko ukochana
Tyś już za Mieszka Bogu oddana
Tyś matką Polan, plemion z Pomorza,
Wiślan i Ślężan od Raciborza.

Wyciąg swe ręce – matczyne dłonie
I przytul dzieci, te rozproszone
Po całym świecie emigrujące,
Szukając pracy – jest ich tysiące.

Już cztery wieki jak Skarga srogi
Głosił z ambony swoje przestrogi
Wytykał palcem błędy, zepsucie,
A tym na górze rozpustne życie.

Na nic się zdały Skargi przestrogi
Nadal lud polski żyje ubogi
Korupcje, mafia, ciągle afery,
A w Sejmie kłóćą się partie cztery.

Jesteś Ty Polsko coraz biedniejsza
Dla Cię nadzieja w Matce Najświętszej
Ona przed Szwedem Cię obroniła
W niej też i dzisiaj Polaków siła.

Weź w obie ręce naród skłócony
Niech się pogodzą obydwie strony
Tylko w jedności narodu siła
O to się Polska nieraz modliła.

Wszak masz dwie ręce – lewą i prawą
Gdy będzie zgoda, to wiele zrobią
Gdy jedna drugiej dokuczać będzie
Będzie niezgoda i chaos wszędzie.

Dziś jeden Polak herezję głosi
Drugi u Boga o litość prosi
Jeden na klęczkach hostię całuje
A drugi w Sejmie krzyże zdejmuje.

Kopiec

Za Opoką z Brzezin strony
Stoi kopiec pochylony
Krążą o nim różne wieści
Że on skarby dawne mieści.

A legenda tak podaje
Że tu rosły gęste gaje
Kiedy Polska bój toczyła
Przed najazdem się broniła.

Stąd od Osin do Opoki
Rosły brzozy, dęby, buki
Tu schronienie mieli swoje
Chłopi ze wsi - no i woje.

Pod Ratuszem w Końskowoli
Ludność tunel wykopała
On prowadził aż do kopca
Gdzie schronienie ona miała.

Z oblężonej Końskowoli
Kiedy Szwedzi ją zajęli
Tym tunelem uciekali
A po bitwie znów wracali.

Widok z kopca był daleki
Brzeg był stromy ten od rzeki
Wokół lasy, no i woda,
Tutaj zmylić można wroga.

Wokół kopca były lochy
Gdzie zapasy gromadzono
Mąkę, kaszę, sól i zbroję
Otworkami je wietrzono.

Lat sześćdziesiąt może parę
Znaleziono w lochu szparę
Gdy wrzucono tam kamienie
Słysząc było ich dudnienie.

Odgłos taki jak po schodach
Kiedy kamień się turkocze
Dziś ta szpara już zarosła
Lecz wieść krąży po Opoce.

Wyjście było maskowane
Kępą malin, jeżynami
Do dziś one jeszcze rosną
Co rok kwitną wczesną wiosną.

Kwitną tutaj także maki
Polne maki te czerwone
Intensywny mają kolor
Bo krwią wojen są karmione.

Ślady wyjścia są widoczne
Kępa malin się zapada
Chcesz przekonaj się naocznie
Lub popytaj u sąsiada.

Tu stoczono ciężkie boje
Zgnietli wroga nasi woje
Tu poległa Szwedów masa
Tu ich duch nad rzeką hasa.

Krążą wieści, krążą słuchy
Że pobitych Szwedów duchy
Groby nocą opuszczają
I nad rzeką się zbierają.

Idzie fama, że tam straszy
Słysząc jęki, szczęki broni
A najgłośniejszy o północy
Niech nie słucha - kto się boi.

Czy to prawda, czy to baha
Ja to wszystkim dzisiaj powiem
Że choć chodzę sam od maja
Nieprzyjemnie tam wieczorem.



Błonie

W środku Opoki jest małe błonie
Tam całe lato pasły się konie
Te gospodarskie siwe i kare,
Były źrebięta, dwie klacze stare.

Wiosną gdy trawy trochę już było
Parę sztuk krówek tutaj chodziło
Było też z nimi kłopotu trochę
Bo często grzęzły w miejscowym błocie.

Na błoniu małe sadzawki były
Wiosną w nich żaby pięknie kumkały
Latem już było tylko bajoro
Komarów przy tym tu było sporo.

Zimą dzieci raj tu miały
Na ślizgawce się ślizgały
Ten miał łyżwy, ten podkówki
Nikt nie chodził do Kurówki.

Było boisko – dwie bramki były
Dzieci za piłką tutaj goniły
I był pagórek nie taki mały
Z niego na sankach zimą zjeżdżały.

Czasem zajeżdżał tabor cygański
Który wędrował tymi drogami
Konie poili, bieliznę prali,
A przy ognisku pieśni śpiewali.

W pobliskiej rzece - płytkiej Kurówce
Chłopi przed laty len tu moczyli
A kiedy w wodzie już przegnił dobrze
To go na błoniu w słońcu suszyli.

To nasze błonie bagniste, małe
Było ośrodkiem wielu wydarzeń
Zabójstw, pożarów, mężczyzn łapanek
One wpisały się w ludzką pamięć.

Tutaj to Niemcy Żydów spotkali
Dwóch czeskich Żydów, którzy zebrali
Po wsi chodzili – obiad dostali
Po kapeluszach ich rozpoznali.

Zapadł na grobli wyrok polowy
Każdy Żyd dostał strzał z tyłu głowy
Upadły na dół dwa wątłe ciała
Na znak gdzie leżą – laska tam stała.

Albo na błoniu zdarzenie z maja,
Kiedy przy kuźni strzał nagle pada,
Ginie od kuli żołnierz Rosjanin
Strzelił do niego Polak – Słowianin.

Dzisiaj już błoni prawie że nie ma
W miejscu sadzawki stoi strażnica
Tylko nad rzeką bagna zostały
Tam gdzie przed laty żaby kumkały.

Kozi Bór

Na siedleckich polach tuż przy Kozim Borze
Tam gdzie wiosną rolnik swoją ziemię orze
Samotna budowla – jakich to nie mało
Z tej ostatniej wojny - po Niemcach została.

Są tu suteryny, komory i schody
Tutaj właśnie Niemcy dla swojej wygody
Budowali bazę, stację z nadajnikiem
Kiedy bój toczyli ze swym przeciwnikiem.

Widok stąd wspaniały, widać pól Pożoga
Można też zobaczyć zarysy Kurowa
A w stronę Warszawy gdzie szosa się wspina
Widok też daleki - bo aż do Żyrzyna.

Ta warszawska szosa – polska siedemnastka
Znany trakt ze Lwowa do Warszawy – miasta
Była świadkiem - już od kilku wieków
Polskich powstań, wojen i marszu żołdaków.

Niedaleko lasu w pobliżu Żyrzyna
Polski oddział z carskim walkę rozpoczyna
Walczą z Kozakami, zabierają łupy
Wróg uchodzi na wschód zostawiając trupy.

Gdzieś tu w Kozim Borze w pobliżu Chrząchowa
Mieściła się w gąszczu BCH-owska placówka
Daleko od szosy, daleko od wioski
Jak walczyć z najeżdżącą ćwiczył żołnierz polski.

Przy szosie wśród sosen leśniczówka była
Ona partyzantom za bazę służyła
Tutaj partyzanci mieli swe kontakty
Póki im wrogowie nie spalili chaty.

Poszła z dymem leśniczówka, lecz pozostał sadek
Zostały jabłonie, które sadił dziadek
Rosną tu dotychczas, choć są już leciwe
A wokół prawdziwki i gąseczki siwe.

W głębi lasu jest polana
Przez miejscowych „ługiem” zwana
To mokradła–trzęsawiska
Chcesz zobaczyć – podejź z bliska.

Bo legenda tak podaje
- tu stał kościół – żyli ludzie
Nagle zapadł się pod ziemię
Znikło z mapy jedno plemię.

Chcesz - przyjdź tutaj o północy
By posłuchać jak na głosy
Słysząc śpiewy i modlitwy
Szczęk oręża z pola bitwy.

To legenda, coś tam było
Dawno temu się zdarzyło
Rosną tutaj, małe krzaki
Są jagody, są kozaki.

Gdy już będzie szosa nowa
Poszerzona – ekspresowa
Wykonawca ją ogrodzi,
Straci urok nasz Bór Kozi.

Zabawy w Brzezinach

Tuż za rzeką są Brzezinki
Ni to lasek, ni to krzaki
Tutaj jeszcze w czasach carskich
Mieli obóz swój kozaki.

Te Brzezinki to słynęły
Z wiejskich zabaw na podłodze
Wiele trunków tu wypito
Ucierpiało także żyto.

A na „Annę” fajna sprawa
Znow w Brzezinkach jest zabawa
Wszyscy bawią się wesoło
A poleczkę tańczą wkoło.

Józek, Franek, no i Olek
Muzykanci jakich wielu
Grali pięknie, aż do rana
Echo niosło „oj da, dana”.

Grają Paweł i Walenty
Ten to zawsze uśmiechnięty
Grają polkę i oberka
Aż Walenty pot obciera.

A Władysław dziś rzępoli
Bo go ząb trzonowy boli
Chyba go zatruje wódką
Ale starczy to na krótko.

Okolica nasza słynie
Z wielu zdolnych muzykantów
Chłopskich synów, tych tu z roli
Urodzonych w Końskowoli.

To już stara jest tradycja
Z ojca, dziada i pradziada
Że smykałkę do muzyki
Wielu w sobie ją posiada.

Dziadów także była chmara
Gdy na odpust się zjechali
On kulawy, ona stara
A wieczorem też hulali.

Goście dziś tu dopisali
Młodzież, starsi no i mali
Wszystkim jest muzyka miła
Lecz nad ranem się skończyła.

Wspomnienia i dzień dzisiejszy

Mroźny poranek, wóz słyhać z dala
To jedzie z młyńa Adam Pękala
Wiezie wór mąki no i otręby
Psy ujadają i szczerzą zęby.

Z tej mąki będzie wspaniały placek
Ale najlepszy to piecze Wacek
Żona natomiast zrobi serniczek
Dla swych kochanych małych dziatczek.

O Pękalach pisaliśmy
Więc dwa razy nie wypada
Spójrzymy co się dalej dzieje
U innego sąsiada.

Są też Mrozki i Chołaje
Tam gdzie wiosną bociek staje
Na stodole – odpoczywa
A na rzece czapla siwa.

Żył w Opoce pan Przepiórka
Co stolarzem dobrym był
Fachu uczył się w Warszawie,
- ze stolarstwa swego żył.

Ród Rodzosiów z tego słynie
Że ich dziadek w carskim wojsku
Grał w orkiestrze - hen w Tallinie
Ale tęsknił za swą wioską.

Carska służba – długie lata
Nie uwidzisz ojca, brata
Sybir, wojny, rany, blizny
Lecz powrócił do ojczyzny.

Zdolni ludzie jego wnuki
Dziś w orkiestrze jeszcze grają
Grają także i prawnuki
Lecz nazwiska inne mają.

Przy Rodzosiach żyją Sułki
Babcia ich robiła bułki
I makowe i serowe
Bardzo smaczne, no i zdrowe.

Obok błonia mała chatka
Przy niej kuźnia jest Łopatka
Kowal tęgi i fachowiec
Razem z synem kuje konie.

Po kowalach śladu nie ma
W grobie obaj, także żona
Starą kuźnię straż kupiła
Na garaże przeznaczyła.

Jest też u nas kilka rodzin
Które w nazwie ptaka mają
Sieją, orzą, zarobkują
Całkiem nieźle egzystują.

Są Białoty i Próchniaki
Kruki, Gile, inne ptaki – całe ZOO
Są wesela, potem chrzciny
Przy tym często jest wesoło.

Są Kozaki – gospodarni
Noszą mleko do mleczarni
Mówią na nich duży – mały
Jak z wierszyka te Michały.

A gospodarstw bardzo wiele
Obok Kuny są Dzięgiele
Ci w orkiestrze wiedli prym
Dziś gra jeden – Władka syn.

U Chołaja usiadł bocian i klekoce
Co tam słyhać w tej Opoce
Ja mu na to – co słyzałem i widziałem
W kilku zdaniach opisałem.

Maj 1945 roku w Opoce

Wojna skończona – Niemców już nie ma
Znów nowe życie wioska zaczyna
Czasami Sowieci zajrzą na chwilę
A nocą przyjdą jacyś cywile.

Już mija maja trzecia dekada
Piękny dziś dzionek się zapowiada
Pośrodku wioski, tam gdzie jest błonie
Drewniana kuźnia, w niej kują konie.

W sąsiedniej wiosce jest wojsko ruskie
Które z wojenki wraca, z Berlina,
Dziś przyjechali podkuć swe konie
Kilku „sołdatów” i jest „starszina”.

W kuźni już ogień płonie od rana
Kowal z mozołem kuje podkowy
Zza zrębu domu gdzieś od sąsiada
Słychać nam obcych jakieś rozmowy.

Było ich kilku – obcy, nieznani,
Młodzi i starsi – wysportowani
Nikt ich nie pytał, co tu robili
Wyszli na drogę i zapalili.

Gdy kowal ruskim podkuwał konie
Jeden z tych obcych przyszedł na błonie
Po krótkiej sprzeczce z ruskim „starszinq”
Śmiertelnie strzelił i ruski zginął.

Sołdat „mołodjec” co koń wyskoczy
Dał znać o śmierci swemu dowódcy
I strzelanina się rozpętała
Już płonie prawie Opoka cała.

Świszczą kule niby wróbelki
Lecą czerwone jakby węgielki
Zapalające to kule były
Słomiane strzechy wnet podpaliły.

Płoną stodoły, płoną obory,
Słysząc ryk bydła, psów ujadanie
Ucieka z domu zdrowy i chory,
Już płonie mego ojca mieszkanie.

Płoną prosiaki i płoną krowy
U wuja w stajni ogier rasowy
Z płonącej strzechy dymem duszony
Tłucze się w stajni jakby szalony.

Ucieka każdy, gdzie tylko może
Jeden w zarośla, drugi we zboże
Trzeci się schował gdzieś do piwnicy
Bo już z odsieczą jadą Kałmucy.

To od Witowic pędzą żołdaci
Na małych koniach w wojnach obyci
Z przodu dowódca na małym koniu
Już są na moście, już są na błoniu.

Wnet całą wioskę ci okrążyli
Kogo złapali to tego bili
A kiedy obcych już rozpoznali
Oni porządnie w tyłki dostali.

Zbito Wojciecha, Michał też dostał
Kilka miesięcy jeszcze pożyli
Ale najwięcej kowal ucierpiał
Jego w lubelskim zamku więzili.

Zaliczył biedak pobyt w więzieniu
Choć nic nie winien siedział latami,
Bity, głodzony, przesłuchiwany,
Spędził część życia w celach z kratami.

Po latach wrócił – ale bez zdrowia
Doglądał kuźni, ognia pilnował
Gościec – gruźlica słabe miał zdrowie
Dziś go już nie ma, spoczywa w grobie.

Legioniści

Tuż za Pożogiem, w pobliskim lesie
Omszała płyta, jak fama niesie
Że legioniści tu spoczywają
Leśną mogiłę w tym miejscu mają.

Dwóch ich spoczywa na tej polanie,
Obaj z legionów obaj Słowianie
Tu do snu szumią im polskie drzewa
Czasem też słowik w gąszczu zaśpiewa.

Zetnik, Jarosik – bo tak się zwali
Z carskim zaborcą tu wojowali
Była to walka często ze swymi
Bo w carskim wojsku też nasi byli.

Nie było Polski, żył naród polski
Między zaborców na trzy rozdzielony
W każdego armii służył żołnierz polski
W służbę zaborcy był on przymuszony.

Tu od Kurowa w stronę Lublina
Zacięte walki toczyli „Czwartacy”
Po obu stronach ginęli żołnierze,
Po obu stronach polegli Polacy.

Setki ich grobów Lubelszczyzna skrywa
Jastków i Kurów i leśne nieznane
Wśród ludzi pamięć jednak o nich żywa
Tam gdzie polegli teraz pomnik stanie.

Chłopskie życie

*

Mała wioska – chłopska chata
Tu się rodzi nasz sarmata
Tu swe pierwsze stawia kroki
W świat nieznany, w świat daleki.

Nie ma czasu na pieszczoty
Trza iść w pole do roboty
Matka w płachtę bierze syna
Bo dziś żniwo się zaczyna.

Kosić kosą dzionek cały
I podbierać, wiązać snopy,
Nasz chłop polski wytrzymały
Ona ma żyłkę do roboty.

Potem mendle stawiać trzeba
Po piętnaście snopków każdy
W taki mendel gdy żar z nieba
Matka dziecię swoje skrywa.

Gdy jeść chciało – nakarmiła
Położone tam na snopku
Płachtą dziecię otuliła
Konik polny grał mu do snu.

Tak płynęło chłopskie życie
W polu, w sadzie przy robocie,
Pajda chleba wystarczyła
I litr mleka na popicie.

A gdy pić się bardzo chciało
To najlepsza z źródła woda
Świeża, chłodna nie skażona
Spod kamienia bieży ona.

* *

Gdy podrosłeś miły bracie
Krów pasienie na twojej głowie
Na postronek bierz krasulę
I popasiesz ją na rowie.

Bo ta wszystka trawa z łąki
Ręcznie kosą wykoszona
Dla koników i bydełka
Na sianeczko przeznaczona.

A po żniwach trochę laby
Na ścierniskach chwasty rosły
Krowy chętnie je zjadały
Także z miedzy trawę miały.

* * *

W naszym kraju ślady wojny
Na zachodzie walki trwają
Siedmiolatki w całej Polsce
Edukację zaczynają.

W szkole było dużo dzieci
Wojna uczyć przeszkodziła
Za niemieckiej okupacji
Do szkół młodzież nie chodziła.

W każdej klasie dwa roczniki
Gdzie pomieszczą się dryblasy
Wynajęto kilka domów
I w ratuszu były klasy.

Potem stary „Czartoryski”
Słynna szkoła z tradycjami
Stara kadra profesorów
Trzyma pieczę nad uczniami.

Profesorów wspomnieć miło
Pana Kruka od fizyki
Srogi Franio jak ptaszysko
I Lechmana z gimnastyki.

Matmy uczył nas Pan „Gogo”
Zawsze nosił okulary
On na uczniów patrzył srogo
Świetnie uczył – choć był stary.

Chemii uczył nas Dyrektor
Pan Alojzy Szubartowski
Ten w liceum trzymał rygor
Lecz dla uczniów nie był szorstki.

Miłe panie z biblioteki
Tu poznałem świat daleki
I Wolińską, panią Dryję,
Dziś już żadna z nich nie żyje.

Tu w Puławach gdzie uczyli
Gdzie żywota część spędzili
Ich imieniem zwą ulice
Tam gdzie nowe są dzielnice.

Dla ojczyzny w te wakacje
Do junaków pójdiesz bracie
Od kombajnu zwozić zboże
W koszalińskim PGR-e.

W PGR-ach mało ludzi
Żniwa w pełni – piękne zboże
Tam junacy pracowali
Bardzo często też żołnierze.

Mirosławiec – Czołpa – Lubiesz
Całe piękne pojezierze
Tu pracował przez wakacje
W podwałeckim PGR-e.

Dużo jezior – piękne strony
Wielki Bytyń jest w oddali
W dni upale tam junacy
W jego wodach się kąpali.

Potem szkoła podchorążych
W podwrocławskiej Oleśnicy
Tutaj swoją mieli bazę
Odrzutowców mechanicy.

Samolotów różne typy
MIG-i, IŁ-y – te bombowce
Są wojenni weterani
I są „BIS-y” już te nowe.

Po pobudce gimnastyka
W takt orkiestry prowadzona
Silny zespół – zgrana paka
Gra do dzisiaj pewnie ona.

W szkole zajęć co nie miara
Dużo ćwiczeń i nauki
Lecz historię sfalszowaną
W „lby” nam kładli politruki.

Dużo musztry, masa ćwiczeń
I zajęcia są w terenie
A codziennie po obiedzie
karabinów jest czyszczenie.

Dziś z budowy samolotów
I silników odrzutowych
Jutro osprzęt, uzbrojenie
I z praktyki jest ćwiczenie.

A w tą środę, to w grafiku
Z topografii są zajęcia
Trza rozpoznać okolice
Dobrzeń, Cieśle i Spalice.

Rozpracować wszystkie znaki
Nanieść skrzętnie je na mapy
Na czas wrócić w szkolne mury
W dzień jesienny i ponury.

Nagle alarm – idą słuchy
Że w Poznaniu są rozruchy
Wróg zagraża nam z Zachodu
Bądź żołnierzu w pogotowiu.

W Polsce odwilż – małe zmiany
Są zebrania i masówki
Bo w Zakładach Cegielskiego
Robotnicy strajkowali.

Wszystko jakoś przeminęło
Na alarmach się skończyło
Całej prawdy nikt nie poznał
Co naprawdę się zdarzyło.

Co na Kresach – co w Katyniu,
O pogromach na Wołyniu
Aż nadeszła taka chwila
Krótki rozkaz – do cywila.

* * * * *

Już po wojsku, po karierze
I bez fachu jesteś bracie,
Szukaj pracy gdzie się daje
Trzeba ulżyć mamie i tacie.

Była praca w Powroźnikach
Niedaleko na Przytykach
Tum pracował przez lat wiele
A czasami też w niedzielę.

Przyszła miłość – narzeczona,
Po dwóch latach już ma żona
Potem przyszły na świat dzieci
Jak ten czas szybciotko leci.

Już wyrosły, szkoła, praca,
Często człek myślami wraca
Jak to wszystko przeminęło
Jakby wczoraj się zaczęło.

Po czterdziestu latach synku
Przyszedł okres odpoczynku
Oszczędź zdrowe bracie miły
Zostaw pracę ponad siły.

Idź odpocznij emerycie
Pracowałeś całe życie
Ustąp młodym – szkoda zdrowia
Niech pracuje kadra nowa.

Nowa kadra pracowała
Cztery lata ster trzymała
Aż upadły Powroźniki
Wyludniły się Przytyki.

Schorowany - pochylony
Siedzi w domu zamyślony
Patrzy w okno jak śnieg pada
Czasem pójdzie do sąsiada.

Na starym strychu

Rodzinny mój dom – strzecha słomiana
Mama przy kuchni krząta się z rana
Ojciec od świtu konikiem orze
By na czas zasiać jesienne zboże.

Ta stara chata swój urok miała
Ile tajemnic w sobie chowała
W strzesze ptaszyny schowki swe miały
Czasem w poddaszu sowy hukwały.

Na starym strychu niby w lamusie
Staroci, mebli i łaszków wiele
Powynoszone i zapomniane.
Gdy było w domu czyjeś wesele.

Chłodno w upały pod strzechą było
Latem na drzemkę tam się chodziło
Wokół ćwierkały szare wróbelki
Pachniały sosną powały belki.

Stał tam kołowrotek do przędzenia wełny
Stary, zużyty dziś już niepotrzebny
Było i krosno, tkano różne wzory.
Zimą w mieszkaniu w długie wieczory.

Obok przy kominie stał kufer zielony
Był on posagiem gospodarza żony
W nim różne ubiory, carskie dokumenty.
Stary zegar dzienny, w płótno owinięty.

Stała masielnica i dzieża do ciasta
Potocka zrobiona przez bednarza z miasta
Przy niej zaś kołyska drewniana dla dzieci.
Na belkach wisały pradziadowe sieci.

Sieci te wiekowe – to były starocie
W stawie nimi łowił karpie, sumy, płocie
Suszyły się motki farbowanej wełny
Tak wyglądał stryzzek rupieciarni pełny.

Gdy przyszła wojenka – kiedy padły strzały
Spłonęła zagroda i inwentarz cały
Spłonęły mieszkanie, obory, stodoły
Pozostały zgliszcza i szare popioły.

Staw

Hen od Witowic - aż do Opoki
W dolinie rzeki był staw szeroki
Tu sto lat temu, za cara jeszcze
Pluskały sumy, raki i leszcze.

Woda czyściutka, dno widać było
Wielu tu ludzi ze stawu żyło
Pradziadek z bratem ryby łowili
Siali też zboże i nieźle żyli.

Wody dużo, że tak powiem,
Gdy płynęła wąskim rowem
Jej to masa, jej to siła
Kilka turbin poruszyła.

W każdą sobotę z pobliskich Puław
Studenci konno tu przyjeżdżali
Żeby odpocząć po wielu trudach
Zawsze też konie swoje kąpali.

Piękne te konie niby rumaki
Siwe, bułane i często szpaki
Paradnym szykiem - bo wyćwiczone -
Zawsze jechali przez Końskowolę.

Po Witowskiej stronie śluzę
Stał kamień bardzo duży
Z tego głazu w toń skakali
Do Opoki dopływali.

A letniaków było mrowie
Im tu było tak jak w niebie
Tak płynęło sielskie życie
Do wypadków w Sarajewie.

Znów wojenna zawierucha
Śluzy stawu nam zniszczyła
Dzisiaj woda po dolinie
Swym korytem wolno płynie.

Na stawisku rośnie trawa
Został tylko głaz samotny
Tylko czasem go odwiedza
Wieczorami lelek błotny.

Polna grusza

W miedzy pola grusza rosła
Co pastuszkom cień dawała
W letnie słoty i upały
Z biegiem czasu usychała.

Czy pamiętasz polna gruszo
Czasy wojny, gdy matula
Kiedy Niemiec zrobił nalot
W kupkach zboża nas ukryła.

Tu bezpiecznie przespaliśmy
Całą nockę – ty szumiałaś
Jakby nucąc kołysankę
Do snu dziatki utulałaś.

Gruszki miałaś bardzo dobre
Takie żółte i okrągłe
Potem były ulęgałki
Jakie były to przysmaki.

Rosłaś w polu, hen za górą
Oraczowi chłodu dając
Z miedzy konik skubał trawę
Pod korzeniem mieszkał zając.

Stara nasza polna gruszka
Jest już dzisiaj niepotrzebna
Nie zobaczysz już pastuszka
Stoi w polu sama biedna.

Nie ma koni, ni oraczy
Krówek także nie ma wcale
Uschła grusza z tej rozpaczy
Podpalili ją wandale.

Lipa

Przy rozstajnych drogach
Stara lipa stoi
Przy niej krzyż dębowy
Wichrów się nie boi.

 Krzyż dębowy otulony
 Gałązkami lipy w kwiecie
 Przytuleni stoją w polu
 Jak matka i dziecko.

Stara lipa, ta poczciwa
Korzeniami w glebę wzrosła,
Podtrzymuje krzyż dębowy
Już leciwy – pochylony.

 Pochylony bo odcięty
 Od korzeni matki ziemi
 Stoi, czeka na wędrowca
 By mu oddał swe pokłony.

Dziś wędrowców prawie nie ma
Mało kto się tu zatrzyma
By odpocząć w lipy cieniu
Jak poeta z Czarnolasu.

 By pomodlić się do Boga
 I cześć oddać Chrystusowi
 Przed nim jeszcze dalsza droga
 Iść tak długo – bolą nogi.

Ile legend o tej lipie
Wśród ludności tu krążyło
Bardzo dużo tym gościńcem
Pieszycy przechodziło.

Jan – mój wujek opowiadał
Że gdy wracał już z zabawy
Zawsze tu go spotykał
Biały kundel kulawy.

Jakaś zawsze miał chrypę
Cicho na wuja szczekał
To się schował za lipę
Jakby na kogoś czekał.

W dzień go nigdy nie było
Tylko wróble na drzewie
A pod krzyżem pęk chabrów
I skowronek na niebie.

To znów nocą przechodziło
Stado wiejskich krów ku łące
Lecz pastucha tam nie było
Szare były jak zające.

Jakieś dziwy jakieś mary
Na rozstaju się zbierały
Tam kto w nocy sam przechodził
Czuł na plecach jakieś ciary.

Dziś tam szosa
Krzyża – nie ma
Pozostała tylko lipa
Pozostały też wspomnienia.



Brzozy

U nas na podwórku
Białe brzozy rosły
Miały długie witki
Chłód w upały niosły.

Miały już lat kilka
Wyrosły dość duże
Ocieniały one
Słoneczne podwórze.

Aż przyszedł „Ksawery”
Jak wschodnie tsunami
Wywrócił me brzozy
Razem z korzeniami.

Przydały się brzozy
Wichrem powalone
Porżnięte na klocki
Zostaną spalone.

Kocie amory

Rosną maliny u nas za płotem
Tam to randkują kocica z kotem
Mało co jedzą tak się kochają
Flirt jest w zaciszu – tam dobrze mają.

Kot bury w pręgi niby żbik z lasu
Robi wieczorem trochę hałasu
Ona zaś czarna jak kruk czy wrona
On kot domowy - przybłąda ona.

Na ogrodników kiedy przymrozki
Przyszedł ten drugi kocur hen z wioski
Była ich trójka - były niesnaski
A wieczorami nieznośne wrzaski.

Gdy wzeszedł księżyc a noc zapada
Przyszedł ten trzeci – to od sąsiada
Teraz to co noc wrzaski, hałasy
Takie to u kotów amatorów czasy.

Już tydzień trójka z sobą wojuje
Jeden drugiemu nie ustępuje
Wychudły koty, uszy zgryzione
Taka to cena walki o żonę.

Zwycięzcy nie ma a kotka znikła
Z czwartym gdzieś nagle polem uciekła
A że w wierzejach jest duża szpara
To do stodoły czmychnęła para.

Wilk i owca - bajka

Dawno temu wnuki moje
Zapytały się pradziadka
Czemu zawsze ich rodzice
Hodowali owce, konie.

A pradziadek wnukom na to:
Przyjdźcie do mnie dziś wieczorem
To opowiem wam historię
Jaką znał mój zmarły tato.

Opowiadał mu pradziadek
Że to było mroźną nocą
Kiedy stara już wilczyca
Wyła z głodu do księżyca.

W Markuszowie jarmark wcześniej
A że wstałem bardzo rano
To zdrzemnąłem się w podróży
Konie drogę znały same.

Jadę drogą po wygonie
/Ja do sani mam dwa konie/
Nagle konie hopka stają
Coś wyczuły i parszczą.

A tu rowem w moją stronę
Dwa zwierzaki przytulone
Idą sobie pobekują
To znów czasem pomrukują.

Konie dalej stają hopka
Trzeba z płozy wyjąć kołka
I od sani prawej strony
Stanąć koniom do obrony.

Patrzę bliżej i nie wierzę
A to idzie jakieś zwierzę
Obok drugie – niby para
Czy to zjawa, czy to mara.

Co ja widzę – nie do wiary
Wilk prowadzi owcę rowem
Mordą trzyma ją za bary
A pogania ją ogonem.

Tłusta była ta nieboga
No i miała piękne runo
Więc prowadził ją ten podlec
By z waderą gdzieś ją pożreć.

Gdy zobaczył nas już z bliska
Puścił owcę i do koni – ogier wierzgnął
Klacz pośladem poprawiła
I tak wilka zamroczyła.

Ja kłonicą go dobiłem
Wziąłem owcę no i wilka
Poprawiłem koniom szory
I do domu zawróciłem.

Tu w tym miejscu moi drodzy
Rozwiązana jest zagadka
Skąd w mieszkaniu skóra wilka
A w oborze owce dziadka.

Na tym bajka się skończyła
Trochę prawdy, reszta baja
Ale jak to w bajkach bywa
Wilk zabity – owca żywa.

Skórę z wilka mole zjadły
Zamiast koni traktor orze
Kožuch z owiec niepotrzebny
Wisi stary gdzieś w komorze.

Podróż we mgle

Jedzie traktor po Opoce
Słysząc z dala jak parkocze
Gdzie ty jedziesz mój kochany
Czyś Ty durny – niewyspany.

We mgle szosa niby w mleku
Można zbłądzić mój człowieku
Nic nie widać na dwa kroki
Jedzie szosą wzdłuż Opoki.

Znany warkot jakiś swojski
Wszak to chyba Ursus polski
Jedzie dalej w stronę kopca
Chyba droga mu nie obca.

Dodał gazu – nie folguje
Skręcił w lewo – piratuje
Jeszcze silnik przegazował
I w Kurówce wylądował.

Traktor w wodzie po resory
Mokre sprzęgło i chłodnica
Jeszcze świecą reflektory
Zamilkł silnik – będzie heca.

Postał traktor dobę w wodzie
I wymoczył się solidnie
Wyszedł z wody tak czyściutki
Że wyglądał jak nowiutki.

Kąpiel w rzece się przydała
Mały przegląd i naprawa
Traktor czysty jakby nowy
Jest do pracy znów gotowy.

Odmłodzony, odświeżony
Znów parkocze jak szalony
I niejeden chyba powie
Kąpiel wyszła mu na zdrowie.

Przygoda Józka

Idzie Józek - już nad ranem
Od dziewczyny swojej wraca
Drogą polną koło łąki
Bo to jego stała trasa.

Nagle widzi jak przez pole
Biegnie psiaków wiejskich sfora
Z przodu suka – kundli wiele
Wszak to chyba psie wesele.

Gdy wyczuły już człowieka
Zwrot zrobiły w jego stronę
Patrzy Józek – nie przelewka
Gdzie uciekać – puste pole.

Pies jest szybszy od człowieka
Nie uciekniesz jak zajęce
Wokół pustka – nie ma krzaka
Tylko woda jest na łące.

Choć dopiero wczesna wiosna
Chociaż jeszcze chłodna woda
Tam ratunku szukaj bracie
Bo niepewne twoje gacie.

Wszedł do wody nasz bohater
Najpierw płytko – po cholewki
Psy do niego płyną dalej
Trza wejść głębiej – nie przelewki.

Płynie za nim kundli sfora
W wodzie po pas biedaczyna
Że na kąpiel nie jest pora
Febra trzęsie go już z zimna.

Jak to zwykle w domu czynił
Krzyknął na psy nasz chłopina
Te przestały płynąć za nim
Bo ich suka zawróciła.

Znów harmider między psami
Suczka swojsko zaszczeła
Psy ucichły - wyszły z wody
Swego pana rozpoznała.

Wszak to była suczka Józka
Jego śladem podążała
I ze swymi kundelkami
W szczerym polu go spotkała.

Wyszedł z wody, ten nasz ziomek
Szczęki z chłodu marsza grają
Psy pobiegły w swoją stronę
I w oddali znów szczekają.

Wagary

Dwaj kompani z trzeciej klasy
Pomyśleli w środę w szkole
Cały czwartek poświęcimy
Na wagary i swawole.

Rano jak to zwykle bywa
Wzięli torby, kromkę chleba
Ścieżką polną przez szuwały
I czmychnęli na wagary.

A do szkoły się chodziło
Przez Pasternik w ostach cały
Kwiaty miały całe w rzepiu
Zima szczygły je zjadały.

Na polance między osty
Odpoczęli dwaj kompani
Zostawili torby, książki
Do Kurówki się udali.

Kiedy tyłki wymoczyli
Pora wracać po plecaki
Jak je znaleźć w takim haszczu
Oset duży niby krzaki.

Wcześniej - torby znalazł pastuch
Który krowy tu pilnował
Po zeszytach znalazł adres
I koleżków zakablował.

Szuka jeden, szuka drugi
A słoneczko już zachodzi
I do domu wracać pora
Toreb nie ma – będzie bura.

Jak tu wrócić bez plecaka
Co powiedzieć ojcu, matce
Będzie chłosta za swawole
A co jutro będzie w szkole?

Wrócił jeden, wrócił drugi
W progu ojciec czeka srogi
I wymierzył tęgie lanie
W tyłek paskiem na kolanie.

Wszystko dobrze się skończyło
Bo plecaki się znalazły
A w nich mrówek co nie miara
Bo do chleba one wlaży.

Dziś po ostach śladu nie ma
Zamiast chwastów rosną tuje
A dla szczyglów to jest bieda
Bo pokarmu im brakuje.

Kozy

W cichej wiosce nad Kurówką
Starsza pani hobby miała,
W swej zagrodzie koło domu
Mleczne kozy hodowała.

Miała koźlęta i kozę w łąty
Był wśród nich także kozioł brodaty,
Capa się ciągle figle trzymały -
Psocił, dokuczał przez dzionek cały.

To pożarł miotłę, kwiaty w ogrodzie
Potem mu ślinka ciekła po brodzie
Pewnego razu pomyślał sobie
Dobłą przysługę gosposi zrobię.

Sprzątnę z podwórka papiery, szmaty,
Tak sobie dumał - ten nasz rogaty
Porządek zrobię tak jak potrzeba,
A na nagrodę dostanę chleba.

Koza w lecie mleko daje
Smaczne, tłuste ale chłodne
Ja natomiast tylko psocę
i koźlęta chodzą głodne.

Podejrzał kiedyś, ten nasz niecnota
Że coś wystaje w skrytce u płota,
Podszedł ukradkiem capnął papiery,
Wśród których były faktury cztery.

Były gazety, listy, faktury
Za prąd, co trzeba zapłacić z góry
No i „Kauflandu” reklamy były
Te jako przysmak capu służyły.

Przemielił kozieł wszystkie papiery
Beknął trzy razy – czekał nagrody
Potem spokojnie poszedł do chłodu
Uderzył w drzemkę, bo nie czuł głodu.

Nie ma faktury – nie ma zapłaty
Tak sobie myślał ten nasz rogaty
Niedługo po tym – za dwa miesiące
Przeszedł elektryk – odciął przyłączy.

Rogacze

Dwaj rogacze w naszej gminie
Chcieli zwiedzić kawał świata
Wychowali się w oborze
A ptak wolny sobie lata.

Nasz koziołek już dorosły
Poczuł zapach kózki młodej
Minął łąkę, lasek z brzozy
Pędził w pole gdzie są kozy.

A gdy pieski go spłoszyły
Gnał przed siebie ile siły
Galopował – kozły fikał
Tak ku Sielcom biedny zmykał.

Obca wioska, obce strony
I gospodarz nieznajomy
Biec już dalej nie miał siły
Bo go pieski pogoniły.

I przebywał tu dni kilka
Właścicielka się zwiedziła
Na sznureczku przy rowerze
Do dom kozła przytargała.

Inny rogacz już prawie tonowy
W czasie podróży przyszedł do głowy
Że jego żywot dobiega końca
Że nie zobaczy już nigdy słońca.

Wyczuł gdzie jedzie, że na rumsztyki
/taki to żywot miewają byki/
Przy rozładunku pora uciekać
Ostatnia chwila – nie ma co zwlekać.

Sforsował parkan dosyć wysoki
I uciekł polem w stronę Opoki
Przez tydzień czasu hulał w terenie
Na polach było jeszcze jedzenie.

Aż go skusiły dwie krówki młode
Które się pasły jeszcze na rowie
Przy nich myśliwi go wytropili
I celnym strzałem żywot skrócili.

Aromaty

Wieje wiatr od Brzezin,
Wieje na południe
„aromat” w powietrzu
Co tak pachnie cudnie?

To żaden „aromat”
To bydlęce ścieki,
Tak pachną gdy rowem
Płyną, hen do rzeki.

Rów od krwi czerwony
Jakby kwitły maki
Wyginą w Kurówce
Żaby, ryby, raki.

Minęły te czasy
Gdy byliśmy mali
Jak ludzie w tej rzece
Latem się kąpali.

Trują ścieki rzekę
Śmierdzą zbożne pola
Wąchać „aromaty”
Taka nasza dola.

Wiejska chałupka

Przy polnej drodze koło stodoły
Stał stary domek – zawsze wesół
Żyła w nim długo małżeńska para
A mieli gości, co rzec niemiara.

Atrakcją domku – kołyska była
Ta „pięknym gościom” zawsze służyła
Kiedy wódeczkę tu popijali
Często w kołysce tej się pospali.

Gospodarz miotłą z brzozy handlował
Także wódeczkę tu pokątnie chował
W zbożu, pokrzywach, koło stodoły
Zawsze uprzejmy, zawsze wesół.

Nikomu w życiu on nie zawadził
Bo skromne życie z żonką prowadził
Nie było tutaj krzyku, hałasu,
A chrust on nosił na plecach z lasu.

Żyli jak w bajce, tak do starości
Zawsze wśród ludzi, zawsze wśród gości
Dziś na tym miejscu nie ma już chatki
Tylko w ogródku wciąż kwitną bratki.

Požary

Zdarzyło się w grudniu ubiegłego roku -
Spłonęło mieszkanie u strażaka w Stoku
Spłonęło doszczętnie – zostały popioły
Pozostał nam strażak bez dobytku – goły.

Lecz pozostał człowiek – człowiek pełen wiary
Pomogli mu ludzie i wpłynęły dary
Może za lat kilka nowy domek stanie
Z kuchnią i łazienką, z dobrą wodą w kranie.

W styczniu pośród nocy znów pożar wyskoczył
Pech lub dola taka – wybuchł u strażaka.
Spaliła się ściółka, po czym kurnik nowy
A w kurniku spłonął - wyląg kilkudniowy.

Gnębią nas pożary, topią nas powodzie
Nie byłoby ognia, żylibyśmy w chłodzie
Ogień jest potrzebny o tym wszyscy wiecie
Tak jest od zarania, na tym Bożym świecie.

Bokserzy

W wielu wioskach naszej gminy sport masowy się rozwija
Tu przy siatce i tenisie, z ojcem można spotkać syna.

Mamy też sztangistów, są damscy bokserzy...
Trudno się pozbierać – gdy taki uderzy.

Nie mają trenera, ani rękawicy
Dla nich żaden rywal – przeciwnik w spódnicy.

A gdy czasem sierpem mierzy za wysoko
To przetrąci szczękę lub podbije oko.

Przeciwnik poleży, trochę pobiadoli
Kilka dni nic nie zje, bo ją szczęka boli.

Czasem przybędzie arbiter z policji
Gdy się on ukáže – miękną zawodnicy...

Przedwiośnie

Idzie do nas wiosna
Małymi kroczkami
Idzie od południa
Połnymi drózkami.

Co dzień po minucie
Przybywa nam dzionka
Już na polu słysząc
Piękny śpiew skowronka.

Coraz wyżej słońce
Na niebie wędruje
A na starym dębie
Dzięcioł dziuplę kuje.

Ptaszki czują wiosnę
I głośno świergocą
Jeszcze są przymrozki
Ale tylko nocą.

Hen na rzece kaczki
Płyną przez szuwary
Szukają pokarmu
i łączą się w pary.

Można też zobaczyć
Zajęcy parkoty
Potem gdzieś pod miedzą
Odbędą wykoty.

Może już niedługo
Bociek do nas wleci
I przyniesie Polsce
Dużo małych dzieci.

Wracaj jak najrychlej
Tęsknimy po tobie
Przynieś nam z Afryki
Trochę ciepła w dziobie.

Przynieś nam kropelkę
Braterstwa – miłości
Niechaj w naszym kraju
Zgoda zawsze gości.

Żegnaj lato

Już bociany odleciały
I kukułka też nie kuka
Tylko czasem gdzieś tam w górze
Słysząc groźny okrzyk kruka.

Już po żniwach – puste pola
Ścięte zboże – łysa niwa
Nasza matka – polska ziemia
W pełnym słońcu odpoczywa.

Puste gniazda u bocianów
I jaskółek także nie ma
A odloty ich zwiastują
Że nastąpi wkrótce zima.

Chłodem wieje od północy
Od Syberii zima kroczy
Czas uciekać – głód nam grozi
Albo zima nas umrozi.

Tak jaskółki pomyślały
Jak bociany poleciały
Lećmy i my w ciepłe kraje
Gdzie cytrusów rosną gaje.

By odpocząć gdzieś nad Nilem
Tam gdzie żyją krokodyle
I powrócić skoro wiosny
Do kochanej matki – Polski.

Jesienna szaruga

Nadeszła jesień, za nią szaruga.
Dzień już króciutki, a nocka długa
Znów od zachodu ponure chmury
Przykryły pola, lasy i góry.

Chłodno i ciemno, i deszczyk pada.
Wrony się tłuką za żerem w stadach
To znów gdzieś lecą na szczere pole
Tam gdzie jest świeżo zaorana rola.

Gdzie kukurydza była zasiana
Stada ich można spotkać od rana.
Zbierają ziarna, kraczą, trzepoczą,
W pobliskim lasku śpią wszystkie nocą.

Są ich tysiące, z tajgi przybyły
Przez zimę będą u nas bawiły.
A wiosną kiedy słońce przygrzeje
Odlecą od nas w północne knieje.

Jesień

Idzie jesień od północy
Za nią zima wolno kroczy
Wicher wieje, deszcz zacina
Będą chłody od Marcina.

Puste pola – zaorane
Oziminy już zasiane
A gdzieś tam są ugory
W nich gawronów całe chmary.

Czasem jeszcze wyrzy słońko
I przelotny ptak zaśpiewa
To znów deszczyk puknie w okno
W sadzie liście gubią drzewa.

Płyną czarne chmury
Ciagną od północy
Każdy dzień ponury
I przymrozki w nocy.

Już niedługo zima
Śniegiem nas powita
Rozbłyśnie choinka
Na te Boże Święta.



Listopad

Już późna jesień, niedługo zima
I stary roczek będzie odchodził
Jeszcze listopad a potem grudzień
Czas szybko mija, jak z bata strzelił.

Miesiąc listopad – miesiąc zadumy
O tych co zmarli, co już odeszli
O naszych bliskich, drogich, kochanych
O tych poległych i nam nieznanym.

Polskie cmentarze – historia nasza
Tu spoczywają nasi dziadowie
Ojciec i matka i ktoś kochany
I pod parkanem żołnierz nieznanym.

Spoczywasz tutaj na obcej ziemi
Pod polskim niebem, lecz bezimienny
Ojciec i matka szukali Ciebie –
A ty od wojny już jesteś w niebie.

A może jeszcze ta starowina
Stojąc przy oknie wygląda syna
Drżąc ze starości przeciera oczy
Mając wrażenie że wrócisz w noc.

Ziemia jak matka jest sprawiedliwa
Jednak wszystkich pod płaszc swój skrywa
I ci ochrzczeni i ci poganie
Czekają wszyscy na zmartwychwstanie.

Pielgrzymka ziemską szybko się skończy
Tamtym w starości, tym w kwiecie wieku
Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz
Pamiętaj o tym szary człowieku.

Nie ma zasady kto pierw odejdzie
Stary czy młody, chory czy zdrowy
Nic nie zabierzesz z sobą w zaświaty
Choć byłeś tutaj bardzo bogaty.

Adwent

Nastał grudzień – zima już
Śnieżek pada – tęgi mróz
Jedzie Stasiek – drzewo wiezie
Kary konik ledwo lezie.

Drzewa stękają, mróz dalej trzyma
Na polach leży śnieżna pierzyna
Jakżeś obrządził wylaż z obory
Pora ligawkę wyjąć z komory.

Dobrym w liganiu był Suszek Franek
A w Końskowoli „Marszałek” Maniek
Takich artystów dziś też potrzeba
By grać dalej ludziom i grać dla nieba.

Artystą w graniu był też pan Michał
Po ojcu „Matys” przydomek nosił
Grał na ligawce, latem stróżował
A zboże kosą jak każdy kosił.

Już wigilii nadszedł czas
Poszli chłopcy w Kozi las
By choinkę uciąć świeżą
I ją ubrać przed wieczerzą.

A strojono ją czym było
To łańcuszkiem z prostej słomy
Świecidelkiem, wycinanką
Ale było bardzo miło.

Nadeszły Gody – dzisiaj wigilia
Więc mama obrus najlepszy kładzie
Aby kolację spożyć przy stole
Łamać opłatek w rodzinnym kole.

Pod stołem sianko, na stole łyżki
Będziemy jedli dziś z jednej miski
Potrawy postne – jest ich bez liku
Karp, śledzik, bigos – trochę barszczyku.

Potem kolędy – piękne - te polskie
Śpiewamy wszyscy bardzo wyniośle
I pastorałkę też ktoś zanucił
Ojciec do pieca drzewa dorzucił.

Idziemy wszyscy dziś na pasterkę
Najlepiej pieszo gdy bierze mróz
Witać dzieciątko, każdy się śpieszy
I Ty przywitaj i hołd Mu złoż.

Już gra orkiestra i biją dzwony
Mszę celebryje nasz ksiądz kanonik
Ludzie śpiewają kolędy czasem
To znów orkiestra uderzy basem.

Ciszej panowie – gracie zbyt głośno
Zbudzicie dziecię znużone snem
Kiszko dyskretnie pokazał palcem
Pół tonu ciszej – jak grać już wiem.

Gdy z pasterki w noc wracamy
Szczypie w uszy tęgi mróz
Ten na pieszo – ten sankami
Jutro ciepły kożuch włóż.

Bażanty

Smutna jest jesień, gdy deszcz zacina
Na dworze moknie biedna ptaszyna
A od zachodu wciąż idą chmury
Cały znów dzionek będzie ponury.

W pobliskich łąkach gdzie chwasty rosły
Chodzi pan bażant bardzo wyniosły
Szuka pokarmu, w trawie buszuje
Gdy znajdzie pokarm to nawołuje.

Woła partnerkę, która przy miedzy
Skulona z zimna gdzieś sobie siedzi
Słucha uważnie i obserwuje
Czy Pan myśliwy dziś też poluje.

Czy jeszcze zdąży do wiosny przeżyć
By znów przy miedzy gdzieś jajka złożyć
Czy ich rozdzieli śrutu kruszyna
Biedna jest teraz polna ptaszyna.

Nagle panika - strzał celny pada
Podniosła alarm ptaków gromada
Spadła na ziemię śrutem zraniona
Szara ptaszyna – bażanta żona.

On czmychnął w trawy – odfrunął potem
Nisko nad ziemią szumiącym lotem
Będzie tak latał aż do niedzieli
Aż go myśliwy śrutem ustrzeli.

Bobry

Nad naszą rzeką bobry grasują
Tam one z chrustu tamy budują
Nocą ścinają olszyny młode
Celnie je kładą – zawsze na wodę.

Świetni pilarze, zdolni z nich drwale
Ale nie chwałę ich za to wcale
Bo niszczą olchy zagajnik młody
Ludziom wyrządzą poważne szkody.

Niszczą też wały, te od powodzi
Im duża woda nigdy nie szkodzi
Ale powodzie – ludzka niedola
Zniszczone domy – zalane pola.

Teraz myśliwi na nie polują
A one nadal tamy budują
Grają z myśliwym - w myszki i koty
Mamy z bobrami same kłopoty.

Bociany

Nadeszła już wiosna, boćki przyleciały
Długą one drogę z tej Afryki miały
Przez morze, Bałkany, Słowację lub Czechy
Aż dotarły wreszcie pod te polskie strzechy.

Przyleciał wpierw jeden, potem drugi, trzeci,
Cieszą się rodacy – będzie dużo dzieci
Wtem słyhać klekoty, skrzydeł łopotanie
Było to ich pierwsze na łące zebranie.

One tylko wiedzą, co tam uradzili,
Lecz tego trzeciego z łąki wygonili
I odleciał biedak drogą umęczony
Odrunął on dalej szukać sobie żony.

Przysiadła ta para u nas i klekoce
Zrobimy gniazdeczko tutaj w tej Opoce
Znalazły dwa słupy górą połączone
i przez kilka dzionków gniazdo jest zrobione.



Trochę chrustu, błota i suchych badyli
I powstało gniazdo, bo już czas ich pili
Pora złożyć jajka i wychować smyki
By jeszcze przed zimą zdążyć do Afryki.

I tak od miesiąca, tu na Opoce
Bocian w każdy ranek na słupie klekoce
Łowi żaby w stawie, na krety poluje,
Ona siedzi w gnieździe – jajka wysiaduje.

Czy te dwa bociany dzieci nam przyniosą
Zobaczymy za rok – może późną wiosną
Bociany, bociany – wy polskie ptoki
Przylatujecie co rok do naszej Opoki.

Jaskółki

Piękna nasza jaskółeczko
Ty zwiastunie wiosny
W jaki sposób tu trafiłaś
Do rodzimej wioski.

Nie masz mapy, ni busoli
A główeczkę masz tak małą
Jaki ty masz ten swój rozum
Znasz na pamięć trasę całą.

Następnego dnia jest druga
Więc rodzina już w komplecie
Pora gniazdko wybudować
Bo piskłeta będą w lecie.

Gniazdko z błota ulepione
W nim jajeczka nakrapiane
W końcu czerwca są piskłeta
Jest ich kilka – ciągle głodne.

Jaskółeczka to synoptyk
Co pogodę przepowiada
I ostrzega przed intruzem
Co odwiedził gospodarza.

Bo jaskółki lot wysoki
Piękny dzionek zapowiada
A gdy niski – będzie chlapa
Bo ciśnienie wolno spada.

Gdy pojawi się kot mrucek
Na podwórku lub w oborze
Krzyczą nad nim i furkają
Wnet intruza przepędzają.

A krogulec gdy nadleci
Na wróbelki zapolować
Całym stadkiem go ganiają
Piskiem ptaszki ostrzegają.

Przyszła jesień – czas odlotu
Już jaskółki sejmikują
Jeszcze jeden odlot próbny
Na południe powędrują.

Jastrzębie

Za Opoką, tam na bagnach
Rosną duże kępy drzew
I czeremcha i olszyna
Jest tu także rokitnica.

W gąszczu krzaków na wysepce
Dzika kaczka gniazdo ściele
Wokół bagno i szuwary
Ptactwa tutaj bardzo wiele.

Teren mokry, niedostępny
Tylko ptaki tu gniazdują
Sroki, wrony i łabędzie
Co rok wiosną przylatują.

Zamieszkuje tu i sarna
Która co rok młode ma
Śliczne toto, lecz płochliwe
Chcesz zobaczyć – pojedź tam.

A najlepiej na rowerze
Przyjedź do mnie, ale w lecie
Zobaczymy może lisa
Jak swym młodym kurkę niesie.

A gdy w grudniu przyjdzie zima
Gdy pokarmu w polu nie ma
Kuropatwy spotkać można
Jak kupkami grzebią w śniegu.

Śliczne ptaki – stadko spore
Jastrząb to ich wielki wróg
Kraży w górze – obserwuje
I jak pocisk w dół nurkuje.

Rozbił stadko - w śniegu, pióra
Rozleciały się po łące
Jedną tylko upolował
Taka już jego natura.

A nazajutrz przyszedł drugi
Śrutem strzelił – spadła czwórka
Było stado, nie ma stada
Pozostały tylko piórka.

Gdy nadejdzie w grudniu zima
Znów jastrzębie zapolują
Lecz tym razem na zajęce
Pusto zrobi się na łące.

Ptaki

Tuż przy wiejskim domu rosną gęste krzaki,
Tam od wczesnej wiosny mają gniazda ptaki.
Są tam makolągwy, gołębie i kosy,
a na strychu domu mają gniazdo osy.

W skrzynce, co na listy, na płocie wisiała
Zrobiła swe gniazdo makolągwa mała.
Wygląda pliszka, ma piórka brązowe,
gniazdo mchem wypchane – co rok zawsze nowe.

Kosy zaś swe gniazdo mają na balkonie,
W zielonym przez lato dzikim winogronie.
Mają czwórkę małych – wielkie głodomory!
Karmią ich rodzice w ranki i wieczory.

Wróble zaś gniazdują w porzeczek gęstwinie,
A dzikie gołębie w pobliskiej leszczynie.
W nieczynnych kominach, co dawniej dymiły
tam znów czarne kawki gniazdo swe zrobiły.

A w starej oborze jaskółki fruują,
Tu od wielu wiosen swoje gniazda mają.
Polują na muchy, niszczą ich tysiące
Łowią też owady na pobliskiej łące.

Na nich to krogulec drapieżny poluje,
Sam zaś swoje gniazdo na świerku buduje.
Znosi młodym myszy i drobne zwierzaki
Boją się go wszystkie nasze małe ptaki.

Puszczyki

Gdzieś na skraju wioski
W opuszczonym domu
Mieszkał sobie z żoną
Puszczyk po kryjomu.

Ciągle go trapiły
Tchórze, kuny, koty,
Przeniósł się na stryszek
- Strysek pełen myszek.

Tu zbudował gniazdo
Ukryte w rupieciach
Sówka zniosła jajko
Myśleli o dzieciach.

Dom stał poza wioską
Nikt go nie odwiedzał
Gdzie ma gniazdo puszczyk
Tylko kocur wiedział.

Kocur biały w łaty
Wioskowy dachowiec
Do ptaków łapania
Wybitny fachowiec.

Wyśledził puszczyka
Gdy nocami hukał
Podkrał się do domu
I młode wyszukał.

Przeniósł się nasz puszczyk
Do wieży kościoła
Tam kocur dachowiec
Wyleźć nie podoła.

Sowy

Przyleciała do nas sowa,
Mądra sowa z Baranowa
I ptakami rządzi wkoło
Raz są kłótnie, raz wesoło.

Dzisiaj huka nasza sowa
Bo mąż frunął gdzieś na łowy
Późna pora, wciąż go nie ma
Może zbłądził gdzieś do wdowy.

Już trzy noce go nie było
Może mu się coś zdarzyło
Może koty go napadły
Albo kuny nocą zjadły.

Szuka żona na wsi, w mieście,
Jest - odnalazł się nareszcie
Wraca z miasta, do domu leci
Bo na żer czekają dzieci.

Wracać rankiem nie wypada
Wszystko widać od sąsiada
Idź wypocznij mężu drogi
Na wyskoki nie masz głowy.

Skrycie zmierza do stodoły,
Niewyspany, brudny, goły
Tu w zaciszu spocząć pora
Przespać dzionek do wieczora.

A wieczorem znów na łowy
Jak w zwyczaju mają sowy
Upolować coś znów trzeba
By nie zbrakło w domu chleba.

Orkiestra dęta

W każde święto w Końskowoli
Gra orkiestra mimo woli
Każdy chyba dzisiaj powie
Że to wójta oczko w głowie.

Nasz kapelmistrz chłop wojskowy
Co batutą świetnie włada
Nosi mundur kolorowy
Repertuar sam układa.

Flety, trąbki i klarnety
Stąd melodia czysta płynie
Kiedy solo grają w marszu
Echo niesie po dolinie.

A baryton wraz z tenorem
Grają aż się chylą kłosa
Oni zawsze są z humorem
Często ciągną pierwsze głosy.

Maniek, Tadek, Zenek, Bolek – same asy
Orkiestranci pierwszej klasy
I nasz Stefcio nie pauzuje
Innym kroku dotrzymuje.

Zawsze czysty ma tenorek
I od święta i we wtorek
Już pół wieku gra w orkiestrze
Bóg wie - ile pogra jeszcze.

Rysio, jak to zwykle bywa
Często spóźnia się na granie
Coś mu dzisiaj przeszkodziło
Że nie zdążył pójść na piwo.

Basy, alty i waltornie
Rytm muzyki utrzymują
Ale nieraz im się zdarzy
Że troszeczkę zafałszują.

Ale po to jest batuta
By w orkiestrze wszystko grało
Szeft swym jednym ruchem ręki
Wyprowadzi ją na cało.

Nasz Pan Rodzik w bęben wali
Dzielnie kroku dotrzymuje
Choć najstarszy – ten ma zdrowie
Śpiewał druhom na Chrząchowie.

Jemu to wtóruje Heniek,
Na werbelkach świetnie gra
Jest solistą jak należy
Po Dziegielach talent ma.

Jest też Krzysio – ten to chwata
On od swoich młodych lat
I z zespołem i z kapelą
Zwiedził prawie cały świat.

A że często jak to bywa
Zaschnie gardło – trzeba piwa
Bo inaczej nic nie stroi
I wątroba nieraz boli.

Świetnie grają Paweł, Jacek
No i Piotrek pięknie gra
Tak ciągnijcie moi drodzy
Niech Wam Bozia zdrówko da.

Grajcie chłopcy długie lata
By tradycja nie upadła
By Was drodzy weterani
Zastąpiła nowa kadra.

Tym, co grać już dziś nie mogą
Ze słabym sercem, z chorą nogą
Pozostało kibicować
I z sukcesów się radować.

Tym co odeszli

Nagle odeszli, aż serce boli
Ci muzykanci, co w Końskowoli
Ponad pół wieku grali w orkiestrze
Gdy grają marsza – widzę ich jeszcze.

Odszedł Tadeusz – barytonista
A za nim Stefcio – nasz tenorzysta
Po pierwszym został baryton biały
Po drugim żółty, tenorek mały.

Ponad wiekowe te instrumenty
Powiszą w szafie – bo tak wypada
By ktoś następny wziął je do ręki
i znowu zagrał marsza „...Brygada”.

Ilu muzyków na nich grywało
Na mszach, procesjach na „Boże Ciało”
W mojej pamięci było ich wiele
Starzy koledzy i przyjaciele.

Kilka lat temu było nas wielu
Tych co pół wieku w orkiestrze grali
Dziś pozostało już tylko czterech
A gdzie was reszta - ludzie spytali.

Byli trębacze, byli basiści
Byli dobosze i klarneckiści
Pozostał po nich klarnet zepsuty
A gdzieś w szufladzie są stare nuty.

Odeszli od nas – dziś zapomniani
Być może grają „Najświętszej Pani”
Lub gdzieś wysoko w „Boskiej Krainie”
Grają kolędy „Bożej Dziecinie”.

Pielgrzymki do Wąwolnicy

Przeszło lato jest już wrzesień
U nas w Polsce złota jesień
Pięknie w sadach, pusto w polu
Czas hołd złożyć Panu Bogu.

Znów drogami utrudzeni
Idą z dala dziś pątnicy
By za plony podziękować
Swojej Pani w Wąwolnicy.

W Wąwolnicy rzeźba w Lipie
Co przedstawia Matkę Boską
W długiej sukni całej w złocie
A na ręku trzyma dziecię.

Tu wśród lasów blisko Kębła
Ona jeńców uwolniła
Gdy ich Tatar zabrał w jasyr
Synów matkom tu zwróciła.

W kwietniu, maju do Maryi
Pielgrzymują znów strażacy
Oni dzisiaj chcą swej Pani
Złożyć roczny raport z pracy.

Chcą wyprosić w niebie łaski
I Maryi bić ukłony
By Jan-Paweł Papież z Polski
Świętym został ogłoszony.

Dziś orkiestry też przybyły
I „Po górach...” pieśń zagrali
A na zmianę drugą zwrotkę
Chórem wierni zaśpiewali.

Wiatr niósł pieśni w świat daleki
Aż pod pułap niskich chmur
i dolinką Bystrej rzeki
Gdy z orkiestrą śpiewał chór.

Poezja ks. Jana

Ziemia puławska – ojczyzna mała
ile tyś ludzi mądrych wydała
Byli dowódcy i politycy
Sławni poeci i historycy.

Ziemia puławska nasza kochana
U księdza Jana tyś opiewana
To tutaj w murach puławskiej szkoły
Chłonął nauki, nasz Jasio młody.

A potem studia w dalekim Rzymie
Tam, bardzo tęsknił, za tym co polskie
Tam, pisał wiersze i na pianinie
Tworzył melodie, te takie swojskie.

Sam pisał teksty i do nich nuty
Były oberki, hymny, mazury
Biesiadne pieśni i zalecanki
I piękne pieśni do Marii Panny.

Pieśni o Stwórcy i pasterački
Tęskne, żalósne a wszystkie swojskie
One Mu niosły ulgę w tęsknocie
W Jego kapłańskiej ziemskiej robocie.

Praca pasterza nie była lekka
Rany wojenne nie zagojone
Nowa diecezja i ludzie nowi
Wygnańcy z kresów i ci miejscowi.

Potem już bliżej – ziemia zamojska
To Lubelszczyzna, ta taka swojska
Znów pisze wiersze o wiejskiej chacie
O misji matki, o swoim tacie.

A jako muzyk znał się na graniu
Gdy tęskno było zawsze przygrywał
Nie straszne Jemu krzyże, bemole
Kochał muzykę i Końskowolę.

Szybko przemija to nasze życie
Pora odpocząć nasz emerycie
Więc wracaj bracie w ojczyste progi
Tu twa ojczyzna nasz Janie drogi.

Wspomnienie poetki

Skończyła się Twoja kręta, ziemską drogą
Nasza droga Zuzanno – poetko z Pożoga
Odeszłaś tak nagle, jak obłok na niebie
Powstała nam pustka, bo nie ma tu Ciebie.

Kto będzie z kwiatami tak pięknie rozmawiał
Kto będzie tę ziemię ojczystą rozślawiał
Tyś swoją ojczyznę małą miłowała
I dla potomnych – wiersze pisała.

Przeżyłaś lat wiele, tu w Nowym Pożogu
Wśród polnych kwiatów, sadów i ogrodu
Aż przyszedł koniec, jaki wszystkich czeka
Taki to finał żywotu człowieka.

Kto Cię zastąpi na tym łez padole
Gdy będą czytać Twoje wiersze w szkole
Da Bóg, że urosną znów wiejscy poeci
Dopóki słońce nad polami świeci.

Odeszłaś od nas, lecz wiersze zostały
Które zebrano już w tomik niemały
Będziemy długo wspominali Ciebie
A teraz dołącz do Twych ojców w niebie.

Powroźniki

Jest miejscowość nad Kurówką
Czartoryskich dawne włości
Końskowola się nazywa
Od Konińskich nazwę nosi.

Dzisiaj wioska – dawne miasto
Utraciło swoje prawo
Car ukarał naród polski
Zamieniając miasta w wioski.

Wschodnią stronę Końskowoli
Tą nad strugą – zwą Przytyki
Tu swój Zarząd i siedzibę
Mieli dawniej Powroźniki.

Choć ich zwano powroźniki
Tkano tutaj też chodniki
Taśmy młyńskie i lejcowe
Tapicerskie – żaluzjowe.

W lewo, prawo i z powrotem
Czółenka śmigaly
I osnowy lnianym wątkiem
Sprytnie przeplatały.

Tasiem tkano kilometry
Szerokie i wąskie
Opasał byś nimi
Wiele razy Polskę.

Było przy tym dużo kurzu
I hałas był wielki
Kiedy na raz wszystkie krosna
Tkały tapicerki.

Powroźnicy przędli liny
I sznurki skręcali
Dla murarzy, do bielizny
Czasem len czesali.

Była tutaj też stolarnia
Drzwi i okna tu robiono
Albo taka mała szwalnia
Gdzie krawcowe zatrudniono.

Duży hałas – puchną uszy
Więc odpocząć by wypadło
Gdy od kurzu w ustach suszy
To przepłukać trzeba gardło.

Skrycie ścieżką przez ogrody
Do Franciszki się chodziło
Po kotlety, po flaszeczkę
Gdy w żołądku coś muliło.

Smaczne były te kotlety
„Żrebackami” ich nazwała
Lecz za handel nielegalny
Mundurówka ją ścigała.

Jak to w zakładzie każdym bywało
Zarobki różne – pieniędzy mało
Były intrygi i miłość była
Kilka się razy ślubem skończyła.

Każdy adept chrzest przechodził
Po „glanc” biegał wiele razy
Z trudem ciężki wór prznosił
Bo w pakułach dźwigał głązy.

Zakład pracy jakich dużo
Dawał pracę prostym ludziom
Dziś drukarnia tu istnieje
Powroźniki – to wspomnienie.

Po powroźnikach pamiątek wiele
Najbardziej znana to ta w kościele
Chodnik co służy pół wieku z hakiem
Młodym do ślubu ze swym orszakiem.

Ile ludzi tu robiło
Ile rodzin i pokoleń
Nieźle im się powodziło
Aż nastąpił czarny tydzień.

Dla załogi był to szok
Upadł zakład w jeden rok
Nie ma pracy – nie ma chleba
A rodzinę żywić trzeba.

Nie ma koni, nie ma krówek
Więc postronek niepotrzebny
Dziś bez pracy jest powroźnik
Jak fach zmienić duma biedny.

Przeminęło wszystko z wiatrem
Jak w jankeskiej tej powieści
Dziś w bamboszach i pod piecem
Snuję wnukom opowieści.

Jubileusz „Echa Końskowoli”

Czy spostrzegłeś czytelniku
„Echa” – gminy sympatyku
Który numer czytasz „Echa”
Popatrz jak to czas ucieka.

Siedemnaście lat minęło
Jak to wszystko się zaczęło
Już numerów wyszło dwieście
Daj Bóg wydań setki jeszcze.

Pismo nasze – gminne „Echo”
Niesie wieści hen daleko
Naszym ziomkom gdzieś w oddali
I nam tutaj zamieszkałym.

Stąd historię poznajemy
Końskowoli, okolicy,
Tu są wieści z sesji gminy
Tutaj piszą czytelnicy.

Są wspomnienia, opowieści
Tych, co od nas już odeszli
Piszą starsi, młodzież, dzieci
Ogłoszenie też się zmieści.

Nakład spory - w pięknej szacie
/nieraz w kioskach go brakuje/
Już redakcja w nowym składzie
Numer z września nam szykuje.

Straż pożarna w Opoce

Nasza straż pożarna
Jest najmłodsza w gminie
Nie ma takich zasług
Lecz z orkiestry słynie.

Po dwudziestu latach
Mamy dziś strażnicę
Gmach jest piękny, okazały
Lecz łazienek jest za mało.

Nie ma dziś pożarów
Nie ma też powodzi
Jeden wyjazd w ciągu roku -
W statystykach tak wychodzi.

Druhów w miarę - bo czterdziestu
Jak na wioskę to wystarczy
W średnim wieku, młodzi, starzy
Być strażakiem każdy marzy.

Orkiestrantów jest też kopa
Weterani i juniorzy
Wszyscy pięknie są ubrani
Wśród nich jedna młoda pani.

Jubileusz za dwa latka
Ja już dzisiaj sobie marzę
Wy mieszkańcy i strażacy
Czas pomyśleć o sztandarze.

Zawody pożarnicze

Dziś zawody pożarnicze
W Końskowoli oglądamy
Dziewięć drużyn w szranki staje
Jedenaście straży mamy.

Dano sygnał do zawodów
Motopompy wnet zagrały
Pierwsza rota start do węży
Które wodę podać miały.

Najważniejsza druga rota
To widziałem stojąc z boku
Sprawnie biegną do trójkąta
Tu - najlepsza straż ze Stoku.

Sielce im też dorównują
Łeb w łeb walczą do ostatka
i w sztafecie i w bojówce
Zdobyć dyplom - to nie gratka.

Druh Tadeusz kibicuje
Uwag Sielcom nie żałuje
Ciągłe krzyczy - czasem ruga
Najważniejsza rota druga.

Choć jest straży jedenastka
Chrząchów górą jest i basta
I w sztafecie i w bojówce
No i znalazł się w czołówce.

Młodzieżowe są drużyny
Znani chłopcy i dziewczyny
Tu najlepsze Witowice
Bardzo dobrzy są w bojówce.

Znów startują piękne panie
Nasze drużyny z Końskowoli
Bez rywalek biegną sprawnie
Choć niejedną głowa boli.

Dla zwycięzców jest nagroda
Zimna woda - ta, w zbiorniku
Po kąpeli choć zziębnięci
Stoją wszyscy w równym szyku.

Są nagrody i dyplomy
Są koperty i pochwały
A najlepsze z naszych drużyn
Do powiatu się dostały.

Nasze straże

Mamy w gminie wiele straży
Ale gdy się pożar zdarzy
Jadą tylko trzy...

Pozostałe – debatują
Na wezwanie oczekują
Oglądając skry...

Mówią ludzie – jesteś w straży
Biegnij gasić, choć tam parzy
Lecz nie wolno mi...

Zamiast gasić przy pożarze
Ja z gapiami sobie łążę
I przyglądam się...

Bo strażacy Ci z systemu
Umią gasić po nowemu
Pozostali nie...

Dziś przepisy mamy takie
Że choć jesteś już strażakiem
Bez wezwania nic nie wolno Ci.

Bo kask nie ma atestu
A strażak polisy
Tego nie zrozumiesz
Chociaż jesteś łysy.

Jubileusz Ochotniczej Straży Pożarnej w Młynkach

Już sześćdziesiąt lat minęło
Gdy to wszystko się zdarzyło
Jak we Młynkach straż powstała
Dzisiaj w gali stoi cała.

Jest dużo młodzieży
Są też i seniorzy
A wśród nich jest pięciu
Co historię tworzy.

Oni od początku
Działają we straży
Niech przez dalsze lata
Bóg ich zdrowiem darzy.

Już sześćdziesiąt latek
Pomoc ludziom niosą
Niech im dalsze życie
Upływa z rozkoszą.

Dziś we Młynkach jest remiza
Nowusieńka i zadbana
Wizytówka wioski całej
I druha Romana.

Tu gosposie kursy mają
Smakołyki w kuchni warzą
I sportowcy tu trenują
Razem z naszą wiejską strażą.

Straż wyjazdów ma niewiele
Do pożarów i powodzi
Czasem zdarzy się wesele
Parkiet tutaj chwałą młodzi.

A kronikę jaką mają
To historia wioski – straży
Kilka tomów liczy ona
W barwnych zdjęciach ozdobiona.

Dzięki tej kronice
Młynki znane w Polsce
A nasi strażacy
Niosą sławę wiosce.

XXI wiek. Unia na wsi

Jedzie Polak na zarobek
Francja, Anglia i Azory
Często potem wraca goły
A nie rzadko też jest chory.

Znowu jesteś mój kochany
Jak niewolnik u baora
Który w czasie drugiej wojny
Wykrzykiwał: Schnella, schnella.

Już minęły czasy wojny,
Pozostały złe nawyki
Pokonany zrobił biznes
A zwycięzca chodzi głodny.

Trudno wszystkim to zrozumieć
Ciężko znaleźć pracę sobie
Lecz najlepszy na frasunek
Kufel piwa – szmerek w głowie.

Taką drogą nie dojdziemy
Do luksusu w Anglii, Szkocji
I Japonii też nie będzie
Kiedy ziemi się pozbędziem.

Polak ziemi swej nie zdradzi
Wróci z Saksów za dzień – dwa
Wsieje rzepak, olej zrobi
Własny opał będzie miał.

Żyto dziś ma piękne kłosa
Dla rolnika to nie wszystko
Z żytem wyjdiesz jak Zabłocki
Bo chłop zyska tylko rżysko.

Obcy biznes chleba nie da
Będzie w kraju nadal bieda
Obcy powie – ziarno moje
Dla Polaka – tylko plewa.

Smutno na wsi bez króweczki
I koników nam też żal
Konie nasze wyparł traktor
Zamiast zlewni jest dziś bar.

Przeszła wiosna, już jest lato
I nadejdzie smutna jesień
Co ten roczek też dobrego
Nam Polakom wnet przyniesie.

Jeszcze jedna podwyżka,
Może bubel – ustawa
A ty módl się i pracuj
Bo tu rządzi Warszawa.

Srogi reżim unijny
Ludziom w głowie przewraca
Tylko biznes się liczy
Rzadko solidna praca.

Ziemia u nas bardzo licha
Kamień, glina, trochę piachu
Obcy przyszedł i zapytał
Z czego żyjesz tutaj Lachu.

Ale ziemia nasza matka
Ludzi żywi i utuli
Wszystkim starczy chleba, mleka
i sianeczka dla krasuli.

Nad Kurówką olszyny
I czeremcha się trafi
Różnie ludziom się żyje
W końskowolskiej parafii.

Nasi Olimpijczycy

Od Gór Kaukazu głos Mazurka leci
Cieszą się dorośli, cieszą się i dzieci
Bo nasza Justyna znów na podium stoi
Dzierży w dłoni złoto, chociaż stopa boli.

Jeszcze Polska nie zginęła... - orkiestra zagrała
Śpiewali kibice, Justyna płakała
W radości i bólu przyjęła owacje
Ty przyniosłaś zaszczyt każdej polskiej chacie.

Gdzieś w górskiej Kasynie tyś się wychowała
Dziś naszą mistrzynię zna już Polska cała
Za twoją postawę i Kamila Stocha
Polska wam dziękuje i Was bardzo kocha.

Dzisiaj znowu Bródka mknie przez lodowisko
A za nim Holender – on ma bardzo blisko
Lecz zwyciężył Polak – znów Mazurka grają
Kiedy złoty medal Zbyszkowi wręczają.

Znów śpiewają w Soczi, to nasi rodacy
Śpiewają też z nimi dumni łowiccy strażacy
Za naszych sportowców i za ich rodziny
Proponuję toast „uzupełnić płyny”.

Po tylu emocjach w gardle jest zbyt sucho
Od słuchania radia już mnie boli ucho
Każdego kibica czeka dola taka
Kiedy znów na podium zobaczy Polaka.

Sto lat Ochotniczej Straży Pożarnej w Rudach

W pobliskich Rudach kur z rana pieje
Nie ma pożaru lecz coś się dzieje
To nie jest alarm – to święto straży
Za sto lat takie znowu się zdarzy.

Już sto lat temu Rudzcy włościanie
Zrobili we wsi ważne zebranie
Jak walczyć z ogniem długo radzili
I straż ogniową wnet założyli.

A po szesnastu latach istnienia
W tej Rudzkiej straży kadra się zmienia
Drużyna żeńska duża powstała
„SAMARYTANKI” ludność ich zwała.

Była to druga straż w naszej gminie
Z żeńskiej drużyny też dzisiaj słynie
Tak dawniej było i dźać się będzie
Bo Rudzkie druhny to widać wszędzie.

Widać ich wszędzie, choć ich niewiele
W pracach społecznych, w straży, w kościele
Niech Rudzkiej straży słońce przyświeca
By doczekała dalszego lecia.

czerwiec 2018



Zbigniew Kozak

Ilustracje Jolanta Wawer

Myszki, mrówki, wiewiórki i inne bajdurki

Gminny Ośrodek Kultury – Biblioteka Publiczna
w Końskowoli



Panna Wiosna

Panna Wiosna
na malutkim stawie,
ciepłym słońkiem lody rozpuściła.
Na brzegu kaczeńcom
żółte kwiaty otworzyła
by się złoto uśmiechały
wiosenkę bukietaми ozdabiały.

A na łące tuż przy stawie
coś się dziać zaczęło:
rwą do nieba trawy, liście,
kwiatów kolorowych kiście.
Mlecz wychylił na swych rurkach
żółciuteńkie kwiaty –
– taki łąki świat bogaty.

W tym dywanie pośród zioła
każdy budzi się dokoła.
Wyszły mrówki
z labiryntów korytarzy,
wyszła ważka
co się na pobliskiej trzcinie waży,
biedronka na listeczku trawy
krople rosy toczy dla zabawy.
Pszczołka bardzo pracowita
z kwiatami się serdecznie wita:
cały brzusek pyłkiem oprószoney
i tak lata w różne strony,



Wyszły żabki z plecaczkami,
 dokąd skaczą tak po trawie?
 Wielkie poruszenie przy stawie
 i rechoczą i kumkają
 i plecaczki otwierają,
 z nich kuleczki wybierają,
 wśród sitowia układają.
 Z nich wylęgną się kijanki
 w ciepłej wodzie popluskają,
 bo takie dzieciństwo
 żabie dzieci w stawie mają.

Na kopczyku czarny krecik siedzi,
 nosem rusza dookoła
 wyczuł zapach kwiatów –
 – „Wiosna! Wiosna!” radośnie woła
 „ Teraz się pobawię
 z przyjaciółmi w trawie!”

Co się dzieje na tej łące
 pośród ziela, kwiatów, trawy?
 Ile pracy i ile zabawy!
 Kto opisać wszystko zdoła?!
 Wyjdź na łąkę, wiosna woła,
 popatrz w liście, trawy, kwiaty
 a zobaczysz maleńki świat
 przebogaty.



Imieniny Świerszcza

Na podmokłej łące, w kępie trzciny
trwają świerszcza imieniny.
Już od świtu, już od rana
cała łąka rozśpiewana.
Najpierw świerszczy chórek cały
grał na skrzypcach koncert mały.
Szła gromada rozśpiewana,
każdy w sercu niósł życzenia:
zdrowia, szczęścia, powodzenia.

Hen z podwórka
przyszła mała kurka
a z nią mama kura
„Wiwat świerszczu! Hura! Hura!”
Na te śpiewy, śmiechy, krzyki
przyleciały też indyki:
„Drogi świerszczu, bracie mały
graj nam co dzień
boś wirtuoz doskonały.”



Przyleciały także wróble –
 – jadły wcześniej ziarno w kuble.
 Bardzo głośno zaćwierkały,
 i życzenia odśpiewały.

Wąż zaskroniec wypełził z trawy,
 i dołączył do zabawy
 „Sssskładam też i ja życzenia,
 życzę świerszczu powodzenia,
 ssssyćzę dzisiaj tu bez złości
 siądę sobie między gości.”

Nawet żaba, co w stawie
 skrzek składała,
 też świerszczowi po żabiemu
 „Drogi kum, kum, kumie”
 życzenia wykumkała.

Potem jeszcze przyszły mrówki,
 żuczki, stonki i biedronki.
 Wyszedł sobie z norki krecik,
 co na głowie ma berecik,
 i popędził w kępę trzciny
 gdzie dziś trwają imieniny.



Solenizant z tej radości,
że ma zewsząd tylu gości,
wyjął skrzypki skarb swój mały.
Skrzypki same mu zagrały,
piosnka niesie się po trawie
przy wesołej tej zabawie,
która trwała do wieczora.
Potem spać już przyszła pora.

Ale jutro już od rana
znowu łąka rozśpiewana,
znowu goście przyjdą w trzciny
jutro żuczka imieniny.
I tak w trzcinie
co dzień, w koło,
życie płynie na wesoło.



Strach na wróble

Strach na wróble,
na jednej nodze stoi
straszny, rozczochrany.
Lecz jeden wróbel się go nie boi
a ptak to
gwarny i płochliwy.
Czy strach – nie strach?
A może
dla tego wróbla życzliwy?
Nawet go w rękaw schował
by wygodnie
w nim sobie gniazdował.

Ten zaś świergocze mu
całymi dniami
co słycać w polach
i między domami.
Choć trudno uwierzyć,
ta opowieść jest prawdziwa.
Taka bowiem przyjaźń
miedzy strachem i wróblem
też bywa.
Obaj z tego mają pożytek tej treści:
wróbel ma domek
a strach ciekawe opowieści.



Sen małej Kasi

W ogródeczku,
tuż przy oknie małej Kasi,
na słoneczku
wśród czereśni na listeczku
biedroneczka sobie spała,
czerwoniutka,
co kropeczki na kubraczku miała.
Taka śliczna, taka mała.
Aż tu nagle z każdej strony
przyleciały szpaki, wrony.
Jakież było zamieszanie
świergot w koło i krakanie.

Przyleciały jeść czereśnie
na śniadanie z rana wczesnie.
Bo czereśnie
słodziuteńkie całe,
i bordowe i dojrzałe.

Jęły dziobać, kłuć się, krakać,
po gałęziach wszystkich skakać.
A niegrzeczne! A to dranie!
Tak z hałasem jeść śniadanie?
Bożą krówkę rozbudziły,
wielką wrzawą nastraszyły.



Biedna biedroneczka mała
ze strachu w trawie się schowała.
Kroplą rosy się umyła,
i nagle coś strasznego odkryła.
Przez te wielkie dranne ptaki
kłopot ma nie byle jaki!
Bo w pośpiechu, gdy sfruwała
kropki swoje zapodziała!!!
„Zgubiłam je może w trawie?
Jak kubraczek swój naprawię?”
Mrówki, żuczki i robaczki
do pomocy każdy żwawy,
przeszukują kwiatki, trawy.
Lecz kropeczki zaginęły.

Każdy myśli, każdy radzi.
Chyba Kasia tu zaradzi.
Biedroneczka biedna, mała
w oknie Kasi zapłakała.
Na to dobra Kasiuleńka
zobaczywszy, że maleńka
Boża krówka cała zapłakana,
pyta grzecznie „Co się stało
Biedroneczko ma kochana?”
„Kasiuleńko, mój kubraczek,
dziś wyglądam jak biedaczek.
Bez kropeczek gdy się zdarzy
nam biedronkom nie do twarzy.



Proszę bardzo Kasiu miła
może byś coś zaradziła?”

Kasia chwilę pomyślała
wzięła pędzel, umaczała,
w farbie (właśnie malowała),
kropki porobiła na kubraczku
„Znowu jesteś piękna mój
biedaczku”.

Biedronka się w lusterku
przejrzała
Kasi miło dziękowała,
jeszcze raz się uśmiechnęła
i gdzieś w kwiaty odfrunęła.

„ Wstawaj Kasiu moje kochanie”
mama woła na śniadanie.

Kasia oczęta otwiera,
patrzy w okno na czereśnie
co widziała je dziś we śnie.

Żuczki, szpaki i biedronka
tu uśmiecha się do słońca.
„Po śniadaniu” - myśli sobie –
– „Usiądziemy z mamą obie,
na ławeczce tam gdzie miło,
a ja jej powiem
co mi się przyśniło”



Lekarze drzew

W „Kozim Borze” na polanie,
w wielkim dębie
w wielkiej dziupli
rozpoczęło się zebranie.

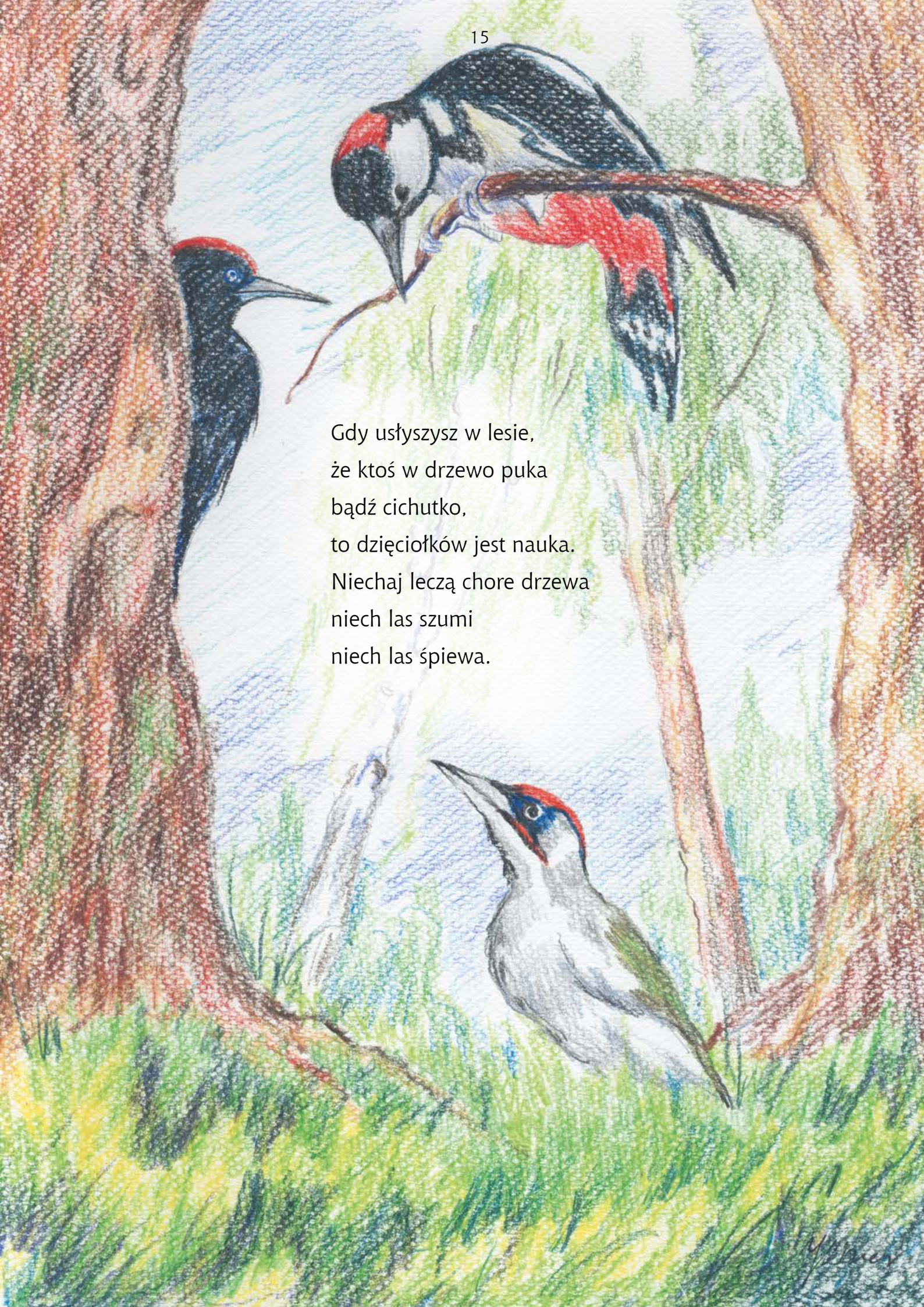
Wszystkie zleciały się dzięcioły
uradziły założenie „leśnej szkoły”,
by nauczać swoje dzieci
medycyny, co oświeci:
W jaki sposób leczyć drzewa,

po czym poznać,
że korniki owo drzewo miewa.
Jak zaglądać drzewu w korę,
opukiwać, gdy jest chore.
Powybierać z pnia robaki,
bo korniki to przysmaki.

Dzieci rwą się do nauki
dookoła stuki-puki...

I radośnie drzewa zaszumiały,
że dzięciołki leczyć już umiały.





Gdy usłyszysz w lesie,
że ktoś w drzewo puka
bądź cichutko,
to dzięciołków jest nauka.
Niechaj lecą chore drzewa
niech las szumi
niech las śpiewa.

Zielareczka

W wielkim lesie,
tuż przy sośnie
dąb olbrzymi sobie rośnie.
Olbrzym wielkie ma konary
bo jest duży, bardzo stary.
Pień grubaśny, wielki taki,
dookoła rosą krzaki.
Między krzakami ścieżka
wydeptana –
ścieżką zewsząd idą
zwierzątka już od rana.
Stają skromnie do kolejki
pod ten dąb ogromny, wielki.



W owym dębie
w wypróchniałej wielkiej dziurze
jest mieszkanko – nie za duże:
W nim korzonki i napary, maści,
wszelkie zioła,
których zliczyć nikt nie zdoła.

Tutaj zielareczka mądra, mała
co od przodków
leczenie ziołami poznała,
pracowicie krząta się od rana.
W całym lesie,
i na polach z tego znana.

Bo zwierzątko, gdy choruje
bardzo cierpi, źle się czuje.
Zielareczka bada
daje rady, maści, zioła
i „następny proszę!” – woła.
„Panie dziku, niech pan siada,
co dolega opowiada.”

Na to dzik: „Chrum, chrum moje
warchlaki,
każdy chudy marny taki!
Powiem pani, idzie zima
taki biedny warchlak
zimy nie przetrzyma!
W tym mój wielki jest frasunek.
Chrum, chrum, chrum
przyszedłem do pani po ratunek”
„Panie dziku na to moja rada:
niech każdy warchlak jada
żołędzie, pędraki,
korzonki co ryjkiem wryje,
niech pan się już nie martwi
na pewno do zimy każdy przytyje.
Przypilnować trzeba tylko,
by dobrze jadały:
wtedy zniknie kłopot cały.”
„Chrum, chrum, chrum
bardzo pani dziękuję!!!
Pędzę w ostoję
dopilnuję dzieci moje!”

I tak co dzień, już od rana
Zielareczka zabiegana.
Pacjentów przyjmuje:
zioła, maści przypisuje
by zwierzątka zdrowe były,
w polu, lesie się bawiły.
„Zielareczka to skarb
nie byle jaki!!!”
Ćwierkają o tym wszystkie ptaki.



Marek

W Kozim Borze

Dnia pewnego, w piękne lato
mały Tomek poszedł z tatą
polną drogą (po obiedzie),
droga do „Koziego boru” wiedzie.
Tam olbrzymie drzewa rosną:
dęby, brzozy, przetykane smukłą sosną.
Tomek z tatą będą odkrywać tajemnice
w starym borze ukryte.
Te maleńkie i te duże...



Y. Wae

Ot, na przykład: obok sosny
kopiec z igieł jest wyrosły,
przez mróweczki zbudowany,
a w nim okna, piękne ściany.

Jest pałacyk, w nim na tronie
siedzi królowa w złotej koronie,
przy niej orszak mrówczych dam,
pięknie postrojony.



A książęta, co przybyli,
hen z daleka do jej bram,
ślą królowej swe pokłony...
Jedzą ciastka z poziomkami,
popijając rosę pucharkami.

Potem królowa zebranie zwołuje
i ogłasza: „Prezent wam dziś
ofiaruję:
drogie mrówki, mój narodzi
odpoczywaj sobie w chłodzie,
teraz, w upał nie pracujcie
i czapczek nie zdejmujcie.
Żeby główki nie bolały,
żeby naród był zdrowy cały.
Pracujcie tak od wiosny,
dziś ogłaszam czas radosny:
mrówka niechaj się raduje,
wszelkiej pracy zakazuje!!!”
Wszystkie mrówki zakrzyczyły,
z tej radości zaklaskały,
i rozbiegły się po całym lesie.
Każda mrówka parasol
z listka niesie
tak biegają ścieżynkami.
Nie wierzycie?
W lesie przyjrzyjcie się im sami.



J. W. W.

Stonoga u Szewczyka

Rzecz ta całkiem niedawno się
miała:
do szewca w mieście Stonoga
się wybrała.
Jesień późna już, bo zimno idzie
a zima tuż, tuż.
Stonoga tak na wstępie rzekła:
„Panie szewczyku
w zimie ciepło tylko wtedy,
gdy nóżka każda jest w trzewiku.

Więc przyszedł do pana
już z samego rana.
Trzewiki mam zniszczone całe,
oprócz tego są za małe.
Proszę drogiego pana,
jestem bardzo zatroskana.
Niech pan z wszystkich stópek miary
zbierze
do roboty się zabierze.
Tak szybciotko! Od tej pory!
Zaraz powiem jakie wzory!”



I tak gdera, i tak gada
 chodzi w koło, czasem siada.
 „A! I mają być ze skóry
 proszę bardzo – płacę z góry.
 Tylko szybko, bardzo proszę!
 Bo opóźnień ja nie znoszę!!!
 Idzie bowiem sroga zima,
 w zimie mróz nieznośny trzyma,
 szczypie mocno w gołe nogi,
 ciągnie zimnem od podłogi...”

I tak modzi, rozgderana
 „Jutro przyjdę, proszę pana
 jutro, już z samego rana.”
 Szewczyk słucha, słucha, słucha,
 cierpliwości resztki traci:
 „Niech stonoga mi nie płaci,
 niech nie rządzi tu i gdera,
 niech do wyjścia się już zbiera.
 Żeby było zimną ciepło w nogi
 latem zapraszam w moje progi.



O zimie myśli się już latem –
powiem jeszcze pani zatem
jest takie przysłowie
i każdy rozsądny to pani powie:
„Kto późno przychodzi
sam sobie szkodzi.”

Stonoga czując ujmę na honorze
od tej pory zimą nie chodzi
po dworze.

„O wiośnie” – mówi – „pomarzę
resztę czasu przedrzemię gdzieś
w ciepłej szparze”.



Kto pomaga leśniczemu

To nie żadne czary-mary:
Opowiadał mi mój dziadzio stary
stary, staruteńki, siwy
bardzo mądry i uczciwy,
który chodził o laseczce,
zwykle siadał na ławeczce,
a ja przy nim też siadałem
opowieści wysłuchiwałem.

Opowiadał o zielonym lesie,
kto w nim mieszka,

czyje trele wiatr od lasu niesie,
o tym, że rosną poziomki, jagody,
że las stary jest i młody,
że w nim rosną dęby i leszczyna.
jaka tego jest przyczyna,
że każdej nowej wiosny,
wrastają nowe drzewka
leszczyny, dęby i sosny?
I tu mądry dziadzio
zagadkę rozwiązuje,
i opowieść dalej snuje:



„W starym drzewie dziuplę
rodzina wiewióreczek zamieszkuje.
W tej rodzinie jest tata i mama
i gromadka dzieci rozbiegana.
Wiewiórcze dzieci wesołe
z gałązki na gałązkę skaczą,
kitką gdzieś czasem zahaczają.

Orzeszki, żołądźcie i szyszki
do dziupli na zimę zbierają.
Bo zima znana ze śniegu i chłodu,
pełna musi być spiżarnia by nie
było głodu.
Czasem szyszkę, żołądźcia, orzeszka
zgubi gdzieś wiewióreczka.



Zguba się schowa w jagody,
jesienią liśćmi, jak pierzyną
przykryje
prześpi zimę, wiosną deszczykiem
zbudzi i obmyje.
Tak się wiosną w lesie dzieje
każdy orzech, ziarenko i roślinka
gdy słońce ciepłutkie ogrzeje
listkami zielenią się lasy i knieje.

I wyrastają z nasion, leszczyny,
dęby, sosny
w ten czas przepięknej wiosny.
Gdy zobaczysz wiewióreczkę
jak orzeszki, szyszki, żołądźcie niesie
to już wiesz, kto leśniczemu pomaga
w lesie.”



Jak myszki polne żniwowały

Tak już zwykle w polu bywa,
kiedy dojrzeją złote kłosa
wtedy pora żniwa.
O tym nawet wiedzą
szare myszki polne,
co pod miedzą
norki swoje mają.
W żniwa bowiem ziarenka zboża,
na zimę do spizarni zbierają.

W norkach także mają kuchnie
i pokoje,
każda myszka ma łóżeczko swoje
i fotelik z miękkiej trawy,
stoją krzesła, stoły, ławy,
dywaniki z mchu utkane,
w oknach kwiaty,
taki myszek dom bogaty.



Aż tu nagle –
 zamieszanie w miedzy z rana.
 Pędzi od podwórza
 myszka zadyszana –
 „Smok czerwony! smok!” – woła
 „ooooo! tam gdzie jest stodoła!
 jedzie w pole smok olbrzymi
 warczy, sapie, dymi,
 jedzie wolno tam,
 gdzie złota niwa
 żniwa! żniwa!”

Myszki wesoło pędzą w nory,
 uprzątają spiżarnie i komory,
 szykują koszyki
 na tegoroczne zbiory.
 A tymczasem smok wielki, czerwony
 kosi zboże roztrzęsiony,
 pcha wszystko do olbrzymiego
 brzucha,
 z tyłu słomę wyrzuca,
 kurzem i plewami bucha,
 kosi w jedną, kosi w drugą stronę.



I tak sapie i pożera
 póki pole nieskoszone.
 Gdy brzuszysko pełne ziarna,
 takie duże,
 jedzie wtedy na podwórze.
 Gdy łan zboża jest już wykoszony
 z koszykami biegną,
 myszki z każdej strony.
 Każda zbiera do koszyka,
 z nim prędziutko do swojej
 norki zmyka
 i uwija się tak w pocie czoła.
 Żadna myszka nie próżnuje,
 znosi ziarno ile zdoła

pośpiech to nie byle jaki
 pełne muszą być spiżarnie i komory,
 nim się zlecą wszystkie ptaki.
 Ptaki głodomory, co obsiądą
 gwarnie rżysko
 i wydziobią do cna wszystko.

„Uff!” – westchnęły myszki
 zadyszane
 „Zakończone nasze żniwowanie!”
 a że ziarenka pysznie smakują,
 niechaj i ptaki spróbują.
 Bo ziarenek się nie marnuje –
 taka zasada w polu panuje.





WIERSZE

RENATA SAŁĘGA



Nie można cudzych też
pić jak dobrego szampana,
nie można składać obietnic
wiedząc, że będzie złamana.

Nie można bawić się życiem
osoby co przeszła już wiele,
nie można mówić nieszczerze,
że jest się jej przyjacielem.

Nie można i nigdy nie wolno
odrzucać drugiego człowieka
bo przecież nigdy nie wiadomo
co w życiu na nas czeka.

07.09.2018

Uśmiechają się Anioły
poprzez chmury,
kiedy ręce wyciągamy
do góry,
rozciągają swoje skrzydła
nad nami,
byśmy czuli się bezpieczni,
kochani
i zbierają nasze łzy
i zranienia
pomagają spełnić
nasze marzenia.

28.09.2018 r.

Wigilia

Puste miejsce, Opłatek
w bombce się odbija,
zasiadła do stołu
cała już rodzina.

Na choince lampki
rozbłyły z nadzieją,
że w noc wigilijną
ludzie się odmienią

I zamiast w stajence
co zimna i licha,
człowiek w sercu, Jezusa
na świecie powita.

Bo ludzkie serce
to Jego mieszkanie,
niech tam się narodzi
i tam pozostanie!

27.11.2018 r.

Ja jestem małym
okruszkiem,
co chciałby być
kromką chleba,
bez której człowiek
głodny,
bez której żyć
się nie da.

Okruszkem co
taki maleńki,
to zrobił wszystko
co trzeba,
by innym ludziom
pomóc,
w ich trudnej drodze
do nieba!

18.01.2019 r.

Zaraz wrócę do siebie
wyszłam tylko na chwilę,
żeby w ciszy popłakać
tylko tyle, aż tyle...

Nie zostanę tam długo,
czasu mało, niewiele
przecież smutek nie może
zostać mym przyjacielem.

Wrócę szybko, silniejsza
do uśmiechu, do słońca
aby dzielić się dobrem
bezustannie, bez końca!

07.03.2019 r.

Nie jest tajemnicą,
że czasami
musimy zostać sami
ze swoimi myślami.

Musimy zamknąć oczy
i otworzyć serce,
by to co złe i smutne
odeszło czym prędzej.

Nie wstydźmy się tego,
że jesteśmy wrażliwi,
że dla innych chcemy
być dobrzy i mili.

Bo w życiu wygrywa
nie ten co bez duszy
lecz ten co serca
innych obudzi, poruszy.

24.03.2019 r.

Czasami z lekkością przez życie idę
jakbym frunęła, płynęła,
czasem kiedy jest burza
zapominam swojego imienia.

Wichura na ziemię powala
łzy po policzkach spływają,
lecz nikt tego nie widzi
bo z deszczem się mieszają.

Zapominam, że jestem silna,
że mogę uciszyć burzę,
tylko z wielką wiarą
z kolan podnieść się muszę.

11.04.2019 r.

Siedzi Jezus Frasobliwy
przy drodze,
głowę podparł dłonią,
myśli o tym dlaczego
ludzie gdzieś wciąż gonią?
I spokojnie bez pośpiechu
modli się nad nimi,
by wszystko czego szukają
w Bogu-Ojcu odkryli.
Gdy przechodzisz obok
Niego przystań
na chwil, parę
i zastanów się nad życiem
zanim pójdziesz dalej.

28.04.2019 r.

A gdyby tak każdego dnia
uśmiechać się do ludzi,
codziennie rano z Bogiem wstać
z wdzięcznością się obudzić.

A gdyby tak z wielką szczerością
rozdawać dobre słowa
i zapominać to co złe
wybaczać wciąż od nowa.

A gdyby tak dzielić się tym
co mamy najcenniejsze
czy wtedy życie ludzi wokół
Nie byłoby piękniejsze ?

03.07.2019 r.

Przejrzałam się w starym lustrze
pokazało moją duszę
to co dobre jest i piękne
a co zmienić muszę.

Pokazało moje serce
kochające i szczerze,
które by być szczęśliwe
potrzebuje niewiele.

Pokazało moje oczy
raz wesołe, raz ze łzami,
wtedy, kiedy życie boli
i ktoś bardzo zrani.

Pokazało moje piękno
kiedy dzielę się dobrocią
kiedy moje podarunki
szczerością się złocą.

Pokazało mi też Ciebie
jesteś obok przecież zawsze
rano gdy się obudzę
i wieczór nim zasnę!

Dla Marcina
05.07.2019 r.

Panie Jezu, jak Ci mam
dziękować ?
przecież takie małe są
moje słowa.

Myśli nie oddadzą co
przepętnia serce,
pełne są wdzięczności i
głowa i ręce

Nim usta otworzę Ty
wszystko zrozumiesz
to co chcę powiedzieć
wcześnie poznać umiesz.

Wiem, że Ci nie trzeba
słów miłych dla ucha,
ale serca i duszy co
Cię wiernie słucha!

26.10.2019 r.

Powtórnie się Jezu
narodzisz,
w tym samym co
zawsze miejscu,
a ja się będę radować
choć smutek gości
w mym sercu.

Puste krzesło przy
stole
i puste miejsce w mej
duszy
wypełniać będzie tęsknota
za kimś, kto nigdy
nie wróci.

Lecz wierzę, że będzie
On z nami
nucić świąteczne
kolędy,
a wieczór wigilijny
będzie rodzinny i piękny!

18.11.2019 r.



WIERSZE WYBRANE

LUCYNA WRZEŚNIAK



Ojczyzna

Polsko! Ojczyzno! – gdy mówię te słowa,
W sercu mnie kłuje, coś tak mocno boli.
Dla Ciebie jestem wszędzie pójsć gotowa,
Na krańce świata, nie lękam się doli.

Życie jest piękne, lecz cóż ono znaczy,
Gdy przyjdzie stracić wolną swą Ojczyznę.
Żyć tak w nieszczęściu i strasznej rozpacz,
Patrzeć z goryczą na każdą jej bliznę.

O, kraju święty! Wszystko dla nas chowasz.
Za twe bogactwa czymże ci zapłacić?
Każdego człowieka Ty wyżywić zdołasz.
Wszystko uczynię, by Cię nie utracić!

Dziś, kiedy jesteś wolna i szczęśliwa,
Pragnę pracować i dla Ciebie służyć.
Będę wciąż działać, nie będę leniwa,
By chwilę szczęścia hen w przyszłość wydłużyć.

Przyjaciel

Jakże jest ciężko żyć bez przyjaciela ,
Wiernego druha, co twą myśl podziela.
Każde strapienie, każda boleść serca
Jest wtedy groźna, Twą duszę uśmierca.

A gdy masz kogoś, przed kim możesz szczerze,
Powiedzieć wszystko, choćby na papierze,
Otworzyć głębię serca zbolełego,
Lub czuć przy sobie człowieka bliskiego,
To wtedy lżej jest cierpieć i łzy ronić,
Bo masz świadomość, że ma Cię kto obronić,
Że Ci współczuje, że Ci dobrze życzy,
Jest wtedy różniej, mniej w sercu gorczy.



WIERSZE

ZBIGNIEW KOZAK



W kurniku

Pewna kura przemądrzała
na najwyższej siadła grzędzie
ogłosiła samochwałę
że nie kogut
tylko ona teraz rządzić będzie!
noc minęła
pora świtu już nastąpiła
zamiast budzić pianiem
ko-ko-ko zagdakała
taki morał oto się wyłania
kto do ko-ko-ko
niechaj nie rwie się do piania.

Leniwy gospodarz

Pewien gospodarz
na lenistwo zachorował
wiosną pole ziarnem posiał
lecz z lenistwa nie zbronował
kiedy ptaki to dojrzały
dookoła rozćwierkały
całym stadem się rozsiadły
wszystkie ziarna skrzętnie zjadły
puste pola
puste żniwa
jak to zwykle
przy lenistwie bywa
teraz z żalem biedak
po głowie się skrobie
z czego mąki
na zimę narobię?
nie pracował tak jak trzeba
nie ma mąki
nie ma chleba.

Gniazdo

przy jabłoni
na sztachecie
usiadł wróbel
i świergocze i coś plecie
słońce ciepłe bo majowe
wiosny żarem
pali głowę
czerwonego kwiatu kiście
przyzdobiły bzom
zielone liście
i czereśnia
cała w bieli
tysiącami płatków
u stóp ścieli
pies leniwy
w trawie
uciął drzemkę
po zabawie
obok huśka-kołysanka
w cieniu ustawiona
chętnie weźmie
w swe ramiona
rozkołysze
zawiruje
rozweseli
oczaruje
w samym sercu

dom poczciwy

żona dzieci

ciepłym bucha

i miłości żarem świeci

oto gniazdo ukochane

wymarzone

kwieciami wiosny

otoczone

Byt

kroplą żywicy
skaleczonej sosny
kroplą potu
w skwarze lata
łzą radosną
w dzień szczęśliwy
płynę bruzdą kory
w świata toń
małą chwilą tylko
cichym pluskiem
otworzyłem gładkość rzeki
rzeki w którą zesał Bóg
zanurzam się odwiecznym prawem
tam gdzieś
przeznaczenia mego kres
kres-początek przemienienia
tysiącleci czas
jak mam żyć?
aby potem
złotą kroplą
fala wyrzuciła mnie na brzeg
ukazując
serca mego blask

Łokruszek nadziei

na ławce zmursony
koło płota
co nie je jus zykły
copa śniegu
słũaca ciepłom tchnioniom
spływo
starusek drepce na drogo
spoglundo
niedługo przylgnie
swoją zwyczajom
do ławki łulubiuny
wiosna jus idzie
łusiundzie posłucho ptoków
zacyrpnie ciepła w siebie
może ktoś przysiidzie
pogodo powspumino
rozglundo sio w łobie struny
pusto jakoś tera wieś
somochody traktory aby
wściekle w tu i we wtu
zawrucił do chałupy
machnun tylko rąku
a niech tom!
łuciecha i zal zmiąsały sio
aby jesce
ton łokruszek nadziei trzymo

Zima przyszła

wiekszysko przyguniło bure chmury

ciężkie

łopuściły się s góry

szdurawiune jak durłoki

białom puchom

łozdobiły fszystkie kszoki

fszystkie miedze dumy drogi

za nos scypie mrozisko srogi

w ronce kłuju tys kwicoły

zakszepionte fszystkie doły

styrty śniegu nakurzone

skszypiu drzewa roześpiune

ptoki w gniazdach pochowane

fszystko jakoś rozespone

burek s budy nie wychynie

dziatki siedzu pszy kuminie

zupa w gorku się gotuje

kobita jedzone sykuje

za łoknom bałwon w zomieci

w łoknie siedzu roześmiune dzieci

wiecór fceśnie zapado

każdy do kolacji siado

potom pcho się pot pierzyno

byle pszetrfać ciężku zimo

Kawołek nieba

ziomio łukochać trzeba
całom sercom
jak swój kawołek nieba
bardzi niż łobolałe ronce
składone do pocirza
w prosoniu i podzionce
ziomia potu i kochonia potrzebuje
z całej siły
za kochonie takie pięknie podziąkuje
jak człowiek nie lubi bezcynnego trwonią
łuna ceko
mundrego gospodarowonia
wróblom wesołom witoj nowy ronek
łuktuń sio do słuńca
jak wyjdzie na gonek
bo z kochonia wszystko sio rodzi
a ziomia łojców
łod pona boga pochodzi

Przyszła wiosna

Widziałem dzisiaj wiosnę z rana,
szła polami roześmiana.
Kwiaty, kępy trawy niosła w ręku.
Ileż w niej radości, nadziei i wdzięku.
Wszystkie ptaki pobudziła,
ziemię troszkę pokropiła,
rozsunęła chmur zasłony,
obudziła słońce by grzało zagony.
Ziemię całą obudziła,
w niej kwiaty, trawy, posadziła.
Jabłonie kwieciami obsypała,
chłopom w polu siał kazowała.
Wszystkie chaty pobieliała,
w każdej cząstkę nadziei zostawiła.
Wzięła wszystko w ciepłe dłonie
niech życie kipi, bui się i płonie.
Błonie w ten czas nowy,
wiosennej nadziei i odnowy.
I serce mocniej bije
bo wiosną radośniej się żyje.

W mojej wsi

na moich ścieżkach
dawno deptanych stopami
przechadzam się pamięcią

miejsca dawno zarosłe trawą

z rzadka dzikim kwiatem
a czasem ostem lub pokrzywą

odnajduję ludzi
których nie ma
kolegom czas posrebrza włosy
czyjeś beztroskie dzieci
jak ja przed laty
obraz podwórka
utrwalonego w pamięci
z lat dziecięcych
stodoła pod strzechą

komora na zboże
gliniane klepisko
plot pleciony z gałęzi
i łóżko z pachnącą słomą

choć ścieżki dawno zarosłe
wciąż żywe w mojej pamięci

10.12.2003 r.

Z dzieciństwa

wieś szczodra
wieś łaskawa
jak matka czuła
jak ojciec czasem surowa
kocham tę wieś
co od dziecięcia
w ramiona
mnie swoje wzięła

kołysała
ptaków śpiewem
szumem sadów
brzęczeniem pszczół
co w nich miód zbierały
budziła pianiem koguta
o świcie
świergotem gwarych wróbli
w jaśminach

uczyła piękna
urokiem piwonii rozkwitłych
pąsowych
w przydomowych rozetach ogródka

karmiła czym mogła
najsmaczniejszym
bo wszystko na mojej wsi
pyszne było
szczypiorek w ogrodzie wiosną
truskawki
co owoc kryły w liściach
wiśnie szklanki
purpurowe słońcem na wierzchołkach
złote słoneczniki Van Gogha
i dynie pękate
co brzuchami rozpychały się
w rządках buraków
orzech włoski
przy ganku
jesienią sypał owoce
wprost pod nogi
tylko się schylić
wyliczyć pyszności nie sposób

wioska moja
skrzypiała pustą wierzbą
wieczorem na zakręcie
by nie włóczyć się nocą
straszyła
opowieściami snutymi
długimi wieczorami
o strachach duchach czarach

uczyła tradycji
barwnymi pasiakami
tkanymi na warsztacie
w zimowe wieczory
odświętnym pająkiem u sufitu
ze słomy i bibuły

ciężką pracą
uczyła szacunku
uderzeniem pioruna
niesionym echem po wsi
budziła trwogę
wszak dachy słomiane
sroga zima
uczyła pokory

dziękuję ci wiosko moja
wiosko kochana
wiosko miniona
czasem zapomniana

06.01.2005r.

Grusze na miedzy

dzikie grusze
na miedzy
przy polnej drodze
jak wspomnienie
o upalnych żniwach
i cień co chronił
w skwarne południe
i gniazda ptaków
pośród listowia
co dom swój miały
po nich poznać
na czyjej miedzy
i jesienią
gdy pasłem krowy
złotawo czerwone
obsypane ulęgałkami
w trawie
gdy głodny - syciły słodyczą
szanujmy je jak wspomnienia
bo coraz ich mniej

14.09.2003r.

Samotna sosna

samotna sosna
w polu stoi
natura tak chciała

samotna jak latarnia
co drogę do portu wskazuje
pośród raf i morza zieleni
przystanią dla ptaków
wytchnieniem w podróży
matką piskląt wyklutych
gniazdem - domem
samotnie bez siostr sosen
bez braci grabów dębów
śpiewa pieśń tęsknoty
strunami wiatru
czasem dobywa dźwięki

placze kroplami bursztynu
jeszcze nie zastygłego
że tak samotna
z nich może kiedyś
młode dziewczę
będzie nosić korale
złote krople słońca
na szczęście

05.03.2004r.

Stonecznik

w ogródku
tuż przy płocie
z pochylonym kapeluszem
stonecznik ociężały
tłustymi ziarnkami
opuściwszy liście bezradnie
duma
na nich wróbel
ziarnka skubie
prosi na ziemię

gdy wiosna
słońcem ogrzeje
ziarnko budzi się ze snu
listkami pierwszymi
wita słońce chatę kwiaty
kąpie się w rosie
skrzące perły
spływają na ziemię
i rośnie
rośnie słońcem deszczem
korzenie jak włosy
przeplatane w ziemi
pięknieje rozkwita
złoci się pysznie
a pszczoły oprószone pyłkiem
zbierając miód
pylą zarodniki ziarnem
i tak spełnia się

letni wiatr
porywa żółte płatki
jak żagle niesie
a kapelusz cięższy coraz
dojrzewa
ociężałe pochyla się
rozkładając bezradnie liście
wróbel ziarnka skubie
prosi je na ziemię...

02.02.2005r.

Pasieka

Mój dziadek miał pszczoły
pszczoły miały dziadka.

Nie ma dziadka,
odeszły pszczoły.

Zostały puste ule
teraz ojciec je remontuje
pewnie będzie miał pszczoły.

09.04.2003 r.

Pod Kozim Borem

za warszawską szosą
pod Kozim Borem
na porośłych badylem
poszarzałych rżyskach
pól chrząchowskich
podzielonych z rzadka
zagonem kartofli
popołudniami
późnego lata
z kolegami
popasaliśmy krowy
słońce ciepłe przygrzewało
fajnie było
jak to w dzieciństwie
harce zabawy
liczenie samochodów
na szosie
i ognisko wspaniałe
a w nim
pod żarem w popiele
kartofle
ugrzebane za miedzą
i dym strzelający w górę
na pogodę

na brzegu lasu
zbierane grzyby
piekliśmy na ognisku
wspaniałe smakowały
las tajemniczy
nieprzenikniony
strach w nim zbłądzić
korony drzew
coś szeptały ze sobą
ptak zaśpiewał
pieśń pochwalną lata
piękną pieśń
inny odśpiewał
a czas leniwie płynął
słońce powoli
zsuwało się z zenitu
coraz bliżej ziemi
las ciemniał
gdy słońce na horyzoncie
stawał się głuchy
straszny jakiś

ognisko wygasto
żarzy się węgielkami tylko
dawno zjedzone kartofle
i buzie czarne usmolone
tenisówki mokre od rosy
chłodno jakoś

spoglądam w stronę wsi
mojej wsi
co przycupnęła w dolince
czas do domu
powoli krowy suną
ociężałe
nażarte
kolebią się im boki
już dom widać

już blisko

05.01.2005 r.

Moje wspomnienie

na pastwisku
w cieniu pod gruszą
w letnie popołudnie
dwóch pastuszków
jeden kozikiem
drewno struga
drugi na fujarce
zamknąwszy oczy
zaklina w melodię
ptasie trele
szum wiatru w konarach
brzęk pszczoły
co miód zbierała
na kwiatkach rumianku

nieopodal krowy
jęzorami
zagarniają trawy zioła
ogonami od much
objijając boki
łany zbóż złote
kłaniają się w oddali
w nich stado kurcząt
prowadzi kuropatwa
gdzieś bażant - kogut zapieje
czajka krzyknie
podrywając się do lotu
zając płochliwy śpi w jamie
z otwartymi oczami

tam dalej w dolinie
wieś przycupnięta
odzywa się psów szczekaniem
skrzypieniem żurawia
gdy gospodarz wodę zaczerpnie
słońce niżej i niżej
czerwienieje nad horyzontem
na pogodę
rosa łzami obmywa trawy
wozy ciągną z pól
do domostw

wieczór się zbliża
czas krowy zaganiać
jeść kolację
posiedzieć wieczorem
na ławce
pod chałupą

żaby rechoczą
w odległym stawie
gwiazdy mrugają
księżyc srebrzy się nad sadem
noc ciepła piękna
pora na pacierz
leżąc przy otwartym oknie
myślę sobie
to był dobry dzień
uśmiecham się

zasypiam
by rano...
razem ze słońcem

19.09.2004 r.

Jesień

spodziewana
z wolna nadchodzi
słońce jeszcze
niby tak samo, ale
sweter się przydaje
i dni deszczowych przybywa
coraz krótszych
zielono - rdzawe łąki miedze
szaro już na polach
miejscami tylko
szczypiorek ozimego żyta
puste kartofliska
na nich nagie kamienie
gdzie niegdzie rozrzucone
parę krów wgryza się
w postarzałą trawę

ludzie bliżej domostw
czasem traktor zawarczy
zając kopie jamę
pod miedzą
zakładając grubsze futro
robi się pusto smutno
jedynie las pięknie puszy się
paletą ciemnych brązów
czerwieni żółci
szczyli się barwami
nim spadną ostatnie liście
wiatr zagra w konarach
a potem już tylko
biała mroźna pierzyna

06.10.2003 r.

Zimowe wspomnienie

mój dom rodzinny
z bali sosnowych
pobielony wapnem w pasy
z sienią
drabiną na tajemniczy strych
w kuchni
piec kaflowy
ogień w nim bucha
na fajerkach
w saganku bulgocą kartofle
ciepło przytulnie gwarnie
ja jeszcze pod pierzyną
okna pomalowane mrozem
powoli odmarzają

babcia gotuje śniadanie
kartofle ze skwarkami
czubato w misce dymią
barszcz czerwony w drugiej
dziadek pod piecem pali skręta
Ojciec poi konia
zadaje obroku
Matka krowy wydoiła
cedzi mleko do bańki
pora wstawać

Ojczy Nasz poranne
śniadanie
łyżkami z jednej miski
dookoła stołu
ciasno
dzieci kilkoro
pora na większy stół
roboty dla dziadka i Ojca
oni wszystko umieją wystrugać

Matka w wolnych chwilach
klepie warsztatem tkackim
pasiaki
babcia drze pierze kacze
na pierzyny poduchy
nos zaczerwieniony
od puchu co drażni

po obiedzie
wpada wujenka
kołowrotek furczy
wije się nić z kądzieli
jak bajdy
by nie było nudno
my dzieci
wycinamy lalki z gazet
rozklejamy na mokrych szybach

śnieg za oknem
mróz szczypie
powoli zmierzch zapada
wspólna kolacja
cichnie gwar w domu
jeszcze pacierz przed snem
by się nie śniły zmory
przyjemnie słoma w łóżku
trzeszczy
czubata pierzyna grzeje
tylko nosy wystają

i tak minął jeszcze jeden
zimowy dzień

byle do wiosny
a wtedy...

31.01.2004r.

Przedwigilijny wieczór

przedwigilijny wieczór
w rodzinnym domu
rozmowy
przy zwykłej codziennej pracy
przy niezwykłych
przygotowaniach do jutrzejszej
najważniejszej wigilii
z pachnącą lasem choinką
siankiem pod obrusem
i garścią zboża
Opłatkami w dłoniach
otwartych sercach
pojednaniem

śledź z kartoflem
i kluski z makiem
barszcz czerwony z uszkami
racuchy na oleju
kapusta z grochem i grzybami
kolędy śpiewane
całą rodziną
pasterka

przedwigilijny wieczór
przedwigilijne życzenia
do zobaczenia
wieczorny przystanek
spojrzenie w gwiazdy
nad moją wsią
jutro wigilia
w moim domu
z moją ukochaną
z rodziną

z opłatkami w dłoniach
z otwartymi sercami

23.12.2003 r.

Rozmodlona wieś

gdzie jest ta wieś
gdzie ta wieś
rozmodlona
pieśnią majową
wieczorami
pod figurą
strojną
w polne kwiaty
śpiew pieśni Maryjnych
niósł się po łąkach
po sadach

gdzie jest ta wieś
rozmodlona pracą
skrzypiąca żurawiem
o świcie
gdzie te sady
pełne brzęku pszczół
co bielily ziemię
kwiatem
gdzie te miedze
chwiejne z obu stron
rozkryczane pretensjami
zaborczych gospodarzy
podwórka rozgdakane kurami
one lubią się przechwalać
zniesionym jajem
rozwrzeszczane
dzieciarnią radosną
i spokojne
spokojem starców
na ławce pod chałupą

w tym wszystkim gdzieś ja
krok po kroku
przez życie
i teraz, gdy wspomnę
to żal
tamtej wsi

17.04.2005 r.

Stare nadwiślańskie kościoły

w starych nadwiślańskich kościołach
jest coś takiego
że wchodząc do środka
staję się inny
skromnie przestępuję próg
całuję Chrystusa obolałe nogi
żegnam się wodą święconą
uklękam
modłę i zapominam
chłonę wzrokiem ołtarz
Chrystusa na krzyżu
tabernakulum
wieczny ogień Ducha Świętego
poszarzałe obrazy
figurki świętych
świeczniki u sufitu
stare ławy dla wiernych
tak wielu w nich siadało
praprzodków
mała ambona
jak gniazdo jaskółek
przyklejona do ściany
z drewnianymi schodkami
nad nią
Oko Stwórcy
lub gołębek bez żółci
konfesjonał, przy którym
czasem trudno uklęknąć

w tych kościołach
poszarzałych czasem
pełnych modlitwy skupienia i skruchy
jest coś takiego
że staję się
malutkim ziarnkiem ludzkości
i czuję się szczęśliwy
tu odnajduję Boga i sens
staję się silny wiarą
by wyjść na zewnątrz
i żyć z radością

09.07.2004 r.

Odpust

Letni słoneczny poranek
koń w obłach stoi
wyczyszczony zgrzebłem
gotowy do drogi.

Fura wymoszczona sianem
przyrzuciona pstrym gałganiarzem
utkanym w zimowe wieczory.
Ojciec z lejcami w garści
Matka obok
nawołuje gromadkę radosnych dzieci
by grzecznie siedziały.

Fura rusza
przejechawszy wieś
skręca na kamienną drogę
żelazne koła turkocą
koń parska
mija gromadki panien i kawalerów
gdzie kobiety z dziećmi przystaje.

Już rzeczka blisko, coraz bliżej
widać kobiety u brzegu
obmywając bosc nogi
zakładają niesione odświętne sandały
dzwon kościelny donośnym głosem
wzywa na modlitwę.

Opustoszała fura
w cieniu pod drzewem
jeszcze ojciec się krząta
podrzucając koniowi wiązkę siana.

Przyjemny chłód w kościele
Ojcze Nasz i Zdrowaś Marjo
wytchnienie duszy
spokój i ukojenie.

Procesja,
baldachim,
ksiądz z Monstrancją
dziewczynki w białych sukienkach
kobierzec kwiatów sypany drobnymi rączkami

Ołtarze ozdobione gałązkami brzozy
tłum ludzi pobożny
falując obchodzi ołtarze
modlitwę kierując do nieba
dochodząc do kościoła
wdziera się w każdy zakątek
jeszcze znak krzyża na piersi
Ojcze Nasz
i Pobłogosław Panie!

Obok kościoła w bocznej uliczce
stragany się rozsiadły
dzieci pospiesznie ciągną za ręce
by szybciej
by się wcisnąć w tłum,
w kurz i zgietk.
Kramarze nawołują
czego tam nie ma
oczy dzieciarni rozbiegane
szklane koraliki, bransoletki,
złote pierścionki, trąbki, baloniki,
terkoczące kółka,
klaszczące drewniane motyle,
lalki, piłeczki na gumce, lusterka
gwiazda szeryfa, korki, korkowce, kapiszony,
lody na patyku i wata cukrowa.

Każdy w garści skarby ściska
radość w sercach,
w oczach zachwyty
jeszcze ojciec obciera pianę na wąsach
dopijając kufel piwa
wraca do fury.

Tato tato zobacz!
On uśmiecha się
spogląda na żonę i dzieci
z dumą bierze lejce w dłonie
głowę wysoko podnosi
czas wracać
koła turkoczą na kamiennej drodze.

„Skorpion” 05.01.2002 r.

Chrystus lipowy

w lipowej kapliczce
pod wiekową lipą
Chrystus lipowy stoi
ręką uniesioną błogosławi
ludzi i wszystek dobytek
błogosławi oracza pług konia
każdą skibę ziemi
jak kromkę razowego chleba
błogosławi Matkę
co z brzuchem pod nosem
i maleństwo w jej łonie
co dopiero na świat
i to, które biega obok
dziadków, co bliżej niż dalej
deszcz i pogodę
wiosnę i jesień
i myśli, co jak ptaki
w niebo szybują

20.09.2003 r.

Wiejska kapliczka

Gdzie szosa przecina
wieś mojego dzieciństwa
jak na rozstajach dróg
stoi kapliczka
prosta skromna jak chłopski los.

Pobielona
w niej bukiet starych
sztucznych kwiatów
i tablica Pamięci Poległym
okolona drewnianym płotkiem
na którym czasem
wetknięty krzyżyk
Tego który odszedł w inny wymiar
na szczycie kapliczki
Jezus Ukrzyżowany.

Obok niegdyś dwa młode kasztany
teraz otaczają Ją konarami
jeden potężny
ten drugi ułomny
trwają przy niej jak ludzie
gałęzie kierują w Niebiosą
jak ręce
wznoszone do Boga
dziękując za hojność natury.

Ileż razy idąc
ledwie zauważałem
tak wrosła w życie moje
naturalnie i cicho
ileż razy słyszałem
wieczorem pieśni majowe
niesione rosą tak swojskie
jak śpiewy ptaków o brzasku.

Wiejska Kapliczko
Ty witasz wszystkich
nowych mieszkańców
żegnasz tych co odchodzą
by ich powitać po latach
gdy jak syn marnotrawny...
żegnasz też tych co odchodzą
w wieczność ku światłu
zostawiając ból w sercach tych
którzy zostają.

Teraz po latach
gdy przypadkiem przystanąłem
zadziwiłem się
wróciły w pamięci moje dziecięce lata
i następne
a Ty tak samo
cicha prosta i skromna.

„Skorpion” 10.03.2003 r.

Chleb powszedni

ten prawdziwy
wiejski
z pieca chlebowego
jeszcze gorący
pachnący w całej chacie
i przed progiem
posypany makiem
znakiem krzyża przeżegnany
nim skibkę pierwszą się ugryzło
rozpływał się w ustach
wraz z mlekiem
na śniadanie
byle szybciej
bo czas gonił do pracy

czas jesiennej orki
pod siew żyta
noga za nogą
za pługiem
kolejne skiby kładą się rzędem
koń parska
pod wieczór nogi obolałe
jeszcze zbronować trzeba

i znów od świtu
płachta przewieszona przez ramię
w niej ziarno
dłoń rytmicznie zagarnia
i z rozmachem puszcza je
w matkę ziemię
by kiełkowało i rośło
jak nadzieja
na przyszłoroczny plon

znów zbronuje
stanie popatrzy
po gospodarstwu
z miłością do roli
wyuczoną od ojca

zazieleni się pole jesienią
ledwo przykrywszy ziemię
nim ona stężeje
i okryje się puchem
jak pierzyną

wiosną gdy słońce
stopi resztki zimy
gdy skowronek zaśpiewa
miło jest patrzeć
jak rośnie
jak „majowa Zofija kłosy rozwija”
jak złoci się łanem
dojrzewa
kłos roztarty w dłoni
przedmuchięte ziarno
dorodne
jeszcze spróbować w ustach
przeżuć smaczne
żniwa już czas

skwar od rana
świszcze kosa zagarnia
pokos za pokosem kładzie
podebrane snopy leżą
na pofalowanym ściernisku
pot płynie z czoła
słońce w zenicie
czas odpocząć w cieniu
posilić się
słońce zelżało jakby

znów kosa w dłonie obolałe
i raz i raz
pokos za pokosem
słońce czerwone nisko nad ziemią
czas stawiać mendle
potem po rosie powoli do domu
obrzęk jak co dzień

kolacja
umęczone kości bołą
jeszcze pacierz przed snem
Panie Boże spraw by z pogodą
by sił starczyło
i dzieci zdrowe były
oczy same się zamykają
noc
tylko psy szczekają
puszczone z łańcucha

snop za snopem
mendel po mendlu
znikają w stodole
zapole wypełnia się pod strzechę

kurz gryzie w oczy
ostatnia fura z pola
już po nocy
skrzypią ligi pod ciężarem
trzeszczy zaprzęg
pod naporem konia
pięknie jest leżeć na kopiastej furze
patrzeć w gwiazdy
płynące powoli przed oczami
ten bezkres
w nim gdzieś niebo
miłość nieskończona
bezkresna Boska

powoli „od świętej Anki
zimne wieczory i ranki”
lato studzi swój oddech
chłodniej
codziennie prace przybliżają jesień
pozlęcane drzewa
prace wrą
byle skończyć przed białą puchową
szczypiącą w nos zimą

gdy ona już nadejdzie
czas wolniejszy
pora młocki
maszyna „targanka” buczy
sypiąc ziarno na klepisko
pluje słomą na drabinkę
podebrana wiązana powróstem
wędruje na stertę
młynek hurgocze
pokręcany korbą
odwiewa plewy
ziarno sypie się do ćwierci
napęlniają się worki
i serce z obfitego plonu

jeszcze wyjazd do młyna
ziarno roztarte na mąkę
będzie tegoroczny chleb
w zimowy dzień
mąka przesiana przez sito
rozczyniona rośnie
na ławie pod piecem
wymięszone ciasto wypełnia brytfanki
jeszcze posypane makiem
palcem nakreślony krzyż
i do pieca

piec przepalony rozgrzany
żar wygarnięty w fajerki
chleb pięknie wyrośnięty
gorący stygnie na desce
polany po wierzchu wodą
by skórka pięknie błyszcziała
opukany palcem bochen
by sprawdzić czy bez zakalca
jeden bochen rozkrojony
obie połówki nasolone
podpiekają się jeszcze
będą suchary
dwa bochny pożyczone sąsiadom
gdy upieką oddadzą

pięknie pachnie pysznie smakuje
chleb powszedni
jest w nim słońce
rosa pot trudu i radość
że na naszym stole
że nie zabraknie
że pyszne z mlekiem
i że warto się trudzić

09.I.2004 r.

Podkowy na szczęście

dziś próżno szukać
podkowy na szczęście
ucichł gwar chłopów
rżenie koni przy kuźni
kowal nie dzwoni
młotem w kowadło
nie wykuwa
prawdziwego szczęścia

staruszka kuźnia
jedna z ostatnich
chyli się do ziemi
cicho smutno i spokojnie
jak człowiek u kresu
swojego tu i teraz
wspomnieniami trzymając się jeszcze

kowal był młody silny
pełen zapału
usmalona twarz i ręce
podwinięte rękawy
żyły jak baty
czuć krzepę

ogień się żarzy
w kotlinie paleniska
ściany osmalone od dymu
jak w kurnej chacie
zapach grzanego metalu
snopy iskier krzesane młotem
on jak czarodziej
łączy kuje urabia
to co najtwardsze
wyrabia z metalu cudeńka
swoją siłą i mądrością przodków

żał mi że kowal już niemłody
że kuźnia staruszka
że cisza dokoła
że próżno szukać....
i wieś jakby inna

15.03.2003 r.

Garncarz z Baranowa

na podwórku
w cieniu
pod jabłonią
usiadł garncarz niezwykły
przy swoim kole
z miną radosną
skupioną

garścią odruchowo
sięgnął gliny
cisnął nią na koło
bezkształtną masę
ręce zmoczył wodą
nogami począł obracać kołem
i wtopił ręce w tę masę
ściskał garściami
kształtował
jakby na kształt walca
znów zmoczył ręce
i wcisnął weń kciuki
uciskał
podciągał w górę

zaczął ucztę duchową i przedstawienie
tak jak On tylko potrafił
a oczy jego się śmiały
i dusza się weseliła
z tej radości
rodzi się pękate
i rośnie do góry
a ręce pracują

o! teraz się zwęża
na kształt szyjki
i znów rozszerza
jak usta garncarza
w uśmiechu
w górę

i tak powstał dzbanek surowy
jeszcze wziął coś w dłonie
zakręcił kołem
tym czymś
narysował rowki
dzbanek ozdobił

znów czerpnął gliny
w dłoniach rozwałkował
na kształt klucha
pougniatał
do dzbanka przykleił
w ten sposób
ucho uformował

dzbanek odciął drutem
od koła
popatrzył uważnie
postawił obok innych
w cieniu
niech schną
bo są surowe
jeszcze wypali
a później
na jarmark zawiezie
by ludzie kupowali
i podziwiali jego cudeńka
bo On garncarz niezwykły

15.10.2004 r.

Rymarz

na pustym podwórku
pod orzechem
siedzi rymarz staruszek
nieruchomo
siedzi zamyślony
na pół przymknąwszy powieki
wspomina
swoje dzieciństwo
i gdy chłopczyną
ledwo wyrosniętym
ojciec go posłał
na nauki
do mistrza Jana - rymarza
dwie wsie od domu
tam mieszkał kątem
najpierw bawił dzieci
pał krowy ze dwa lata
podglądał wolną chwilą
wreszcie mistrz Jan
pozwolił wejść do warsztatu
przyglądając się chwil parę
i gnał do roboty
na podwórzu

tak znowu minęło lato
aż nadszedł dzień upragniony
pokazywał mistrz Jan
jak skórę wyprawić
by mocna była
jak ją wcześniej moczyć
pod mostkiem
w pobliskim rowie
jak kroić na pasy
igłą szyć
jak wymierzyć zaprzęg
by pasował
jak uszyć podkład
z płótna
i że wypchać
świńską szczecina
bo nie odparza
jak smarować skórę
by nie pękała
ze słońca i deszczu
jak wyciąć kozły
z jakiego drzewa

oj, wiele było tego
a że uczeń był pojętny
nim dorósł
wrócił do domu
ojciec w narzędzia wyposażył
a on
by pokazać co umie
zrobił zaprzęg
dla ojcowego kasztana
starał się bardzo
w podzięcie
ojciec chwalił po wsi
po sąsiadach
i tak zaczął rymarzę

dzień za dniem
pracy miał wiele
gospodarze zjeżdżali z daleka
po piękne zaprzęgi
całym sercem
oddawał się pracy
tak bardzo
że młode lata minęły
nim spostrzegł
koledzy pożenili się
on jako jeden z nielicznych
został sam

gdyby miał syna
przekazałby jemu swe nauki
siedzi tak sobie
duma
żał że nie ma żony
że nie ma syna
i rymarka niepotrzebna nikomu
bo nie ma koni
koni na wsi brak
czasem jeszcze przysiądzie
na zydłu
przy kleszczach
narzędzia obetrze z kurzu
kawalek skóry
pomiętosci w palcach niezdarnych
żał rymarza
żał

17.04.2005 r.

Pranie

wąska wstążka Kurówki
wzdłuż sąsiedniej wsi
obsiadła olszyną
i wierzbą rosochatą
wśród łąk
na pół zdziczałych
gdzie pokrzywy
i koński szczaw
przerasta trawy
na brzegu
rzucone kładki
na nich baby klęczące
kijankami tłuką
wcześniej namoczone pranie
szarym mydłem pocierając

konie w cieniu
u wozu parskają
z torbami na łbach
sieczkę żując leniwie
ojciec pod drzewem
pali skręta z machorki
i my dzieci
brodząc po płyciźnie
zbieramy połówki muszli
kolorowe kamyczki
w kryształowej wodzie
obok czasem
spłaszona ryba
błyśnie złotem
i tak dzień mija
do domu, do domu
słońce czerwone na pogodę
zachodzi za horyzont
skrzypi wóz
trzeszczą rzemienie w zaprzęgu
rzeczka odpływa
w szarą dal
poła kępa mirabelek i leszczyny
już wieś blisko
psy rozpoczęły wieczorne rozmowy
krzyż przydrożny
pierwsze podwórko
już niedaleko

14.09.2003 r.

Puławy

moje Puławy
twoje Puławy
nasze Puławy
gdym dzieckiem
furą przyjeżdżał
z matką na targ
piękne nieznanne gwarne
tętniące życiem
jakże inne
od wsi spokojnej
jedynie zielenią soczystą
podobne
w lustrze Wisły
polskich rzek królowej
przegląda się
moje miasto
obmywa senne lica
by rankiem
lśnić w słońcu

w moim mieście
pewnego dnia
spotkały się nasze dłonie
splotły
a światy nasze
to jeden świat
ścieżkami westchnień
zakręcony świat
pierwszej i jedynej
aż po kres
tylko czas nieubłaganie
niesie nas

moje Puławy
miasto mojej miłości
twoje Puławy
nasze Puławy
czy jest inne piękniejsze?

21.03.2005 r.

Pogoń

w letni dzień
o świcie
na brzegu Wisły
przysiadłem z wędką
zgubiony w oparach porannej mgły
co niosła się nad wodą
otulała przybrzeżne krzaki
unosila zapach ziół
rzedła pod naporem
pierwszych złotych promieni
witanych radośnie
ptasim świergotem

promienie złocily
toczące się leniwie wody
a ja
czesałem je wędką
kradnąc im ryby
jak złote cekiny

za plecami
moje miasto
budzi się ze snu
budzi się pałac
księcia Adama i księżnej Izabelli
zgubiony w parku
Domek Gotycki
a obok
Świątynia Sybilli
co łączy przeszłość z przyszłością
strzeżona przez lwy kamienne
w skarpie grotą
pozbierała już nietoperze
z nocnych łowów

w mieście gwar tężeje
napina swe mięśnie
do codziennej pracy
za miastem las
a dalej
Zakłady
mechanizm napędowy miasta
splata swój oddech
w warkoczyki dymu
oddech wytężonej pracy

„Pogoń”
to herb mojego miasta
rycerz w stalowej zbroi
rycerz prawy
co pędzi na koniu
ponad czasem
łącząc przeszłość z przyszłością

gdzieś w tym wszystkim
jest cząstka nas
ciebie i mnie

30.03.2005

Wspomnienie

pamiętasz kochana
letniego popołudnia czar
w parku
tuż za pałacem
usiedliśmy na skarpie
pośród drzew
u stóp mieliśmy kwiaty
poniżej
kaczki pływały na Łasze
gdy słońce
obmywało twarz w Wiśle
grota pod nami
wypuszczała nietoperze
na nocne łowy
zamazywał się widok
Świątyni Sybilli
i Domku Gotyckiego
ramiona twoje okryłem marynarką
drżałaś z chłodu
po raz pierwszy
przytuliłem do siebie
byliśmy sami
choć...?
dołem wzdłuż Łachy
szli we dwoje
ona w długiej sukni
ciągnącej się po ziemi
zdało mi się
że słyszę westchnienie
o Izabello
kochanie
a potem rozplynęli się

wziąłem cię pod rękę
położyłaś mi głowę na ramieniu
poszliśmy za Wielkim Wozem
drogą upojną rozkochanych serc
a noc była piękna.

08.03.2005 r.

Mojej Żonie

Za czułe spojrzenie
wiatr we włosach
delikatne dłonie
gorące serce
za wilgotne wargi w pocałunku
szybszy oddech
wirujący świat
jestem, kochana.

„Skorpion” 14.01.2002

Wista moja

ze szczytów wzniesień
kapie życie
sączy się szczelinami
opływa głązy
staje się strumyczkiem
tryska kaskadami radośnie
błyszczą tęczę w słońcu
wartkim strumieniem
toczy swe wody pracowicie
szlifuje kamienie
ocierając je o siebie
poi trawy drzewa kwiaty
karmi ryby
leniwie
na nizinach
przegląda się w słońcu
marszczy brwi na wietrze
jak tysiące rzek
wlewa swe wody
w morze różnorodne
w morze jednością bez granic

21.03.2004r.

Listopadowy dzień

wychodzę z domu
dworzec
stanowisko
autobus
patrzę obojętnie przez okno
zgiełk skrzyżowań
ludzie jak mrówki
tymi samymi chodnikami
znużenie
wiadukt
pola przestrzeń
wciąż rój samochodów
burzy spokój
kościół o dwu strzelistych wieżach
skręcamy

mostek na wstążce rzeczki
lekka mgła - ziewanie ziemi
przedzimowym snem
zastyga szronem na badylach
krzewach drzewach
czerwień owoców głogu
opadłego z liści
zimowa stołówka ptaków
szaro posrebrzone pola
ginące we mgle
aleja nagich posrebrzanych drzew
setek rozczapierzonych palców
które łapią wiatr
na nich przysiadają ptaki
z rzadka pożółkła brzoza
jaszczke broni się przed nagością
przystanek
czas wysiadać

lubię tu przyjeżdżać
coś mnie tu gna
łyk świeżego dawno swojskiego powietrza
jestem wśród dawnych swoich
w ogródku chłopiec grabi opadłe liście
pies bawiąc się szarpie mu nogawki
dym tłących się liści przy drodze
mijam ludzi których znam
wszystkich jednakowo szanuję
idąc wspominam
tych co już nie ma

znajome moje dawne drzewa
mój dom drewniany staruszek pobielony
wierzbę płaczącą
pożółkłymi liśćmi przy drodze
furtkę płot obok którego
czerwona kalina
pierwsze sikorki - zwiastunki
zimy na gałęziach
leniwy dym z komina
sień

otwieram drzwi
cieszę się że wszyscy zdrowi
wspomnienie dzieciństwa
chwila zadumy
prawie już wieczór
czas wracać do domu

15.11.2005

Młode lata

trudno mi było
kochać wieś moją
za młodu
ciekawość świata
rwała w dal
gdzieś za widnokreśli
lasy i horyzonty
rzucić los chłopca
porzucić rodzinne kąty

odszedłem bez żalu
w świat nowy
poznałem miasto
miłość wygody
po latach odkryłem
że brak mi swobody
przestrzeni jabłoni
co wiosną rozkwita
dojrzałych łanów pszenicy i żyta
i rosy na trawie
i zgiętego karku
obolałego od pracy
i kota przy piecu
na ławie

13.09.2003

Raz jeszcze

gdybyś mnie Panie
zapytał raz jeszcze
wybrałbym
kraj nad Wisłą
mój ukochany
Rodziców co mi dali życie
boćki poczciwe
nasze swojskie
i czas
w którym spełniło się
Rodziców pragnienie
i wioskę moją
gdzie ścieżki deptałem
opowieści obrośłe legendą
bajane wieczorami
czasem straszne
czasem wesołe

malwy pod oknem
pachnąca maciejka
o wieczornej i rannej rosie
bez kwitnący w maju
i biały jaśmin pod płotem
znaczący początek lata
zachód słońca czerwony
i świt świergotem wróbli
koguta pianiem witany

zapach siana
zboża gdy się kosi
stado kuropatw
co właśnie wyszło na drogę
gdy krowy paśłem
pianie bażanta w krzakach
i Bóg wie co jeszcze
tak różnorodnie

to nic że ciężko
i od świtu do nocy
i krzyż boli
bo gdzie bym tyle poznał
bogactwa duszy
i szczodrości Boga?

i teraz
gdy mi przyszło żyć
poza moją ukochaną wsią
choć znalazłem
Miłość jedyną
i jestem szczęśliwy
wciąż błędę myślami
po moim dzieciństwie
chory tęsknotą
jadę tam choć na godzinę
by zażyć
namiastkę wsi
choć w tabletkach
jak każdy z nas
gdy tęskni do swoich korzeni

18.06.2004r.

Dziad proszalny

drogą od wsi
po spalonej słońcem trawie
w podartych łachmanach
obszarpanych przez psy
na bosy
podpierając się kosturem
idzie dziad proszalny
jak straszdyło polne
wynędzniałe
zagubione w nowej rzeczywistości
torba zwisa pusta
nie ma już miejsca
dla niego

usiadł bezradnie
pod wierzbą rosochatą
naszą polską swojską
jedynie ona
skrzypiąca rozczochrana
pasuje już do niego
smutny dziad
nie ma komu zmówić zdrowaśki
bając o dalekim świecie
nawet dzieci
już nim nie postraszysz
wieś jakby inna
zamknięta
wyludniona
nowoczesna
tylko psy coraz sroższe
z rzadka na polu
zamiast koni
rzą traktory
nowoczesność
uboga ta wieś
co pogubiła tradycje
ojców matek
jak drzewo
któremu podcięto korzenie
usycha
i nie ma już miejsca dla dziada
co zmówi zdrowaśkę
opowie o dalekim świecie

10.03.2005r.

Wieś nowoczesna (fraszka)

Ona z gracą
samochodem
do róż
na pole
On z pługami
traktorem

samej czas się dłuży
myśli kłębią się w głowie
krzyż boli
bo nachylona
przy robocie
czas go wyprostować
odsapnąć chwilę

siada
pisze do niego esemesa
kiedy wrócisz?
On nie odpowiada
nie słyszy

za czas jakiś
stęskniony
dzwoni
kochasz?
widzisz mnie?
pomachaj ręką!

Ona widzi traktor
macha
jak ma nie widzieć
trzy morgi dalej
obok gruszy
zobaczy nawet zającą
gdy się poruszy

taka wieś nowoczesna
wieś wspaniała
nie jak kiedyś

zagrzebana zapyziała
słomą okryta
wiwat wieś nowoczesna!
wieś pracowita!

Moje powroty

wieś moja
znów trąciła strunę
zapomnianą prawie
idąc brzegiem szosy
z moją ukochaną
niosąc lata mądrości życiowej
nagle obrazek
dawno niewidziany
kwoka z gromadką kurcząt na drodze
nic wielkiego a jednak
poczułem się jak jedno
z kurcząt wiedzionych
przez dumną kwokę
na drogę wspomnień
wróciłbym w tamten czas
tylko z tobą ukochana
na płocie duże ogłoszenie
kurczęta...wylęgarnia...sprzedam
wiem że to niemożliwe
idźmy więc przed siebie
odkrywając się wciąż
na nowo

01.09.2003 r.

Tam gdzie wracać się chce

jest takie miejsce
jest w moim sercu
do którego
wracać się chce
moja mała ojczyzna
przechadzam się miedzą zieloną
pośród czerwieni i bieli
pasiaków pól różanych

jest takie miejsce
gdzie wstążka Kurówki
obrosła olszyną
prowadzi mnie przez łąki
pełne słońca
co złotem
rozlało się w morzu zieleni
w oddali łany zbóż
a nad wszystkim ptaki

jest takie miejsce
przebogaty dywan
tkany rękami ludzi i natury
do którego
wracać się chce
bo jakże inaczej

Dzika grusza

na miedzy dzika grusza
ledwie zielonymi liśćmi
przetkała gałęzie
a już kwieciem wystrzeliła
w koronie gniazda
i ptasie trele
pod gruszą
Ona w zwiewnej sukni
wianek z chabrow uplata
On na wpół leżąc
patrzy jak wiatr
jej włosy rozwiewa
na miedzy dzika grusza
dziecię w kołysce kwili
pędzi do niego matka
rzucając garść
podebranego żyta
ręką ociera pot z czoła
tuli dziecinę do piersi
karmi
a wiatr wśród gałęzi
kołysankę nuci
na miedzy dzika grusza
ubrana w porudziałe liście
w trawie cierpkie ulęgalki
obok koń parska
kolejną odwala skibę
od rana do nocy
strudzony oracz
na koniec
ciśnie ziarno
w ziemię
na miedzy dzika grusza
szare pole
opadłe liście

zając
czekając na wiosnę
pod chropawym pniem
schroni się przed zimnem
gdzieś w dali
pastuszek
na fujarce gra

Okruszek nadziei

na ławce zmurszałej
przy płocie
czapa śniegu
staruszek drepce
spogląda
niedługo przyłgnie
swoim zwyczajem
do ławki ulubionej
wiosna już idzie
usiądzie posłucha ptaków
nabierze ciepła w siebie
może ktoś się przysiądzie
pogada, powspomina
rozgląda się w obie strony
behradnie
pusta jakaś teraz wieś
samochody, traktory...
zawrócił do chałupy
a niech tam
radość i żal zmieszały się
tylko jeszcze
ten okruszek nadziei trzyma

Moje pisanki

zwykle kurze jajo
babcią drżącą ręką
i moją dziecinną
z nierównym wzorkiem
kiedyś wystarczyła
odrobina wosku w pudełeczku
na rozgrzanej kuchni
i patyk ze szpilką
szybko na jajku
rysowałem szlaczek
by wosk po drodze
nie zastygł na szpilce
potem gotowane
na brązowo w cebulinie
na zielono w szczypiorku żyta
ileż niosły radości
natar te masłem błyszczwały
dla mnie najpiękniejsze
z dumą niosłem przez wieś
koszyczek do poświęcenia
teraz, kiedy wspominam
wciąż dla mnie najwspanialsze
tradycją i sercem zdobione
tamte babcine, matczyne i moje...

Pragnienie

marzy mi się
małeńka chatynka
gdzieś obok rzeczki
strzechą kryta
na krzaku bzu
wróble rozćwierkane
stary rozhuśtany płot
i drewniana ławeczka
w cieniu pod jaśminem
przy chatynce
malwa rozkwitła
piwonie i słoneczniki
wokół cisza kojąca
marzy mi się
że siedzimy oboje
na ławie przy kuchni
gdzie żywy ogień płonie
głaszciesz kota
u nóg leży pies
a ja
w lipowym drowienku
dłutkiem
zatrzymuję
tą chwilę

Sadzenie kartofli

wiosna mocą życia
budzi już wieś moją
z zimowego letargu
skowronek radośnie śpiewa
rozgrzebujemy kopiec
kartofli za stodołą
koszyk po koszyku
wybieramy sadzeniaki
sypiemy na furę
i tak dzień mija pracowicie
nazajutrz rankiem
po śniadaniu, po obrządku
zaprzęgamy konia do fury
ładujemy znacznik na kartofle
płachty konopne i radło
kanki z picciem
bochen chleba i słoik smalcu
utopionego z cebulą
i wiązkę siana dla konia
bo kawał mamy
poła do obsadzenia
pod warszawską szosą
pospiesznie siada na wóz
kto żyw w obejściu
i siły ma do roboty
jedziemy na pole
koń ciągnie wytrwale
fura obciążona skrzypci
dojeżdżamy
pole świeżo uprawione
jeszcze pieką odciski na dłoniach
od wywijania widłami
przy gnoju pod orkę
zeskakujemy z fury i do roboty
koń ciągnie znacznik

trzeba nań mocno napierać
by bruzdy były głębokie
zakładamy na kark
przewiązane płachty
sypiemy kartofle
kto ile udźwignie
z tobołem okrakiem
stajemy na bruzdach
będziemy sadzić pod nogę
przeżegnawszy się wpierw
ręka sięga po kartofle
jeden za drugim
rzucamy pod nogi
krok za krokiem
toból ciągnie kark do ziemi
z czasem lżejszy
potem pusty
ale zaraz znowu do fury
i kark coraz bardziej boli
słońce bardziej przygrzewa
gumowce parzą i obcierają stopy
w południe odpoczynek
bo kark nie wytrzyma
tak zbyt długo
najedzeni, wypoczęci
trochę rozleniwieni
znowu płachty na kark
i do roboty
bruzda za bruzdą
krok za krokiem
łazimy tak, wleczeni się
płachty boleśnie piją w ramię
już nikt krzyża nie czuje
byle do wieczora
a słońce leniwe
nie chce mu się zachodzić
i stoi jakby w jednym miejscu
ojciec radłem obsypuje rządkie
pokrzykuje na konia

kończą się kartofle na furze
wszyscy solidnie spracowani
byle do chałupy....

Los chłopca

noc śmignęła nie wiem kiedy
i znowu świt, śniadanie
obrządek, praca w polu
rozzucanie gnoju widłami, orka
sianie, sadzenie, plewienie
zbiory, zwózka
kopcowanie, przetwarzanie
a jeszcze młócka cepami
a wiezienie zboża do młyna
koń i człowiek razem w kieracie
widły, grabie, motyka
byle zdrowie i siły dopisywały
i tak do zimy
taki był kiedyś los chłopca
dlatego chłop żyłasty, uparty
osmagany wiatrem
słońcem i mrozem
twardy jakby z żelaza
hartowany każdego dnia

Stary sad

pójdź ze mną na spacer
jeśli masz ochotę
do sadu, niedaleko
poprowadzę miedzą
na niej rumianki, powoje
w kartoflach
żółty ognich płonie
chabrem rozkwitła pszenica
teraz drogą na bosą do wsi
po trawie, mleczu
i białej koniczynie
jak po miękkim dywanie
słońce w plecy przygrzewa
wiatr rozwiewa włosy
jeszcze po drodze łąka
ziółami pachnąca
na niej bocian i rów
w nim sączy się woda
i mostek z desek
poszczerbiony
dalej stodoła z bali
jej otwarte wierzeje
jak ręce w geście powitalnym
zaprasza na podwórze
gdzie obora pełna ryku
stajnia pełna rżenia
i pełen kwiku chlewik
kurnik pusty o tej porze
gromada kur przemieszcza się
to tu to tam
stara studnia skrzypi wałkiem
brzęczy łańcuchem
gdy ciągnie się z trudem
wiadro pełne wody
na podwórku

rozbrykane dzieci
ubrudszone po uszy
w głębi dom drewniany
z bali pobarwionych czasem
dom dziadków, ojców
dom, który mnie wychował
za nim droga
a za drogą sad
stary dobry sad
rozłożysty, dumny
drzewa grube, wysokie
trzeba sprytu
by się na nie wdrapać
na sam wierzchołek
gdzie najsmaczniejsze owoce
w pobliżu stoją ule
z niestrudżonymi pszczołami
na ławce dziadek
rozkochany w swej pasiece
przesiaduje całymi dniami
dogląda, duma
patrzy na wiśnie
szarą renetę i papierówki
za nimi starkiny, malinówki, kosztele
jak ugryziesz
to sok płynie po buzi
takie soczyste
pomiędzy nimi
śliwki węgierki
wierzchołkami ciągną do dołu
tak obrodziły
teraz po latach
idę na spacer wspomnieniami
idę tamtą miedzą
drogą przez podwórze
koło domu
do sadu
idę

W letnie południe

zjąłem koszulę
kapałem się
w gorącym słońcu
oniemiały
nagle wyrwany z miasta
chłonałem ciszę
każdą cząstką
mojego ja
chłonałem zieleń
co paletą odcieni
skrywa pobliski las
zboża na pół żółte
prawie dojrzałe
drżały powietrzem
tonałem w nich
uniosłem ręce w niebo
wirowałem radośnie
w przedziwnym tańcu
ptaki na niebie
też jak ja radosne
i te czereśnie w sadzie
bordowe
słodziutki
schowane pomiędzy liście
a potem zachód słońca
w polu pszenicy
to wszystko tak cudowne
niedostrzegalne
gdy jest codziennością
urocze
gdy wytęsknione

Jak pięknie

Panie mój
stworzyłeś jabłoń
kazałeś jej zakwitać
i pszczołę
by kwiat się dopełnił
jak pięknie i szczerze
gdy pszczoła pracowita
Panie mój
stworzyłeś nas ludzi
kazałeś zakwitać
i miłość
by tak jak jabłonie
Panie mój
jak pięknie...

Chabry

koronką błękitu zakwitła
jeszcze zielona pszenica
to bukietami
chaber ją przetyka
gdzieniegdzie białe rumianki
przy ziemi dzikie bratki
i powój się wije
białymi kielichami zdoła

wezmę ciebie za rękę
drogą pomiędzy pola
w bieli i błękitach
zachwycimy się
kielichami powoi
pić będziemy naszą miłość
a skowronek
śpiewać będzie nad nami

Mosty

widziałem
jak na rzece
w moim mieście
pracują ludzie
klamrą mostu oba brzegi zapinają
by już połączone
tak na zawsze
ponad nurtem rwącym
niosły pożytek
w obie strony

w ludzkim świecie
w ludzkiej duszy
płyną także rzeki
co odwiecznym są wyzwaniem
by znów były połączone
klamrą spinać je wytrwale
i solidne dać podstawy
trzeba
z głębi serca
tak wytrwale
bo inaczej potoniemy

Wierzba

za wsią
na grobli
przy stawie
pod parasolem rozrosłym
usiadłem na murawie
opierając się o pień
samotnie
ważka przysiadła na trzcinie
tafla wody błyszcząca
dookoła zieleń
w niej
wieś wspaniała moja
jak wyspa szczęśliwa

ptak świergoce gdzieś
aż się wyrywa serce
tak drga jakaś
tkliwa nutka
szarpie struny

aż przyszedł dzień
gdy we dwoje
oparci o jej pień...

dłonie twoje
dłonie moje
tańcem przedziwnym
prześcigają się
a oczy nieprzytomne
a dokoła
pola zielone
kwiaty, zioła
i już nie jestem sam

Tobie Ojczyzna

kraju mój kochany
co nad Wisłą
rozłożyłeś dumne skrzydła orła
choć historia pruć mieczem
wypalała ogniem rany
kraju mój
o wielkich sercach
co daninę gotów złożyć
i miłości nieść posłanie

wiosko moja miła
przycupnięta na nizinie
wiosko zwarta
w swoim trwaniu
zżyta poprzez płoty
z sąsiadami
płoty zgody i pomocy
nijak żyć inaczej

ojcowizno
spracowana przodków życiem
prostym
bogobojnym
szczerym
ty posiałaś we mnie ziarno
nauczyłaś patrzeć
nauczyłaś kochać
w sercu moim
pozostaniesz tak na zawsze

Szukałem siebie

wiele razy
wśród pól zielonych
szukałem siebie
wszystko normalne było
proste zwykłe
szukałem poezji
a ona uśpiona
gdzieś przycupnięta
w zakamarku duszy
czasem dźwiękiem
potrąconej struny
tęsknym
budziła pragnienie
i cichła echem
co się obijał
o zagony i miedze zielone
by powrócić na czas jakiś
ze zdwojoną siłą
i uderzyć
i naprzeć aż do bólu

pewnie bym błąkał się nadal
jak duch niespokojny
wył
w koronach wierzby wypróchniałej
szumiał
łanem zboża zielonym
ptasim świergotem zagubionym
gdzieś w trawach wysokich
nawoływał
bo tak mi tęskno i dziwnie
pewnie szukałbym
tak do dziś
gdyby nie ty

Czerwona noc

rześnistym deszczem
noc czerwona
kapie drzewa
trawy kwiaty
zboża podlewa
puszyste chmury deszczowe
patrząc
na spragnioną ziemię
z góry
użaliły się
na brak wilgoci

a gdy ranek
ziemię promieniami
pierwszymi ozłocił
zieleń soczysta
radosna, napojona
wznosi
wyżej i wyżej
rześko ramiona
ptaki wzbiły się
ponad ziemię
szumi las
a my ludzie
tacy mali
tacy mali

Płachetek pola

spójrz
tuż przy domu
ot płachetek pola zwykły
zda się
popatrz sercem
łanem pszenicy się złoci
kłosem pełnym
chlebnym
mleczną łąką barwną
gruszą
rzędami jabłoni
ogrodem dostatku
tęczą nadziei
kroplą potu
kroplą rosy
świergotem skowronka
świtem i zmierzchem
słońcem w zenicie
bosym krokiem
dziada twego
i ojca
bruzdą za pługiem
naucz się patrzeć sercem
na ten płachetek
pola zwykły
poznaj
duszy tęskne granie
i spełnienie
a we wszystkim
iskrę Boga
którą zesłał ci na ziemię

Lipcowe dojrzewanie

lipcowym popołudniem
poszedłem graniczką
między pola tęskne
by się oddalić
od zgiełku
by myśli moje
zabrał wiatr

poszedłem między pola
gdzie żyto
słońcem na pół wypłowiałe
jemu też nie łatwo
liźnięte burzy nagłym porywem
legło kłosami na ziemi
obrzeżami tylko
kłania się wiatru ciepłym tchnieniem
przerosłe chabrem i rumiankami
skrawkami nieba dojrzewa

chleb to nasz
to życie nasze
mijając po drodze
krzyż bzami otoczony
rozmodlony wróbli stadem gwarny
przystanąłem
pochyliłem głowę
szepnąłem cichutko
„chleba naszego daj nam Panie”

Zniwa czas

na polach już zniwa
złote kłosy
dopełniły się ziarnem
kładą się u stóp
pracowitych ludzi

snop po snopie
odslania szczeciny rżyska
kroplami potu
w słoneczny skwar

pachnie ziemia
ona jak matka
posiane ziarna wykarmiła
swą mocą

mendle gęsto rozsiadły się
rzędami po horyzont
gdy wyschną
wypełnią
przepastne brzuchy stodół

ile serca włożysz
tyle chleba

Kłosy

Pamiętam, gdy ojciec
wykosił łąn pszenicy
i stanęły złocąc się kłosami
mendle rzędem na polu
grabiłem grabiami rżysko
a potem zbierałem
do koszyka pojedyncze
pozostawione kłosy
by choć kurom podrzucić
to jajo zniosą
i wcale nie z pazerności
ale z szacunku do chleba
przodków i Boga
a wieś wtedy pracowita
pobożna i uboga była
a ziarno było złotem
z którego chleb wyrastał

Z głębi serca

gdybym umiał pędzłem
marzenia moje wyczarować
gdybym umiał
małą chatkę gdzieś na wzgórzu
kwiaty w oknach
drzwi gościnne
i próg stary wydeptany
słoneczniki pełne złota
płot w sztachety wypłowiałe
a po środku
orzech rozłożysty
ławkę z desek
w cieniu psa przy nodze
kota w słońca plamie
i dzieciarnię rozbawioną
studnię w kręgi
wiadro pełne wody
i stodołę pochyloną
z czapą strzechy rozćwierkaną
płachtę łąk soczystą
bujną w zioła, kwiaty
i hen dalej
pola szczodre
jeszcze gruszę w miedzy
obłok biały
ptaka i słońce
co w zenicie się spotkały
krople deszczu
które płyną po mym ciele
kępę lasu
co jak okręt
gdzieś w oddali
gdybym umiał wyczarować
tak na płótnie
z głębi serca

gdybym umiał
świat ten piękny
świat kochany

Na grzybach

krok za krokiem
wpatrzony szukałem grzybów
ona tańczyła
na mchu i igliwiu
dokoła drzew
drzewa szumiały
coś między koronami
ptak czasem zaśpiewał

tańczyła radośnie
taniec jedności z naturą
pochyliwszy się czasem
zerwała poziomkę
czarną jagodę
grzyby rosły na jej drodze
spotkała brązowego wężyka
leśną myszkę
co spogląda z norki

ja nie tańczyłem
nie miałem odwagi
z koszykiem w ręku pochylony
krok za krokiem
cóż z tego, że więcej zebrałem

następnym razem
i ja zatańczę
taniec radości
niech szumią sosny
ptaki śpiewają
będziemy razem
upajać się naturą

Powrócimy

gdy się stanie
gdy dopełni
powrócimy w nasze strony
gdzie świat piękny

powrócimy w białe zimy
śnieżnym puchem
krań, gdzie stawy
cieplem
co ogrzewa pola

powrócimy
mgłą srebrzyście
tuż nad łąki, rzeki, sady
suknią kwiatów na jabłoniach
i na miedzach kroplą rosy
śpiewem ptaków

powrócimy
w piękne wiosny
lata, zimy i jesienie
odrodzeni, rozkochani
póki ziemi
póki słońca

Kryształ

w sierpniowy słoneczny dzień
wymknąłem się z miasta
w objęcia natury
tam gdzie lasy
pola, łąki
gdzie wioska
przycupnęła mała
gdzie wspomnienia
tuż przy płotach
strumyk pracowity płynie
piasek niesie

idę brzegiem
gdzie skraj lasu się zaczyna
ścieżką obok
w wąwóz chłodny
śpiewem ptaków
szepem strugi
rykiem krowy
gdzieś w obejściach

idę coraz wolniej
tam trzy źródła
z ziemi biją
tuż pod skarpą
wprost z wapieni
na niej sosny, graby
a na zboczach
w mchu borowik
i muchomor piegowaty

kucam cicho
tuż przy wodzie
w dłonie biorę

chłodny kryształ
nie skażony

myję skronie
jak mi dobrze
jak spokojnie
bije serce moje

wrócę jeszcze
tu w te strony
po tą ciszę
by posłuchać szmeru wody

Skrzypek

skrzypek-grajek
co nie był skrzypkami
i skrzypki nieskrzypki
zrobił ręką sękatą
rzeźbiły zimą w oknie
skrzypiały mrozem
płakały wiatrem żałośnie
w pustych koronach drzew
i w sercu tęsknym
wraz z cieplejszym słońcem
ów grajek
melodie cieplejsze dobywał
radośnie świergotem ptaków
pierwszymi baziami
świeżością traw nieśmiałą
nutki brzęczały pszczołami
w jabłoniach
ciepły zefirek niósł melodię
tak lekko
rozsiewał dmuchawcem
po polach łąkach sadach
aż nagle naparł smykami
na struny
całą radością i mocą
bo w sercu też tak było
i zapomniał się w zachwycie
powietrze upałem drgało
i melodią
co łanem dojrzałym
kłaniało się Panu w niebiosach
a pot czołem spłynął
i ręce zmęczone
i nutki też

zagrał jeszcze czas jakiś
lecz wolniej
zamyśleniem, żalem
spokojem złotych liści
spływających na ziemię
a potem ciszą...

Wspomnienie dzieciństwa

wiosko mi bliska
wciąż w mej pamięci
płoty koślawe
poszarpane strzechy
a między nimi
codzienna krzątania
dziecięce uciechy
i ogródek
w jego kącie maliny

obok chałupy
rozległe jaśminy
orzech i jabłonie
na podwórzu
rżą konie u wozu
gotowe do drogi
niecierpliwe
przebierają nogami

droga przez wieś
jak wstążka
łączy podwórka
zakręt, niewielki pagórek
koleiny i błoto

słońce o świcie
patyną okrywa wszystko
czy to malwy
czy pokrzywy

wypięknie wspomnienia
nie do poznania
płynie czas
a świat wciąż się zmienia

Jak kometa

Byłem wczoraj
na moim dawnym podwórku
po grząskim śniegu
krok za krokiem
szukałem siebie
ach moje lata minione...

poszedłem za dziadkową pasiekę
za stary sad
szukałem
śladów sanek z dzieciństwa
przystanąłem w polu
już nie wiem
czyja nowa stodoła
czyj nowy dom w oddali
gdzieś tam stał stary
z bali sosnowych...

zmienia się wieś
zmieniają się ludzie
w sąsiednich obejściach
jeszcze jabłoni parę starych
co pozostały
z sentymentu chyba
bo nie pasują już do krajobrazu
i parę zapomnianych
grusz na miedzach...

pola przymglone jak pamięć
a ja jak kometa
co warkocz wspomnień
ciągnie za sobą
po bezkresnym niebie
między gwiazdy, czarne dziury
i spala się
cząstka duszy wciąż

nim całkowicie
zjedna się z matką naturą

dlaczego tak
szukam wspomnień
szukam wciąż
i na nowo?...

Matecznik

jak wędrownie ptaki
raz tu, raz tam
za chlebem
dla przygody
na ścieżkach losu
budujemy swoje
gniazda – domy
lecz tak naprawdę
liczy się miejsce
gdzie w kołysce
matka tuliła

tam siła nasza
tam matecznik
którego
nie wyrzekajmy się
bo warto wracać
choćby wspomnieniem
po te isierki
bo z nich płoną nasze serca

Sękaty dłoń

pełną drogą do wsi
turkoczemy się furą
koń leniwie napina mięśnie
droga jak życie garbata
wzrokiem płynę po polach

kwietniowym słonecznym dniem
zielenieje ziemia
pąki obsiadły drzewa
leszczyna pyli robalami kwiatu
pszczoły wychodzą na zwiady
ptak świergotem wesołym opiewa naturę
wiosenne kwiaty bielą ugor tuż przy polu
w zaszuchaniu, w zapatrzeniu słyszę:
– spójrz synu, wiosna to przebudzenie
narodziny, pole radosne
lato to pełnia życia
eksplozja posianych nadziei
zatrącenie się w bezmiarze spełnienia
jesień jest czasem zbioru
spowolnieniem, zadyszka szarości
zasypianiem we mgle
to najsmutniejszy czas
później już tylko zimny chłód
życie widzisz podobne naturze
sił już brak...
spojrzałem na poczciwe sękaty dłoń
trzymające lejce
zadręgało w środku i słów zabrakło
w ciszy słyszeć tylko chrobot fury
i śpiew ptaka nad polami

Taki dom

jest taki dom
gdzie portret ślubny
na ścianie
niemy świadek pożycia
odmierzył już półwiecze
wciąż razem we dwoje
wciąż pogodni
choć los dawał
prócz szczęścia
srogie nauki
zakochani w ziemi
zakochani pracą
lekką pochyleni
pod ciężarem lat
jest taki dom
gdzie za portret ślubny
wetknięte znalezione źdźbło żyta
dojrzałe
o dwóch kłosach
jak ich losy złączone
ten dom
to dom mojego dzieciństwa
chcę
i ja tak kiedyś
za nasz ślubny portret
co wisi na ścianie
i po tylu latach
i wciąż pogodnie
razem we dwoje

Wspomnienia

ech wspomnienia
moje wspomnienia
struną tęskną
lub żalną
grają w duszy
raz po raz
gdzieś w gałęziach polnej gruszy
gdzieś na miedzy
między polami
w zbożach, kartoflisku
hen na łąkach
gdzieś w jabłoniach rozłożystych
przy sadzawce, w kępie trzciny
pod lasem i na leśnej drodze
i pod płotem w kącie, gdzie maliny
i na progu domu

wspomnień dusza pełna
dziadków i sąsiadów
którzy wiecznie żywi
choć odeszli już gdzieś w niebiosy
no i słońca co tam w górze
i ptaków
potrącają serca struny
dźwięki wiatr rozwiewa
poprzez pola, łąki, stawy
po sosnowym lesie
ech wspomnienia
moje dzieci...

Kręgi wspomnień

wyrastasz z gniazda
opierzony
rozwijasz skrzydła
łapiesz w pióra wiatr
radośnie tak
niecierpliwy
pędzisz z wiatrem
doganiasz niemożliwe

nadchodzi dzień
tęsknoty
powracasz
gdzie byłeś pisklęciem
nieraz odchodzisz
i wracasz
bo kręgi wspomnień
sercem zawładnęły

Nam jesteś darem

czy bolało
czy było ci
kiedyś tak żal
patrząc
jak ja niedawno
na kikut domostwa
zarosły, zdziczały
tuż obok
gdzie ślad ganku
jabłoń samotna
liście zabrał jej wiatr
rumiana jabłkami
co też pewnie
obsypią ziemię

w trwaniu upartym
coroczną szczodrością
cierpi, że dłonie
nie sięgają w koronę
ptak tylko ją pociesza:
– nie płacz
nam jesteś darem
w głodny
trudny czas

Garść nadziei

nim pierwsze garści nadziei
rzucisz przyszłości
ukłęknij człowieku
jak kiedyś siewca
nim pierwsze ziarna
puścił w ziemię żyzną
ukłęknij
sercem przeżegnaj nadzieje
strumieniem czystym myśli
niech płyną
kroplami rosy
budzą z letargów niemocy
wpisz w serca
dłoni ciepłe tchnienia
w nich
owoce przyszłości
bo ziarno to przednie

Mgła zapomnienia

w mgłę zapomnienia
bruzdą na bosy
poszedł oracz za pługiem
odwalając ostatnią skibę
poszedł tak cicho
niepostrzeżenie
z pochyloną głową
jeszcze koń stęknął
z wysiłku czy żalu
że też odchodzi

dziś już nie pieści
swojej ziemi tak
pracą – modlitwą
z dziada pradiada
nie rozmawia z nią sercem
nie patrzy z nadzieją
a słońce już nie praży karku

odszedł oracz
w mgłę zapomnienia
odszedł na bosy
a mnie czasem tęskno
a mnie tęskno Panie...

Koleje losu

dzieciństwo
czterolistną koniczyną
na polnej drodze
lata dziecięce
to grabie w dłoni
i olej wlewany do głowy
olej jedynie słuszny
w swoim składzie

młodość
to bez i jaśmin
tęsknota i radość
to skraj lasu
porosły różnorodnością
roślin, a potem
oddanie
harmonia drzew
poszycie i runo zdarzeń
pomiędzy
polanką malin radosną
i strumykiem

dojrzałość
w mchu i korzeniach
plącze warkoczyki wody
tam dalej gdzieś
kraina drzew omszałych
zasypia
tuląc się do ziemi
krok za krokiem
usiądę więc na polanie
nie spieszno mi
bo kocham maliny

Moje świątki

Moje świątki kochane
w lipowym drewnie
strugane dzień po dniu
co mi bez was robić?

polubiłem
dłutem modelować
źłobić, dłubać, strugać
odkrywać sęki, słoje
tworzyć, ozdabiać
gotowe ustawiać
obok siebie
by mogły gadać
mówić, rozprawiać o wsi
jak kiedyś bywało
jak się pracowało
jak żyło

Dusza artysty

pogubieni ludzie
z myślami w obłokach
w rzeczywistości
której trudno im żyć

jak żyć normalnie
myśląc o motylach
pierzastych ptakach, obłokach
nosząc sztalugi
dłuta czy kajet?...

dla tych co tworzą
powinna być
jakaś wyspa spokojna
by na niej tworzyć mogli

tylko po co im spokój
on wszak potrzebę tworzenia zabija
sztukę ból wyzwala
niepokoje i radości
pierzaste ptaki, obłoki...

twórca zwykle ma swoją wyspę
na niej szczęście tylko, gdy tworzy
bo wtedy dusza mniej boli
a reszta tylko mgłą

Dusza moja

ciekawy świata
jego inności
wychodzę myślami
poza cztery ściany
kraju mojego
nadwiślańskiego

piękne są morza
obce strony
obyczaje
piękne chwilą tylko
bo dusza moja
polska

w niej kłos pszeniczny
rumianek
wierzba przy drodze
bocian na łące
i drzewo rodzinne

piękne są obce strony
chwilą tylko
a w moim sercu
prostota odczuć
bukiet polnych kwiatów

dusza moja polska
ołtarz ojczyzny
kłosem pszenicznym
i rumiankiem sławi

W skansenie

smutnych starych chałup parę
z czapą szarej strzechy
mchem porosłej
w której
wróble zagnieżdżone
troskliwą ręką ogarniętej
by nie zapaść w zapomnienie

nikt na progu
nie przysiada wieczorami
nie rozmyśla
o tym świecie bożym
nie klęka przy obrazie
nie powierza swoich trosk
lampa izby mroku nie rozświetla
ćma do światła nie leci
i zapiecek pusty
pusta ława przy kominie
wygasły chlebowy piec
i kołyska zapomniana

za dnia tłumy ludzi
co szukają prawdy
w przodków naszych
prostym życiu
i tych ocalonych
smutnych chałup parę...

Dym z ogniska

pamiętasz jeszcze
ciepły słoneczny dzień
i kartoflisko
osnute babim latem
ciężkie kosze wiklinowe
do nich chyłkiem
zbierałeś rozrzucone kartofle
i kark bolący
że wyprostować nie sposób
konie u kopaczki
wóz pełen kartofli
i odpoczynek pod gruszą
czerwienią liści szumiącą
o jesieni
i ulegalki słodkie w trawie
czy pamiętasz ognisko
płomień suchej łoziny
dym pachnący zieleń
ścielący pola mgiełką
kartofle pieczone
w popiele pod żarem
smak zwęglonej skórki
aromat rozłamane
parzącego w usta
czy pamiętasz te jesienie złote
gwarne ludźmi w polu
ociężyły krok koni u wozu
gdy na wieczór
zjeżdżałeś spracowany do domu
czy pamiętasz słowa ojca
– solidna praca to modlitwa
kto z nas jeszcze umie
tak modlić się pracą?...

Kołysz mnie

kołysz mnie
swoim oddechem
kołysz
gdy przytulony
nocą
patrzę w księżyc
co za oknem lśni

kołysz mnie
ciepłem swoim
żarem
pełnią kobiecości
tak dobrze
przytulić się

kołysz mnie
spokojnym snem
kołysz
wystarczy, że
przytulę się

śnij kochana
albo nie – Kochaj

kołysz mnie
kołysz
przebudzeniem
rozkoszą
na sen jeszcze czas...

Przyjaciele

są tacy ludzie
o złotych sercach
są tacy ludzie
o mądrym spojrzeniu
co wiedzą
więcej od innych
są tacy
że im się chce
a przecież nie muszą
są tacy uśmiechnięci
uśmiechem dobroci
bezinteresownej

poznać ich można
po tym
że zawsze są z nami

Zatrzymaj się

gdy każdy dzień
krokiem śpiesznym
a w gardle kurz
i tchu już brak
pośpiech bezduszny
wysysa radości żar
zatrzymaj się
zatrzymaj
jak strudzony wędrowiec
w strumyku
przemywa twarz
tak ty
przemyj
myśli swoje
usiądź w cieni
oprzyj głowę o pień
przymknij powieki
wsluchaj się
w ptaków odwieczny śpiew
w ciszę

Miłość

ile pożółkło kalendarzy
ile nieokiełznanej, niegasnącej i zazdrosnej

choć skronie posrebrzone czasem
nadal młoda, odkrywczą, szalona
do diabła z kalendarzami!

wirujmy razem bez końca
w czasie, przestrzeni
innych bytach
po kres wyobraźni

Radości smak

nie wiesz nawet
nie wiesz
że iskrę złotą nosisz
drzemie
uśpiona w tobie
czeka
na rozbudzenie
że z zachwytem
jak stokrotkę
weźmiesz w dłonie
przytulisz do serca
oddaniem rozpalisz zarzewie
a ogień
serca ludziom ogrzeje
gdy odnajdziesz
gdy rozbudzisz
poznasz
radości tej smak

Być sobą

mówię
byle mówić
gdy wszyscy mówią
milczę
bo wszyscy milczą
gdy mówić trzeba
śmieje się
gdy wszyscy się śmieją
choć nie ma z czego
mówić, gdy potrzeba
milczeć
gdy nie mam
nic do powiedzenia
śmiać się
gdy jestem radosny
współczuć
gdy potrzeba
gdybym tak umiał
być sobą
gdybym umiał...

Dłonie

to tak niewiele
i tak bardzo dużo
dwie dłonie
zwyczajne
dłonie ciepłe
w nich – dłoń rozedrgana
jak powietrze echem grzmotu
nadchodzącej burzy
spłoszona, zdławiona
jak serce wróbla
na widok cienia jastrzębia
bezzadna
bolesna
ogrzana ciepłem
wielkiego serca
rozluźnia się
uspokaja
tak jest dobrze
dobrze już
bezpiecznie

Wrzesień

już wrzesień
kochana
już wrzesień
ptaki odlecą
w ciepłe kraje
już jesień blisko
już jesień
jeszcze wrzosy zakwitną
pod lasem
kaszтанom pęką łupiny
liście drzewom zakwitną
złotem i czerwienią
nim wiatr je zabierze
nim spłyną na ziemię
jeszcze kartofle
pieczone w ognisku
i dym nad kartofliskiem
jeszcze babie lato
a gdy jesień się dopełni
i przyjdzie zima
i długie wieczory
zapatrzymy się w siebie
a na szybach kwiaty
mróz wymaluje
chłodnym oddechem
nam będzie ciepło
bo miłość nas ogrzeje

To właśnie jesień

ostatki ciepła
spływają
październikowymi liśćmi
na ziemię
kładą się u stóp
okrywają
rdzawo-szare pola
ziemia
chłodno już oddycha
ziewa
mgłą zasypia leniwie
do południa
jeszcze ostatnie plony
oddaje pracowitym ludziom
ptaki
gacą gniazda troskliwie
wkrótce
drzewa wyczesze wiatr
zagra żałośnie
pieśń o zegarach
że coś się zaczyna
coś kończy
a czas nieubłagany
grudzień srebrem chłód oprószy
okryje pierzyną
zostanie wspomnienie
nadzieja
i miłość
co rozpala dwa serca
i myśl
że to właśnie jesień
że zima bywa piękna
że warto czekać wiosny
bo każdy dzień
darem cudownym

Idzie zima

pierwsze zimne poranki
trawy, krzewy, drzew liście
posrebrzone szronem
posrebrzone gołe pola
blade słońce już nie grzeje
mgłę przenika promykami
i zastygnie w biegu wszystko
rozjaśni się bielą śniegu
zapadając w sen zimowy

Biały opłatek

biały opłatek w dłoni
delikatna krucha śnieżynka
zwiastunka tajemnicy narodzin
Pana naszego

biały opłatek
pełen miłości
z rąk do ust
niesie radość
pojednanie
prośbę pocieszenia

przenika serca
niczym płomień
uchwycony z nieba
nadzieją
gdy sił już brak

tak mało miłości
tak mało...

bierzmy opłatek w dłonie
delikatnie, czule
by nie uronić okruszka
bo nawet ten najdrobniejszy
jest światłem
boskim światłem życia
miłością nieskończoną

Nie zapomnę

nie zapomnę rodzinnej wsi
gdzie śniłem kiedyś
sny dziecięce radosne
nie zapomnę kwitnącego sadu
smaku jabłka
jeszcze niedojrzałego
nie zapomnę płachty pola
porannej rosy
i śpiewu skowronka
nie zapomnę dziadków i ojców mowy
jasnej, prostej, dosadnej
pełnej ludowej mądrości
nie zapomnę wiary moich przodków
w dzień słoneczny, wesoły
i ten pochmurny, smutny
nie zapomnę...

Zauroczenia

zdmuchnąć by tylko
te moje zauroczenia
rozpedzić w cztery strony świata
niech płyną
za horyzont
lecz te powracają
mienią się barwami
pól łąk
rozśpiewanych świtów
wciąż urocze
zniewalają duszę
niosą gdzieś
wiatrem wyobraźni
poza ramy
innym bogactwem mamią
jak oprzeć się mam
jak uciec
by serce nie bolało
by się nie zatracić
i czy warto uciekać?...

Zapach młodości

biały bez
jaśmin
konwalia
zapachy mojej młodości
mojego przydomowego bzu
kępy jaśminów
garści konwalii leśnych
przyniesionych w maju
gdzie każdy zagajnik znajomy

zapachy moich wspomnień
domu rodzinnego
wsi mojej
panien rozkochanych
i tańców w strażówce
spacerów przy księżycu
gdy wtuleni w siebie
zamyśleni w gwiazdach
gdzieś to wszystko
w głębi serca
mimo lat
i tak już zostanie
bo wyrosłem z bzów
jaśminów
konwalii
i czasem tęskno
i czasem mi ich brak
dlatego sadźcie bzy
jaśminy
obok domów
i w maju
garść konwalii z lasu
w nich szukajcie miłości
bo w nich
wasze będą wspomnienia